

W CIENIU SKANDALU

Tajemnice parafii św. Brygidy
- Semka o sprawie księdza Jankowskiego

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 2/305 7-13 STYCZNIA 2019

DO

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

RZECZY

Rozmowa „Do Rzeczy”:
Targalski ostro o łagodzeniu
kursu przez PiS

LUDZKOŚĆ 2.0
- W CZYM NAS
WYRĘCZA
SZTUČNA
INTELIGENCJA



Jak Izrael walczy
z niechcianymi imigrantami

WARSZAWA
- POLIGON

TOTALNEJ OPOZYCJI

Nowy prezydent Rafał Trzaskowski spycha stolicę na lewo

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 80 tys. egzemplarzy

ZAINWESTUJ I ZARABIAJ **8%** W SKALI ROKU

Stały dochód wypłacany **co miesiąc**
i brak kosztów eksploatacyjnych!



130 przestronnych
apartamentów



30 dni pobytu
właścicielskiego



Bogata
infrastruktura
i atrakcje regionu



Lokalizacja
w centrum Karpacza
– idealna
do inwestowania

numer telefonu

22 299 00 22

sprzedaz@tremonti.pl

www.tremonti.pl

wprost

NIERUCHOMOŚCI

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Prawnego.
eprasa.pl 1586349663

Pokusa niekonserwatywnej prawicowości



PAWEŁ LISICKI

Czy prawica może przestać być konserwatywna? Takie pytanie na pierwszy rzut oka wydaje się nieco niedorzeczne. W polskich warunkach takie zwierzę, można byłoby sparafrazować, nie istnieje. Czy jednak zawsze tak musi być? Coraz częściej można przeczytać opinie różnych specjalistów, którzy uważają, że receptą na zwycięstwo w 2019 r. powinno być przesunięcie PiS ku centrum. Zakończenie ideologicznych wojen, unikanie starć z Unią – to wszystko ma przynieść oczeki-

zaostżenia prawa aborcyjnego bądź wypowiedzieć genderową konwencję stambulską. Przeciwnie. Premier raz po raz opowiada, jak bardzo kocha Europę, a kolejni posłowie PiS starają się za wszelką cenę pokazać, że nie zamierzają wdawać się w kulturowe wojny. Nadszedł czas spokoju, budowy, innowacji i wzrostu.

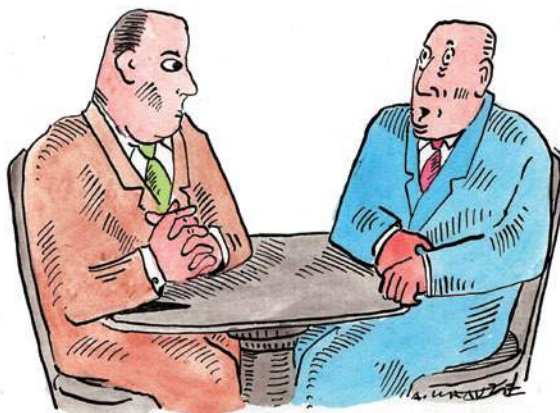
Zwolennicy takiego podejścia wskazują na badania opinii publicznej i na nastroje wyborców. Wynika z nich, że Polska powoli, ale nieustannie liberalizuje się obyczajowo i światopoglądowo. Co więcej, druga tura wyborów samorządowych pokazała, jak niebezpieczne może być odwołanie się przez opozycję do strachu przed wyjściem z UE. Cóż, ta strategia ma zapewne liczne zalety. Jednak ma też kilka poważnych wad.

Pierwszą i najbardziej oczywistą jest kwestia tożsamości. Prawica wygrała wybory, bo zrećcznie połączyła dwa główne społeczne oczekiwania. Po pierwsze chodziło o ukaranie rządzącej Platformy, ale po drugie o spełnienie czegoś, co można by nazwać zbiorem postulatów godnościowych. PiS obiecał, że będzie lepiej chronił wizerunek Polski, że nie będzie ulegał obcym naciskom, że bezwzględnie będzie walczył o polskie interesy w Unii. Podobnie obiecał środowiskom konserwatywnym, że będzie walczył przeciw rewolucji gender i zapewni lepszą ochronę życia poczętego. Dzisiaj te godnościowe postulaty wydają się tracić na znaczeniu. Czy skutkiem zmiany retoryki może być demobilizacja części własnego elektoratu? To prawdopodobne.

Zwolennicy zmiany kursu na bardziej spokojny sądzą, że PiS do zwycięstwa w wyborach wystarczą głosy ludzi zadowolonych ze wzrostu poziomu życia i czerpiących korzyści z programu „500+” oraz innych. Być może. A być może nie: elektorat socjalny jest najbardziej kapryśny i najmniej zmobilizowany. Raz zdobyte dobra szybko uważa za własne i za coś należnego. Dlatego wyjątkowo łatwo ulega rozproszeniu.

Viktor Orbán wygrał niedawno trzeci raz z rzędu wybory i, co więcej, zdobył znowu większość konstytucyjną. Według różnych badań opinii publicznej jego partia cieszy się poparciem ok. 54 proc. wyborców – to nieporównywalnie więcej, niż kiedykolwiek zdołał zdobyć PiS. Najważniejszym źródłem sukcesu jest z pewnością właściwe rozpoznanie głównego przeciwnika właśnie po stronie kulturowej. To właśnie śmiałe wybranie na pole walki sprawy imigracji i polityki imigracyjnej oraz silna retoryka suwerennościowa dały Orbánowi tak przekonujące zwycięstwo. Starcie z George’em Sorošem i jego liberalną wizją świata zmobilizowało wokół Orbána Węgry, a ataki Unii tylko wzmocniły poparcie większości narodu. Polska to nie Węgry i nie można wprost przenosić różnych rozwiązań. Jednak jeśli chodzi o technikę sprawowania i zachowania władzy, to wiele można się od Orbána nauczyć. Jedno nie ulega wątpliwości: współczesna polityka to często wojna prowadzona środkami pokojowymi. Kto przed nią ucieka, ten prędzej czy później przegrywa. ©©

*Z nowym rokiem
nowe kwity*



RYSUNEK TYGODNIA

waną drugą kadencję. Z tego też powodu rząd postanowił wycofać się ze starcia z Komisją Europejską w sprawie zmian w Sądzie Najwyższym. Podobnie nic nie wskazuje na to, żeby PiS obecnie zamierzał doprowadzić do



TEMAT TYGODNIA

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI

PREZYDENT NA BARYKADZIE

Lewacka ideologia wchodzi do samorządów

22 ROZMOWA Z MICHAŁEM DWORCZYKIEM

PROBLEMEM PLATFORMY JEST KONFORMIZM

KRAJ

26 KAMILA BARANOWSKA

MITY NA TEMAT PIS

Prawda o rządach prawicy

30 PIOTR SEMKA

TAJEMNICE PARAFII ŚW. BRYGIDY

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

KŁAMSTWO „DEMOKRACJI LIBERALNEJ”

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

NOWE USTA TRZASKOWSKIEGO

38 RADOŚLAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA W NIEBIE



KULTURA

40 PIOTR GOCIEK

KOBIETA W KLATCE

„Roma” – na granicy kina artystycznego i popularnego

42 MONIKA MAŁKOWSKA

ŚNIEG NA BETLEJEM

45 KRZYSZTOF MASŁOŃ

COŚ, CO NIE JEST NAZWANE, NIE ISTNIEJE

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ROZMOWA

Z JERZYM TARGALSKIM

ŻADNA RETORYKA CZYNÓW NIE PRZYKRYJE

Mityczne centrum jest nie do zdobycia

57 ROZMOWA Z LESZKIEM ŻEBROWSKIM

EUROPA NIE ZOSTAŁA ZDEKOMUNIZOWANA

60 ROZMOWA

Z PROF. ZBIGNIEWEM KRYSIAKIEM

SCHUMAN ZDRADZONY

HISTORIA

64 PIOTR SEMKA

UKRAIŃSKA WYSZYWANKA

Polsko-ukraińska historia na wystawach

67 JACEK KOMUDA

ZAJAZDY: Z DEKRETEM I SZABLĄ NA SĄSIADA



ŚWIAT

70 JACEK PRZYBYLSKI

LUDZKOŚĆ 2.0

Moda na sztuczną inteligencję

74 ROZMOWA Z DYREKTOREM IZRAELSKIEGO

CENTRUM POLITYKI IMIGRACYJNEJ

PRAWO LEPSZE NIŻ MUR

76 ROZMOWA Z IRACKIM SZEJKIEM

CHAEDEM AL-GILANIM

EUROPA BĘDZIE WKRÓTCE ISLAMSKA

EKONOMIA

78 ŁUKASZ ZBORALSKI

NIEMIECKIE PRZEJĘCIE

Kto wygra wojnę o pracowników z Ukrainy

80 ŁUKASZ WARZECHA

JESTEŚMY SKAZANI NA PODWYŻKI CEN PRĄDU?

STYL

84 JOANNA BOJAŃCZYK

LUKSUS Z ULICY

Modowy biznes dla młodych i bogatych

86 ROZMOWA Z ANNĄ POPEK

ODKRYWAM KOBIETĘ

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z PROF. PAWŁEM KRAWCZYKIEM

ZMIANA W LECZENIU RAKA PŁUCA

Nowe opcje terapeutyczne od 2019 r.

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (53), ZYCHOWICZ, KOPER (63), WARZECHA (73), GABRYEL, RYBIŃSKI (82), KOMUDA (92), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

Drodzy Czytelnicy,

Dziś listy odnoszące się do artykułów z wydania świątecznego. Mamy nadzieję, że w nowym roku będziemy dostawać jeszcze więcej ciekawej korespondencji. Elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Dama w cieniu męża” – Agnieszka Niewińska, „DRz” 51/2018

Bardzo lubię czytać artykuły dotyczące naszej pierwszej damy, pani Agaty Kornhauser-Dudy, która już od czasów kampanii prezydenckiej robiła na mnie bardzo dobre wrażenie. Nie mam do niej pretensji o to, że nie zabiera głosu, nie miesza się do polityki. Jeśli nie chce – ma do tego pełne prawo i ani środowisko polityczne i sympatycy jej męża, ani przeciwnicy nie mają najmniejszego prawa czynić jej o to wyrzutów. Choćby dlatego właśnie – co podnosiła red. Niewińska – że pierwszej damie państwo polskie nie płaci za zamrożenie własnej kariery zawodowej.

Czy powinno? Nie jestem przekonana. Z jednej strony jest to dla niej praca na pełen etat bez wynagrodzenia. Z drugiej – jest to również jej inwestycja. To jasne, że pani Agata po zakończeniu kadencji będzie miała mnóstwo propozycji zawodowych z pensjami wielokrotnie wyższymi od nauczycielskiej, a propozycje te zawdzięczać będzie tym 5 czy 10 latom bez oficjalnego wynagrodzenia. No i gdyby pierwsza dama była na pensji, Polacy jako jej pracodawcy mieliby całkiem uzasadnione wymagania co do jej aktywności, a przecież żona czy mąż polityka może nie mieć ochoty być politykiem. Dopóki jej jednak nie płacimy, dopóty nie możemy zmuszać do tego, by politykiem się stawała. Co by było, gdyby pani Agata miała inne poglądy i inne spojrzenie na wiele najważniejszych dla Polski spraw od swojego męża? On podpisuje ustawę o sądach, ona ubiera Wałęsowską koszulkę? Może to jednak dobrze, że pełnią funkcję pierwszej damy za darmo, można ją sprawować, jak się chce – również ciszej w przestrzeni politycznej, ale pracowicie w innych polach?

Tak czy inaczej, podejmując debatę na ten temat, powinniśmy spytać o zdanie przede wszystkim same dotychczasowe pierwsze damy III RP.

Pozdrawiam ciepło
Katarzyna z Łodzi

„Alfabet celebrytów” – Sławomir Jastrzębowski, „DRz” 51/2018

Świetnie się bawiłem przy lekturze „Alfabetu celebrytów” napisanego przez byłego redaktora naczelnego „Super Expressu”. Myślę, że red. Jastrzębowski po tylu latach kierowania wielkim tabloidem ma całę worki takich smakowitych opowiadań. Zapewne nie wszystkie nadają się do publikacji, ale te, które jednak można opublikować w poważnym tygodniku, chętnie bym jeszcze kiedyś przeczytał na łamach mojego ulubionego „Do Rzeczy”. Myślę, że nie tylko ja, co poddaję pod rozprawę redakcji.

Z najlepszymi życzeniami na nowy rok
stały czytelnik

amatorzy... Za wszystkich czasów
to był nepotyzm...



„Pieśń życia” – Joanna Lichochocka, „DRz” 51/2018

Odrabiając w święta zaległości w czytaniu, natknąłem się na pomyłkę w artykule pt. „Pieśń życia” autorstwa Joanny Lichochockiej w miejscu, gdzie jest mowa o relacji Jarosława Marka Rymkiewicza z kwietnia 1942 r., dotyczącej powstania w getcie warszawskim. Jak wiadomo, powstanie to wybuchło w kwietniu 1943 r. [...]

Łączę pozdrowienia i serdeczne życzenia
noworoczne dla całej Redakcji
Leszek Kołodziejczyk

Bardzo dziękuję za zwrócenie uwagi na pomyłkę w tekście – oczywisty błąd, wynikający zapewne z pośpiechu pisania i redagowania tekstu, nikt go bowiem przed drukiem nie zauważył. W artykule piszę także o likwidacji getta w Otwocku w sierpniu 1942 r., być może ta literówka w dacie powstania w getcie warszawskim wyniknęła właśnie z tego, choć szczerze mówiąc, w istocie nie wiem, skąd się wzięła. Bardzo w każdym razie dziękuję za zwrócenie uwagi – z całą pewnością przygotowując książkę, przypilnuję, by jej nie było.

Z wyrazami szacunku
Joanna Lichochocka

TYGODNIK LECIĄCY
DO
RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabriel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jack Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cenciewicz**, **Wiesław Chmieliński**,
Dominika Coś (*Brusela*), **Krzysztof Czański**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Piotr Gursztyn, **Katarzyna**, **Jack Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalcuk**
(*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Tomasz Lenczewski**, **Maciej Pieczyński**,
Marcin Małowski, **Monika Małowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Filip Memmes**, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**,
Stefan Sękowski, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**,
Błażej Torajski, **Matthew Tyrmand**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczek**,
Marcin Wolski, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Manja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress)
Współpraca: **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Młot**, **A. Lodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski**,
Jack Nadrowski, **Anna Sobieska-Wojtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Marzena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztofa**
Okładka: **Adam Chelstowski/Forum**, **Adobe Stock**; oprac. graf. **JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 80 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Progresista w sosie własnym

Robert Biedroń za ponad miesiąc ma zadziwić Polskę konwencją założycielską swojej nowej partii. Wytrawni politycy w takiej fazie przed „momentem zero” mają wizerunkowo zaplanowany niemal każdy dzień.

Tymczasem Robert Biedroń podzielił się ze swymi fanami internetową pocztówką z bożonarodzeniowych wakacji w Nikaragui. Dowcipne zdjęcie jego nóg w hamaku w kurorcie wypoczynkowym i selfie z jeziorem w tle spowodowały lawinę kąśliwych uwag internautów. Antyklerykałowie wypomnieli mu, że pojechał odpoczywać do kraju, gdzie aborcja jest mocno ograniczona, a wrażliwi socjalnie lewicowcy zarzucili, że wybrał na wypoczynek jedno z najuboższych państw Ameryki Środkowej. Najdociekliwsi wypomnieli niedawny wywiad z Jarosławem Kuźniarem, w którym Biedroń mienił się trybunem 99 proc. Polaków, których nie stać na posyłanie dzieci do prywatnych szkół i latanie samolotem do Australii. „A szanowny Pan to jak dotarł

do Nikaragui przez Atlantykę? Pociągiem?” – kpili szydercy.

Pomysł, by chwalić się wakacjami w Nikaragui, przypomniał nie nowe spostrzeżenie. Dla kawału Biedroń zrobi wszystko. W serialu Showmaxu z 2017 r. ówczesny prezydent Słupska przebrał się za aniołka, zachowując się w sposób, który potwierdzał wszystkie stereotypy, na które oburzają się homoseksualiści. Tych lepkich aluzji w rozmaitych występach Biedronia uzbierało się w ciągu ostatniej dekady dość sporo. W 2006 r. Biedroń publicznie żartował, że marzy o tym, by Krzysztof Bosak „umył mu plecy”. W 2011 r. Biedroń, opowiadając, jak po szarpaninie z policjantem został oskarżony o „chwycenie go za pałkę”, sam zaczął rechotać ze swoich słów. „Mówienie o poważnych sprawach jakoś panu Biedroniowi słabo idzie” – tak skomentowano jego występ nawet w niekojarzącym się z pruderią TVN. Potem było dwuznaczne zdjęcie z napisem „Daję Owsiakowi”.

Biedroń wielokrotnie mówił, że idąc do polityki, chce walczyć o zmianę nega-

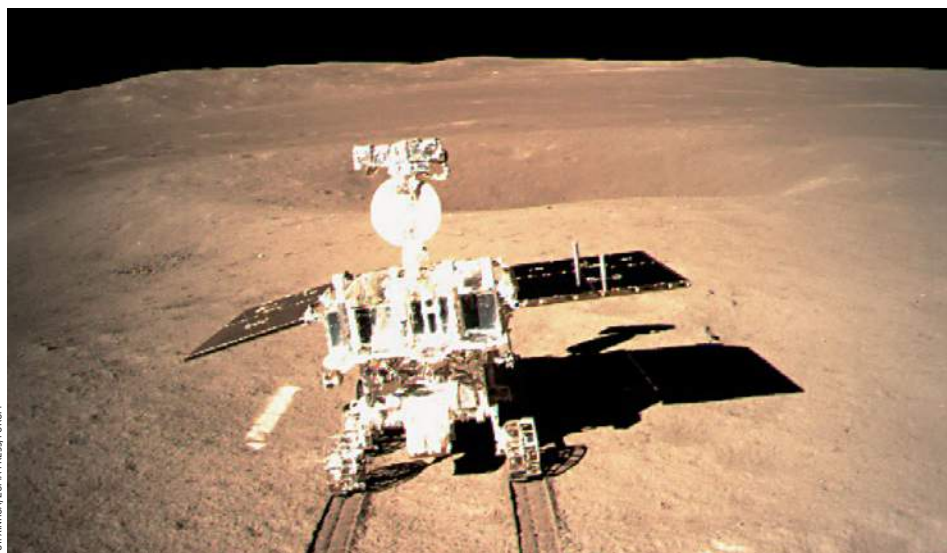
tywnych stereotypów na temat homoseksualistów. Tymczasem co rusz potwierdza wizerunek osoby, której wszystko kojarzy się z jedną dziedziną ludzkiego życia.

Nie wiem, jak w przyszłym roku potoczy się jego kariera polityczna, ale raczej trudno mi przyjąć, by zdołał zdobyć większy, dwucyfrowy wynik. Komentator „Polityki” Wojciech Szacki trafnie przyrównał pozdrowienia z Nikaragui do Madery Ryszarda Petru: „Zdjęcia z portugalskich wagarów Petru oraz nóg Biedronia w Nikaragui przy wszystkich różnicach mówią coś – i to nie najlepiej mówią – o pewnej beztrosce i braku umiejętności przewidywania u ludzi, którzy chcieliby rządzić Polską”.

Trafne słowa. Politycy ze świata „leisure culture” – czyli kultury wypoczynku i przyjemności – wymagają stosowania wobec nich stuprocentowej powagi i szacunku. Tak na świecie nie ma. Pytanie, w jak ostrej formie przekona się o tym w kampanii Robert Biedroń. ©©

CHINŹCY PODBIJAJĄ KSIĘŻYC

2 stycznia chińska sonda Cheng'e-4 – połączenie lądownika z łazikiem – wylądowała na Księżycu. To przełom. Do tej pory niewidoczna strona Księżyca, nazywana potocznie i błędnie „ciemną” stroną Srebrnego Globu, nigdy nie została bowiem dobrze zbadana. Udana misja sondy Cheng'e-4 – która z Ziemi została wystrzelona 7 grudnia 2018 r. – pokazuje również, że Chiny w kosmicznym wyścigu zrównały się ze światową czołówką, a być może nawet przegoniły Rosję czy kraje europejskie. Do 2030 r. na Księżycu ma pojawić się pierwszy Chińczyk. (jap) ©©



FOT. XINHUA/ZUMA PRESS/FORUM

Automatyzm „Niebieskiej Karty” jest zły

Z Jerzym Kwaśniewskim,
prawnikiem, prezesem Ordo Iuris
rozmawia Wojciech Wybranowski

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Premier wycofuje ustawę antyprzemocową po tym, jak część środowisk, głównie lewicowych, ogłosiła, że zapisy nowelizacji ograniczają prawa ofiary przemocy domowej.

JERZY KWAŚNIEWSKI: Mamy do czynienia z nowelizacją, która zawiera bardzo wiele dobrych propozycji usprawniających system przeciwdziałania przemocy, system stworzony w swojej istotnej części jeszcze za czasów Platformy i krytykowany już wówczas, np. w raportach NIK, jako niewydolny i niezbyt skuteczny. Powstrzymuje szeroko krytykowane i krzywdzące mechanizmy odbierania dzieci z rodzin bez wcześniejszego wyroku sądu, reformuje nieskuteczną procedurę „Niebieskich Kart”. Jednak w nowelizacji ustawy pojawiły też się zapisy niezbyt zrozumiałe, takie jak np.

stwierdzenie o jednorazowym wystąpieniu aktu przemocy...

Chodzi o to, że zgodnie z nowelizacją za przemoc domową byłoby uznawane automatycznie dopiero powtarzające się bicie.

To poważne nieporozumienie. Przemoc domowa to od lat pojęcie niedookreślone i obejmuje każde naruszenie dóbr osobistych domownika. Trzeba podkreślić, że każdy – nawet jednorazowy – akt przemocy jest traktowany jako przestępstwo, ustawa tego nie zmienia. Niestety projekt nie zmieniał również samej definicji przemocy, która wciąż pozostawała bardzo szeroka i niejasna. Jeżeli mamy określić kogoś mianem sprawcy przemocy i wszczynać stosowne postępowania, powinniśmy jasno wyznaczyć kryteria tego, co tą przemocą jest. Przy krytycznej ocenie ujęcia zaproponowanego w ustawie, rozumiem intencje projektodawcy – chodziło o to, by nie angażować całego systemu terapeutycznego, zespołów opieki społecznej i systemu wsparcia

w sytuacji, w której mieliśmy do czynienia z pojedynczym incydentem, np. wyzwiskiem rzuconym między domownikami. Nowelizacja dawała dobre instrumenty, by każdorazowo weryfikować konieczność uruchomienia takiego wsparcia, likwidując automatyzm otwierania „Niebieskiej Karty”. Obecny system był dysfunkcyjny, ponieważ każde doniesienie powodowało otworzenie procedury „Niebieskiej Karty”, stygmatyzując „przemocowca”. Groźba założenia karty była nagminnie stosowana w konfliktach rodzinnych, z ogromną szkodą dla skuteczności całej procedury. W myśl nowelizacji powstałby zespół ekspercki, który określałby, czy jest zasadność otwarcia „Niebieskiej Karty”, i przygotowałby plan wsparcia dla środowiska, w którym przemoc została stwierdzona.

Żałuje pan, że premier Morawiecki wycofał ustawę?

Mam nadzieję, że nowelizacja szybko wróci na agendę po odpowiednich korektach. ©©

REKLAMA

Rozbite marzenia

Wsetną rocznicę rozpoczęcia kongresu wersalskiego, zakończonego traktatem pokojowym, ustanawiającym nowy ład w Europie, przypada premiera serii „Rozbite marzenia. 1918–1939”. Wyjątkowa międzynarodowa produkcja z udziałem TVP to jeden z najważniejszych seriali europejskich ostatnich lat: historia odradzającej się Europy po I wojnie światowej, widziana z perspektywy autentycznych postaci. W produkcję zaangażowało się kilkanaście europejskich telewizji publicznych, w tym Telewizja Polska. W rolę Poli Negri wcieliła się Michalina Olszańska, a jej matkę zagrała Małgorzata Zajączkowska.

„Rozbite marzenia. 1918–1939” to portret dramatycznych zdarzeń lat 20. i 30. XX w. Wciągająca historia niezwykłych mężczyzn i kobiet z Francji, Niemiec, Włoch, Wielkiej Brytanii, Austrii, Szwecji i Polski, którzy starają

się odnaleźć w nowej, powojennej Europie. Chcą żyć, kochać i walczyć o to, aby świat po wielkiej wojnie okazał się lepszy i bardziej sprawiedliwy. Niektórym towarzyszy smutek, rozczarowanie, stare lęki i nienawiść, ale pojawiają się również nowe marzenia i nadzieje. Klimat tamtych czasów poznamy m.in. dzięki zapisanym w dziennikach wspomnieniom oraz fragmentom listów, telegramów i artykułów prasowych z epoki. Sceny fabularne, osadzone w kontekście wydarzeń historycznych, zostały wzbogacone unikatowymi materiałami archiwalnymi. Serial przedstawia losy bohaterów, którzy poprzez swoje wybory i przekonania zostają wciągnięci w konflikt dwóch najgroźniejszych XX-wiecznych ideologii: komunizmu i faszyzmu.

Pierwszy odcinek – którego akcja toczy się w ostatnich tygodniach I wojny światowej – widzowie TVP 2 zobaczą już w poniedziałek, 7 stycznia, o godz. 21.55. Kolejny odcinek 14 stycznia o godz. 21.55.





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

PO-PiS prawdziwy

Stare powiedzenie, że szklanka wypełniona w jednej drugiej dla optymisty jest do połowy pełna, a dla pesymisty w połowie pusta, znajduje nowe zastosowanie w sposobie, w jaki komentowane są od pewnego czasu posunięcia władzy. Zwolennicy PiS zwracają uwagę, że PiS nie zrobił niczego, czego nie robiła, będąc u władzy, PO. Zwol-

nową jakością, a drudzy uspokojeni, że owej jakości, zapowiadanej jako „średniowiecze”, zagłada demokracji i „wyprowadzenie z Europy”, skoro nie stworzył przez trzy lata, to raczej już nie ma się jej co bać.

Podobną, rytualną już wymianą zdań skwitowane zostało włączenie do rządu byłego narodowca Adama Andruszkiewicza w randze wiceministra cyfryzacji. Opozycja zapalała oburzeniem, że „jawnie już” PiS związał się z byłym szefem Młodzieży Wszechpolskiej, a więc „nacionalistą”. Zwolennicy władzy odpowiedzieli przypomnieniem, że opozycja związała się już dawno temu z jeszcze większym nacionalistą, bo nie tylko byłym szefem, lecz także założycielem MW, Romanem Giertychem (droga obu polityków, acz w rozbieżne strony, wydaje się zresztą podobna – obaj gładko zapomnieli o całym programie i tradycji endecji, poza patriotyczną frazeologią, i zaferowali się poli-

tycznym plemionom jako ludzie do łojenia ich przeciwników najmocniejszymi słowami). PO oskarżyła PiS o „korupcję polityczną”, bo synekurą dla polityka chce obłaskawić i przyciągnąć jego środowisko – PiS przypomniał PO Arłukowicza, Piterę, Rosatiego czy, z całkiem już niedawnych transferów, kupione obietnicą „biorących miejsc” Nowacką i Gasiuk-Pihowicz. I tak dalej.

Otym, że Andruszkiewicz jest 82. wiceministrem w rządzie liczącym sobie 104 ministrów i ich zastępców, co lokuje Polskę w „Księdze rekordów Guinnessa”, o jego ewentualnych kwalifikacjach bądź ich braku, o tym, czy zajmowanie się mediami społecznościowymi wymaga aż wiceministra i o podobnych sprawach nikt na poważnie nie próbował dyskutować, bo i po co. Pewne rzeczy uważa się u nas za oczywiste, a w każdym razie za takie, do których wszyscy już się przyzwyczaili. ©©

Andruszkiewicz jest 82. wiceministrem w rządzie liczącym sobie 104 ministrów i ich zastępców

nicy PO – że PiS robi to samo, za co ją krytykował. Niezrozumiałe jest tylko to, dlaczego w takim razie skłócone plemiona nie pogodzą się i nie rzucą sobie w ramiona, jedni rozczarowani, bo przecież PiS zapowiadał, że stworzy zupełnie



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

O wolność waszą, nie naszą

Kilka lat temu miało miejsce zdarzenie, które wzbudziło obawy, czy wolność słowa w Polsce nie jest zagrożona. Otóż, a działo się to w samym środku rządów koalicji PO-PSL, państwowa uczelnia – ASP w Gdańsku – nie zgodziła się, by studiował w niej mężczyzna, który co prawda świetnie zdał egzaminy, ale odmówił – tłumacząc, że jest monarchistą – ślubowania wierności „ideałom humanizmu i demokracji”. Na prawicy zawrzało, liberalna lewica, pełna sloganów o wolności słowa, też się na moment wzdęła moralnie, by szybko uznać, że nic się nie stało, bo kto nie wyznaje ideałów

rewolucji francuskiej, to wicie, rozumiecie...

Minęło sześć lat i znów „demokraci” z „wolnością słowa” na rewolucyjnych sztandarach rozpoczęli szturm nienawiści na nauczycielkę biologii z IV LO w Kielcach, która to na swoim prywatnym profilu facebookowym zakwestionowała prawa homoseksualistów do adopcji dzieci; homoseksualizm określając przy tym jako zaburzenie psychiczne. De facto nie napisała niczego skandalicznego, niczego, co byłoby nieprawdą, ale fakt, że ośmieliła się mieć zdanie inne niż to, które lewica i media z Czerskiej usiłują narzucić opinii publicznej, zaowocował taką

nagonką, że potępiła ją nawet szkoła, w której pracuje.

Nihil novi – miesiąc wcześniej przypuszczono medialny atak, a z poznańskiego III LO usunięto księdza, który miał czelność stwierdzić, że młodzież katolicka bywa szykanowana częściej niż uczestnicy „tęczowych piątków”. Kto nie z Mieciem, tego zmieciem.

Pprzed wyborami do PE szykuje się wysyp lewicowych i lewackich zgromadzeń, a slogany o wolności słowa będą dumnie powiewać na transparentach. O wolność słowa będą walczyć zaciekle niczym lwy. Swoją, nie naszą. ©©

Hakerzy ujawnili tajemnice niemieckich polityków

Numery telefonów komórkowych, adresy e-mail, skany dowodów osobistych, a nawet zapisy czatów z członkami rodzin oraz dane kart kredytowych krewnych czołowych niemieckich polityków ujawnili w zeszłym tygodniu hakerzy.

Wśród ofiar największego tego typu cyberataku w historii Niemiec jest kilkuset polityków zarówno z rządu, jak i z opozycji, w tym m.in. kanclerz Angela Merkel, prezydent Frank-Walter Steinmeier, a także posłowie do Bundestagu.

Hakerzy ujawnili również listy zarówno pisane przez kanclerz Merkel, jak i do niej adresowane, a także wewnątrzpartyjne dokumenty.

Poza politykami ofiarami ataku padli też dziennikarze oraz celebryci. Nie wiadomo, kim są hakerzy. Niemiecki kontrwywiad zwrócił jednak



FOT. METODI POPIWIAKO/FAST NEWS

uwagę, że w zeszłym roku wiele ataków wymierzonych w rządzących polityków oraz w niemiecką armię przeprowadzili członkowie rosyjskich oddziałów cyberszpiegowskich.

(jap) ©

W TYM ROKU 490 KM NOWYCH DRÓG

Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad zapowiada, że w tym roku planuje oddać do dyspozycji kierowców blisko 490 km nowych dróg. Wśród nich będą m.in. trzy nowe odcinki autostrady A1, siedem nowych odcinków drogi ekspresowej S6 oraz pięć odcinków S5. Gotowe mają być także odcinki obwodnic: Góry Kalwarii, Inowrocławia, Olsztyna, Koszalina. (luz) ©

NIK ROZPOCZĘŁA KONTROLĘ W NBP

Najwyższa Izba Kontroli rozpoczęła kontrolę w Narodowym Banku Polskim. Będzie ona dotyczyła m.in. spraw związanych z systemem wynagradzania w banku centralnym. Prezes NIK Krzysztof Kwiatkowski dał w mediach do zrozumienia, że badanie zarobków ma związek z ujawnioną przez „Gazetę Wyborczą” sprawą dwóch najbliższych współpracowników prezesa NBP Adama Glapińskiego. (luz) ©

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA
PRENUMERATA

W APLIKACJI MOBILNEJ

w prezencie opaska sportowa
MANTA BLUETOOTH SWT9305

Cena: 148 zł
Oszczędność: 199 zł



MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Garść cytatów

Nie wiem, czy wprowadzenie euro per saldo wyszło Europie na zdrowie czy nie.

Wiem natomiast, że na postępowych salonach za podważanie dogmatu unijnej wiary o boskości euro karzą ostracyzmem i wypędzają do Ciemnogrodu, wyzywając od wsteczników, idiotów, nacjonalistów, a nawet faszystów.

Należałoby chyba spalić na stosie Komitet Noblowski przyznający nagrody w dziedzinie ekonomii

Idąc tym tropem postępowej myśli, należałoby chyba spalić na stosie Komitet Noblowski przyznający nagrody w dziedzinie ekonomii, nie mówiąc o wielu laureatach. Posłuchajcie tych jeżących włos na głowie postępowca herezji:

„Euro jest projektem politycznym, a nie ekonomicznym.

nym. Wywoła ostre konflikty” (Milton Friedman, Nagroda Nobla 1976);

„Przyjmując euro, Italia bardzo sobie zaszkodziła. Stała się krajem Trzeciego Świata” (Paul Krugman, Nagroda Nobla 2008);

„Ten kryzys, który doprowadził do katastrofy, został wywołany sztucznie, a jego imię składa się z czterech liter: EURO” (Joseph Stiglitz, Nagroda Nobla 2001);

„Euro w krajach o różnej dynamice wzrostu było ideą koszmarną. Powiększyło bezrobocie, ograniczyło pomoc społeczną, a koszty tej operacji w wielu krajach doprowadziły do załamania gospodarki i kryzysu finansowego” (Amaritya Sen, Nagroda Nobla 1998);

„Patrząc z boku, sądzę, że Włochy nie powinny pozostać w strefie euro. Powinny ją jak najszybciej opuścić” (James Mirrlees, Nagroda Nobla 1996);

„Aktualnej sytuacji nie da się utrzymać przez dłuższy czas. Trzeba zlikwidować euro, by odbudować zaufanie, którym kiedyś darzyły się kraje członkowskie Unii Europejskiej” (Christopher Pissarides, Nagroda Nobla 2010).

I jeszcze ciekawostka. Mario Draghi, prezes Europejskiego Banku Centralnego, innymi słowy „Mister Euro”, w 1970 r. napisał pracę magisterską na rzymskim uniwersytecie La Sapienza pt. „Integracja europejska i zmiany kursów wymiany walut”. Promotorem był wybitny ekonomista prof. Federico Caffè. Czytamy tam m.in.: „Wprowadzenie wspólnej waluty europejskiej byłoby szaleństwem. Nie wolno tego robić.” ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Władza niechciana

Dzień dobry w 2019 r. – roku wyborczego armagedonu, w którym tweetów do rubryki na pewno nie zabraknie.

„Kończy się trudny rok, a w nadchodzącym Polskę czekają zmiany. Możemy wszystko stracić na lata albo zbudować demokratyczne i wolne państwo” – napisał np. optymistycznie Grzegorz Schetyna. Tylko nie wiem, czy jego przekaz mobilizujący o „straceniu wszystkiego na lata” poderwie bardziej wyborców PO-KO czy PiS.

Może ten spin odpowiedział mu po prostu jeden z dziennikarzy jednego z tygodników? „Zdziwienie, że redaktor Cezary Michalski doradza (rzekomo) przewodniczącemu Schetynie. Wielu dziennikarzy tutaj doradza politykom zupełnie za darmo” – stwierdził Michał Wróblewski. Co by wiele tłumaczyło.

À propos głośnych, choć hipotetycznych transferów: „Witold Waszczykowski potwierdził, że »były rozmowy«, by Ryszard Makowski (ten od Studia YaYo) został konsulem generalnym w Los Angeles. Dobrze, że się nie zgodził. Byłaby to strata dla polskiej kultury (choć zysk dla dyplomacji)” – skomentował całą sytuację (z zyskiem dla satyry) Patryk Słowik.

Może prawdą jest, że opozycja wcale władzy przejąć nie chce, tylko udaje, że chce, bo inaczej nie wypada?

„Tak sobie patrzę na dmuchnięte wydatki sztywne, obniżony wiek emerytalny, kompletny bałagan w energetyce, załamanie w inwestycjach i chmury na makrohoryzoncie i myślę, że w sumie to władza w kolejnej kadencji nie jest najbardziej atrakcyjnym towarem na rynku...”

– dywagował np. Marek Tejchman.

I chyba nie jest daleki od prawdy, patrząc na to, jak już dzisiaj władza musi się gimnastykować. „Energia zdrożeje, ale nie zdrożeje, gdyż zdrożeje dla budżetu państwa, czyli wszystkich podatników, tylko z innej strony, niż gdyby zdrożała dla poszczególnych obywateli i podmiotów, czyli za to zdrożenie zapłacimy w innych podatkach, żeby nie wyglądało na proste zdrożenie :)” – napisał Stanisław Janicki. Jak na moje oko ten uśmiech na końcu był jednak gorzki. ©©

Delegowaliśmy na Polskę
agencji neutralności Świętopoglądowej...



CEZARY KRZYSTOPO



Biurokratyzacja nie sprzyja nauce

Z prof. Andrzejem Nowakiem rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: W liście otwartym do prezesa Kaczyńskiego „w sprawie wolności polskiej humanistyki” (ukazał się na DoRzeczy.pl) krytykuje pan pomysł ustalania przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego listy czasopism i wydawnictw, w których powinni publikować polscy naukowcy. Pańskim zdaniem reforma Jarosława Gowina „wspiera konformizm i dostosowanie do urzędniczych tabel”.

ANDRZEJ NOWAK: Reforma nauki oparta jest na założeniu jeszcze dalej posuniętej reglamentacji oraz centralizacji niż w przypadku zmian wprowadzonych za rządów PO-PSL przez minister Kudrycką oraz Kolarską-Bobińską. Na ironię zakrawa fakt, że autorem reformy jest polityk, który jako minister w rządzie PO głosił hasło deregulacji.

Minister Gowin w odpowiedzi na pański list argumentuje, że regulacje są potrzebne, gdyż obecnie wydaje się zbyt wiele „byle jakich” publikacji naukowych. To pana nie przekonuje?

Odpowiedzią na patologię nie powinna być centralna regulacja, tylko oddolna kontrola, a więc oddanie głosu sprawdzającego jakość konkretnych monografii poszczególnym uczelniom. Renoma wydawnictwa nie musi stanowić o jakości publikacji. Jestem w stanie podać przykłady wybitnych monografii, które nie znajdują uznania, gdyż ich wydawca nie znalazł się na liście ministerialnej. Z kolei tzw. prestiżowe wydawnictwa, docenione przez resort, publikują także bezwartościowe teksty, nierzadko wpisujące się w modę panującą w skrajnie zideologizowanych ośrodkach nauk społecznych na Zachodzie. Ostatecznie o tym, które wydawnictwa będą uznane

za wartościowe naukowo, zadecydują urzędnicy i eksperci ministerstwa w Warszawie. Nawet przy uznaniu ich dobrej woli pozostaje to przejawem biurokratyzacji, która nie sprzyja nauce, a szczególnie humanistyce. Pan minister nie całkiem rzetelnie odniósł się do mojego listu, sugerując, że to fanaberie jednego człowieka, który najwidoczniej „nie zrozumiał” zamysłu reformy. Tymczasem pod apelem podpisało się w ciągu kilku godzin ponad 70 wybitnych naukowców, od Jarosława Marka Rymkiewicza do Andrzeja Walickiego, od Jacka Bartyzela do Jana Woleńskiego, a także reprezentanci całych środowisk, tak jak prezesi Polskiego Towarzystwa Historycznego, Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Komitetu Nauk Historycznych PAN, Kolegium IPN...

Nawet jednak, jeśli monografia zostanie opublikowana w wydawnictwie spoza listy, autor będzie mógł ją zgłosić do oceny powołanym przez komisję ewaluacji nauki ekspertom, którzy ocenią, czy publikacja zasługuje na włączenie do dorobku.

Rocznie w Polsce publikuje się 20 tys. monografii. Z tego niech połowa trafi do wydawnictw z listy ministerialnej. Druga połowa miałaby podlegać ocenie eksperckiej. Żadna centralna komisja nie jest w stanie rzetelnie ocenić 10 tys. książek w ciągu roku. Wybrane przeze mnie zagadnienie listy wydawnictw to tylko przykład, dobitnie pokazujący tendencję reformy, którą najpełniej wyrażają dwa słowa, zapisane w Starym Testamencie – „mane, tekel...”, czyli wszystko „zmierzyć i zważyć”. Pozostaje dodać słowo przestrogi: „fares”, czyli rozproszenie, katastrofa. ©©

MORAWIECKI POLITYKIEM ROKU

Tytuł Polityka Roku 2018 w sondażu CBOS przypadł premierowi Mateuszowi Morawieckiemu. To jego wskazało najwięcej ankietowanych (13 proc.). Wśród polityków, którzy zdaniem Polaków najlepiej działali i zrobili najwięcej w interesie kraju, na kolejnych miejscach znaleźli się: prezydent i prezes PiS. Na Andrzeja Dudę wskazało 10 proc. badanych, a na Jarosława Kaczyńskiego – 6 proc. Czwarte miejsce zajęli były premier i szef Rady Europejskiej Donald Tusk (4 proc.).

Większość badanych nie potrafiła jednak wskazać polityka, któremu za ubiegły rok można by przyznać taki tytuł (53 proc.). W dodatku aż 22 proc. ankietowanych uznało, że żaden z polskich polityków na takie wyróżnienie nie zasługuje. Podobnie było, gdy CBOS pytało o polityka roku 2018 na świecie. Również blisko połowa Polaków nie potrafiła nikogo wskazać, a 18 proc. uznało, że żaden ze światowych przywódców na takie miano nie zasługuje.

Wśród tych, których badani wskazywali, najlepszym światowym politykiem w ubiegłym roku okazał się Donald Trump. Za jego kandydaturą było 18 proc. ankietowanych. Drugie miejsce zajęła kanclerz Niemiec Angela Merkel (5 proc.). Trzecie miejsce przypadło równorzędnie Donaldowi Tuskowi i prezydentowi Rosji Władimirowi Putinowi (po 5 proc.). Tuż za podium był premier Węgier Viktor Orbán, którego za polityka miniego roku roku uznało 2 proc. ankietowanych przez CBOS. (luz) ©©

SYLWESTER W TVP2 NAJCZĘŚCIEJ OGLĄDANY

TVP organizująca w sylwestrową noc transmisję imprezy z Zakopanego – „Sylwester marzeń” – pobiła ubiegłoroczny rekord oglądalności. Z TVP2 przed telewizorami Nowy Rok witało średnio 6,4 mln osób. W czasie najwyższych oglądalności transmisję śledziło nawet 7,9 mln ludzi. Przy samej scenie w Zakopanem, gdzie występowali m.in. Alvaro Soler, Zenek Martyniuk czy Sławomir, bawiło się ok. 70 tys. osób (szacunki policji). Wyniki oglądalności imprez organizowanych przez stacje komercyjne były gorsze. Imprezę Polsatu transmitowaną z Chorzowa oglądało średnio 1,75 mln widzów (2,5 mln w czasie najwyższej oglądalności). Koncert noworoczny odbywający się na pl. Bankowym w Warszawie za pośrednictwem TVN oglądało średnio 1,6 mln ludzi (2,5 mln – w czasie najwyższej oglądalności). (luz) ©©

O MAŁŻEŃSKICH WYRZECZENIACH

Justyna Żyła przebojem weszła do polskiego show-biznesu dzięki temu, że zaczęła opowiadać plotkarskim mediom o kryzysie w swoim małżeństwie ze znanym skoczkiem narciarskim Piotrem Żyłą. Im bardziej kryzys się pogłębiał, tym głośniejsze było o Justynie. W okolicach rozwodu Justyna mogła już poszczycić się okładką w „Playboyu” i własnym programem w jednej ze stacji lifestylowych (program nosi tytuł – uwaga, uwaga, bo też na początku nie uwierzylimy – „Justyna Żyła. Pierzemy brudy do czysta”). Mimo wyprania już wszystkich swoich brudów publicznie Justyna ma żal do świata, że źle to wszystko zostało odebrane. Martwią ją komentarze, że sukcesy sportowe Piotra Żyły to efekt rozstania z nią i że powinien był zrobić to wcześniej. – Niewiele osób wie, jak to jest żyć ze sportowcem, więc bolą mnie treści, które mówią o tym, że Piotrek odciął się od „toksycznej baby”, więc w końcu dobrze skacze. Gdyby nie skakał, byłoby, że jest zmęczony przez medialną wojnę. Jednak nasza historia to 15 lat, w których nie udzielałam się medialnie, a Piotrek pracował – skarży się Justyna. 15 lat nieudzielania się medialnego! 15 lat bez wywiadów i sesji w „Playboyu”! Czy można sobie wyobrazić większe poświęcenie w małżeństwie?

CYRK NA KÓŁKACH

Kolorowe media donoszą, że aktor serialowy Kuba Wesołowski postanowił zostać coachem, czyli trenerem motywacyjnym. To nowa moda wśród celebrytów: pisanie głupio-mądrych tekstów na Instagramach i zaraz potem refleksja, że może można na tym zarobić. Wesołowski postanowił pójść o krok dalej, bo chce ze swoich motywacyjnych gadek zrobić wielki show z petardami i iluzjonistami. Serio. – „Be supreme” to duży event coachingowy, teatralny. Coś kompletnie wyjątkowego, 1500 osób w wielkiej hali i połączenie mentoringu z magią, iluzją i teatrem – opowiada aktor. Oczywiście taki event nie może się obyć bez gwiazd. Dlatego Wesołowski planuje zaprosić m.in. Annę Lewandowską, Joannę Przetakiewicz czy Łukasza Jakóbiaka. W roli prowadzącej widziałaby zaś Natalię Siwiec. – To jest takie sześciogodzinne show z mówcami, pirotechniką, muzyką, występami muzycznymi, aktorami i bardzo rozbudowaną scenografią. To ma być takie show mentoringowe – zapowiada. Czytając opis tego całego coachingowego show, mamy jedną złotą radę na starcie: Ratuj się, kto może!



FOT. ANIEL GRADWA

UCZYŁ MARCIN MARCINA

Barbara Kurdej-Szatan odkąd wzięła udział w serii reklam popularnej sieci komórkowej, nie może narzekać na brak zainteresowania. Jest wszędzie. Gra w serialach, prowadzi programy, śpiewa, tańczy i co tylko chce. Przy okazji do show-biznesu postanowiła wkręcić także swojego małżonka, który – jak donosiły kolorowe media – jako niespełniony muzyk z zazdrością spoglądał na sukcesy żony. I tak za sprawą żony mąż Szatan wziął udział w programie „Jak oni śpiewają”, a także dostał rolę u boku małżonki w serialu „M jak miłość”. Barbara pochwaliła się w „Fakcie”, że w domu daje mężowi cenne wskazówki dotyczące pracy na planie. – Dla Rafała była to pierwsza praca aktorska i pierwszy serialowy plan. Wiem, że trochę go to stresowało – zdradza. – W domu dużo rozmawialiśmy o jego postaci i scenach, które ma odegrać. Zastanawialiśmy się, jak można ugrzyć tego bohatera, żeby było ciekawie. Pomagałam mu, żeby fajnie to wyszło, i naprawdę uważam, że efekt jest super – zachwala celebrytka. Aktorka znana do niedawna z roli w jednej reklamie udziela porad, jak budować rolę. W tasie. Mężowi. To się musi skończyć jakimś Oscarem!



FOT. WIDEOEAST NEWS

WSZĘDZIE UKŁAD!

Od premiery nowej płyty Mariny Łuczenko-Szczęsnej, żony bramkarza reprezentacji Wojciecha Szczęsnego, minął już rok i trudno mówić o wielkim sukcesie. O małym też trudno mówić.

Jest cisza. Nawet sama Marina niespecjalnie już płytę promuje. Początkowo jeszcze przekonywała w wywiadach, że ma dar w postaci muzycznego talentu i w muzyce do wszystkiego doszła sama, ale później jakby zabrakło jej do tego wszystkiego serca. Potem zaszła w ciążę, poród, dziecko i wiadomo, inne priorytety. Temat wrócił niespodziewanie, gdy jeden z jej fanów pod rodzinnym, świątecznym zdjęciem Szczęsnych zapytał, dlaczego piosenki Mariny nie są grane w rozgłośniach radiowych. Ta odpowiedziała dość emocjonalnie. „Bo nie mam za sobą wytwórni, układów i nie daję w łapę” – stwierdziła. Złośliwi, którzy mieli do czynienia z jej twórczością, mogliby napisać: „Na szczęście”, ale w nowym roku tak nie wypada. Więc nie napiszemy. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, jak życie po tym traumatycznym okresie świąteczno-noworocznym? Udało się przetrwać firmowe wigilie bez akcentów religijnych, tego krępującego łamania się opłatkiem i śpiewania kolęd?

Wybory to świecko demokracji, a pis może nie zechcieć pozwolić nam świeckować

A jak spędziliście sylwestrę? Udało wam się uniknąć dyskryminacyjnej radości z tego, iż kończy się stary rok (potworny ejdżyzm), ale jednocześnie przyjęliście nowy rok, tak jak byście przyjęli rodzinę architektów z Erytrei?

Wiemy, kochani, iż taka postawa wymaga flexybilności i systematycznego ćwiczenia umysłu, ale zobaczcie, iż jeszcze kilka takich

okazji i sami nie będziecie wiedzieli, co świękujecie i dlaczego :)

Odwiedziliśmy krakowski jarmark winterholidayowy i musimy powiedzieć, że ten kraj zupełnie nie nadąża za zachodnioeuropejską modą.

Przed wszystkim smuci widok tych wszystkich zmanipulowanych przez Kościół osób, które w czasie winter holidays nie potrafią się pozbyć katolickich naleciałości i kultywując tradycję, kupują różne jakieś szopki, bombki i ozdoby z motywami religijnymi. Pomijając to wszystko nawet: ale dominują w tłumie pigmentalnie nieuposażone osoby, w dodatku w większości Polacy.

No i po trzecie: wszystko tak zupełnie otwarte, bez modnych ostatnio w budownictwie mieszkaniowym, ale też miejskim, elementów betonowych. Jesteśmy, kochani, dalej w XIX w.

Aw ogóle to pamiętacie, iż w tym roku będziemy mieć aż dwa razy okazję, aby odsunąć pis od władzy? Najpierw będą to wybory europejskie, które odbędą się dzięki UE. Będziemy dzięki nim mogli wskazać, kto będzie reprezentował nas w Unii – no bo nie nasze interesy, iż nasze interesy są europejskie, a więc jako takich w UE ich bronić nie trzeba.

A już jesienią odbędą się wybory do parlamentu, a przynajmniej mamy taką nadzieję. Wiadomo bowiem, iż wybory to świecko demokracji, a pis może nie zechcieć pozwolić nam świeckować. Of kors boimy się również fałszerstw, ale cała nasza nadzieja w POKO, zapowiada się pasjonująca rywalizacja i arcyciekawy rok wyborczy xD ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

NOWY SERIAL

ROZBITE MARZENIA

Poniedziałek 21:55

1918
1939

WIELKA
MIĘDZYNARODOWA
KOPRODUKCJA

ATAK ZIMY

Trwający od początku stycznia sztorm na Bałtyku uderzył w wybrzeże z taką siłą, że kilkumetrowe fale napierały na bulwar i falochron w Gdyni. Potężny wiatr, który niczym zapałki łamał stare drzewa lub wyrwał je z korzeniami, dokonał też ogromnych zniszczeń na Półwyspie Helskim.

Trudne warunki panują także w górach. W Tatrach w zeszłym tygodniu obowiązywał czwarty stopień zagrożenia lawinowego. Część turystów, którzy zostali uwięzieni w schroniskach, została ewakuowana śmigłowcem TOPR. Meteorolodzy ostrzegają: w styczniu będzie zimno i śnieżnie. *(jap)* ©©





My w sprawie rzekomych przedterminowych wyborów. Wiewiórki z rozmaitych ministerstw opowiadają z tajemniczą miną, że premier Mateusz wydał nieoficjalne dyspozycje, żeby z rozmaitymi sprawami, wyliczeniami, propozycjami, podsumowaniami pracy resortów etc. uwinąć się do końca stycznia i być w gotowości. Czyli tak: oficjalnie nie ma tematu, ale nieoficjalnie rząd jest w stanie gotowości.

Rząd był także w innym stanie – osłupienia. Stan został wywołany sugestią przysięgnięcia do rządu diamentu młodych polskich narodowców, Adama Andruszkiewicza. Osłupienie zamieniło się w panikę i grę w gorącego kartofla (tak, wiemy, nieładnie nazywać narodowców kartoflami, a poza tym Andruszkiewicz aż tak gorący nie jest). Ostatecznie dobrym sercem wykazał się minister cyfryzacji Zagórski i przysięgnął gorący kartofel do serca.

Przypominamy przy okazji – ludzie małej wiary nie zwrócili uwagi na nasze denuncjacje sprzed kilku tygodni, że szykuje się inwazja nowych wiceministrów do rządu. Ich sprawa. Przyznajemy jednak, że inwazji Andruszkiewicza nie przewidzieliśmy nawet my.

Przy okazji ukuliśmy dowcip. Rząd jest jak restauracja – jedni wychodzą, inni wchodzą, tylko menu pozostaje bez zmian.

Jeszcze o Andruszkiewiczu. Wszyscy trąbią nieustannie o jego kilometrówkach. A nas interesuje bardziej, co się dzieje z pieniędzmi, które świeżo upieczony sekretarz stanu organizował na budowę pomnika Romana Dmowskiego w Białymstoku. Pomnika nie ma. To pewne. A co z pieniędzmi?

Jeszcze raz o Andruszkiewiczu. Komentarzy twierdzą, że jego przysięgnięcie to dopieszczanie narodowców. Są w mylnym błędzie. Chodzi o dopiesz-

czenie koła Wolni i Solidarni Kornela Morawieckiego. Sygnał mówi: „Warto trzymać z WiS, bo czekają stanowiska oraz dobre miejsca na listach wyborczych do Sejmu jesienią”. A gdy już kandydaci WiS znajdują się w parlamencie, może się okazać, że posłowie Solidarnej Polski całkiem są tam niepotrzebni. Ot, ohydna plotka z miasta.

Tyle już dni minęło od sylwestra, a my wciąż żyjemy tragedią Misia Kamińskiego. Ten legendarny mąż i prorok, który w roku 2012 ogłosił koniec PiS z powodu nadprogramowego posiedzenia Sejmu, nie mógł się być odpowiednio wcześniej udać na sylwestra do Szczawnicy. Nic nas tak nie poruszyło od czasu, kiedy Adam Mickiewicz utknął w Wielkopolsce w drodze do powstania listopadowego i musiał w zamian napisać „Pana Tadeusza”.

Sytuacja jest dużo gorsza. Mało kto wie, że Misio Kamiński zwykle spędzał sylwestra w Zakopanem, gdzie wraz z Romanem Giertychem pływał się w jacuzzi. Niestety, od czasu przejęcia przez TVP miasta Zakopane poprzez organizowanie tam PiS-owskich narodowych koncertów sylwestrowych Misio i Koń musieli udać się na emigrację. Jeżdżą się pływać zupełnie gdzie indziej. Głęboko im współczujemy. Żartowaliśmy, oczywiście.

Zżycia kukistów. Niedawno odbyło się spotkanie Związku Pracodawców Polskich z Kukizem. Paweł, któremu klub trochę się rozlaźł, wciąż ze względu na sondażowe notowania posiada pewną polityczną atrakcyjność. Nie posiada za to wystarczającej ilości pieniędzy. Temu miał służyć planowany mariaż z pracodawcami. Jednak ZPP zaliczywał



dwaj panowie **g**

zbyt wysoko, żądając połowy jedynek na listach wyborczych. Tak biedny i zdesperowany to Kukiz jednak jeszcze nie jest.

Wiemy natomiast, że Kukiz odmówił jedynki w Warszawie Markowi Jurkowi. W tej sytuacji Jurek zamierza ruszyć do boju o mandat z Winnickim i Bosakiem. Jest tylko jeden problem. W kolejce do warszaw-

Pisaliśmy wcześniej, że szykuje się inwazja nowych wiceministrów do rządu. Przyznajemy jednak, że inwazji Andruszkiewicza nie przewidzieliśmy nawet my

skiej narodowej jedyńki jest już jakichś sześciu kandydatów. A może nawet 16.

Podwójnie wyborczy rok będzie gorący. Jak chlapnęły wiewiórki, plan Pełło jest taki, żeby Rafcio Trzaskowski-Waltz podkreślił jak może atmosferę wokół pomnika smoleńskiego na pl. Piłsudskiego, a najlepiej dwóch (to znaczy pomnika śp. prezydenta też). Chodzi o to, by grając kartą „wyburzyć/referendum/sądy zakazały”, skłonić lud PiS-owski do samoorganizacji pod pomnikami. Gdy już lud się zbierze, żeby pilnować, różne klony Andrzejków Hadaczy dołożą swoje. Cel: powtórka z akcji na Krakowskim Przedmieściu z roku 2010. I gotowe klipy na kampanię 2019 r.: „Oni pójda na wybory, a Ty?”.

Jednocześnie chcemy gwałtownie zaprotestować przeciwko tezie wiceprezydenta stolicy Pawła Rabieja, jakoby jemu i jego partnerowi brakowało do szczęścia tylko dziecka. A Rafcio Trzaskowski-Waltz? Przecież to nie tylko duże, lecz także największe dziecko polskiej polityki. Znak rozpoznawczy: jak każde dziecko plecie co ślina na język przyniesie oraz wykonuje dziwne miny i gesty, oczekując natychmiastowego aplauzu.

Wiecie, co to jest Biedrońka? Tak popularnie się nazywa internetowy Sklep Roberta, czyli najbardziej znanego polskiego geja, który porzucił Słupsk. Wygląda na to, że Biedroń wraca do źródeł. Szefową Biedrońki jest bowiem niejaka Katarzyna Überhan, która miała polityczny romans z Palikotem. Obecnie buduje Biedroniowi nie tylko sklep z tanizną, lecz także struktury partii.

Jak się wydaje, Biedroń posiada pewną predylekcję do pań z niemieckimi nazwiskami. Podobno chce dać też jedyńki na listach do europarlamentu Danucie Hübner oraz Róży Marii Barbarze Gräfin von Thun und Hohenstein. Pełło płakać po nich nie będzie, bo tam wszyscy uważają, że należy im się miejsce na liście do europarlamentu.

Płacz natomiast gorzko Tadzium Zwielfka. Ten, który – jak żartują – nazwisko wziął od tego, że popisywał się na listach obecności w europarlamencie, za co kasował pieniądze, a następnie zwiwał do kraju. Otóż jego

obecna kadencja ma być definitywnie ostatnia, bo pierwszeństwo w rodzinnym Bydgoszczu i Dworze Chobielin ma mieć Radio Sknerus Sikorski. W odróżnieniu od pań o niemieckich nazwiskach Zwielfki nikt inny na swe listy nie zaprasza. To może PSL?

Pytajcie szefa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, który ma rozdzielać kasiorę. Jesteśmy rozdarci. Z jednej strony troszczymy się o Polskę i jakość powietrza, więc mamy ochotę zawołać „do roboty NFOS-iu niedobry!”. Z drugiej

Kukiz odmówił jedyńki w Warszawie Markowi Jurkowi. Jurek zamierza ruszyć do boju o mandaty z Winnickim i Bosakiem

Każdy ma swoje kłopoty. PiS na przykład martwi się paroma bombami do rozbrojenia w najbliższych miesiącach. Pierwsza bomba jest edukacyjna, czyli wywołane likwidacją gimnazjów spiętrzenie roczników w szkołach oraz armagedon podczas wybierania pociechom wiosną tego roku odpowiedniego liceum. Głupia sprawa, usłyszeliśmy o tym nie od ludzi z Eine Totalopposition, lecz porządnych, ciężko pracujących PiS-owców.

Drugi problem nazywa się „Czyste powietrze”. Tak się bowiem składa, że program ogłoszono, ludzie wnioski zgłaszają, a efektów w postaci dopłat brak. Dlaczego?

strony żyjemy z rozrywki, więc może powinniśmy milczeć i obserwować. Czekając, aż pomruki wściekłych wyborców wywołają spektakl pt. „Premier się wściekł”. Życie składa się z niemożliwych wyborów.

W gazetach pełno podsumowań roku 2018 i list oczekiwań na rok 2019. My w sumie oczekujemy, że następną nagrodę Grand Press dostanie Leszek Czarnecki, niesłusznie uważany za bankiera, a tak naprawdę reporter śledczy „Gazety Wyborczej” i „The Financial Times”. Skoro Kittel mógł dostać za nagranie wafflek, to Czarnecki powinien tym bardziej za nagranie byłego szefa KNF. ©

Nie zrozum mnie źle Doniu,
konia możesz zatrzymać, ale







Wojciech Wybranowski

Nowy prezydent Warszawy rozpoczął urzędowanie od walki z tradycjami Bożego Narodzenia i zapowiedział kontrowersyjne zmiany. Czy stolica stanie się tak jak Poznań areną radykalnie lewicowej rewolucji światopoglądowej?

Wstyczni nowy prezydent Warszawy ma podpisać warszawską „Samorządową Kartę LGBT+”. To przygotowany przez organizacje i środowiska LGBT (z ang. Lesbian, Gay, Bisexual, Transgender) zestaw postulatów wychodzących naprzeciw ich oczekiwaniom. Zobowiązał się do parafowania dokumentu i spełnienia opisanych w „karcie” roszczeń jeszcze w trakcie samorządowej kampanii wyborczej. – Będę na Paradzie Równości, dam patronat Paradzie, będę wprowadzał

Podpisując „Kartę LGBT+”, Trzaskowski zobowiąże się m.in. do promowania i finansowania lobbingu środowisk homoseksualnych.

„Ratusz i Prezydent Warszawy powinny udzielić patronatu Paradzie Równości, wywiesić na stołecznym ratuszu tęczaową flagę w dniu Parady oraz w Międzynarodowym Dniu Walki z Homofobią, Bifobią i Transfobią, a także wspierać organizację, finansowo i reprezentacyjnie wydarzenia społeczno-kulturalne adresowane do warszawskiej społeczności LGBT+ przez

Dla Trzaskowskiego spór o charakterze ideologicznym jest wygodniejszy niż dyskusja o brakujących miejscach dla dzieci w żłobkach czy o opóźnieniach w inwestycjach. To sposób na ucieczkę od własnych obietnic, których tak wiele złożył w kampanii wyborczej – uważa dr Błażej Poboży, wiceprzewodniczący warszawskiego klubu radnych PiS.

Trzaskowski wycofał się też z wprowadzenia już od stycznia 2019 r. programu bezpłatnych żłobków. „Gazeta Wyborcza” wytknęła mu też, że „rozwadnia” obietnicę podwyżek dla nauczycieli.

Jednak zdaniem politologa prof. Jarosława Flisa nie chodzi wyłącznie o wykreowanie medialnych wrzutek, które mogłyby przykryć ewentualne problemy Trzaskowskiego i Koalicji Obywatelskiej w zarządzaniu Warszawą, a – jak podkreśla ekspert – na całą sprawę trzeba spojrzeć znacznie szerzej.

– Z całą pewnością światopoglądowe akcje o ideologicznym zabarwieniu są

Prezydent na barykadzie

edukację równościową w Warszawie, zadbam o realizację postulatów tej karty i oczywiście, że ją podpiszę – przekonywał w swoim internetowym programie „Trzaskowski rozmawia”.

Później kilkakrotnie przekładał datę podpisania dokumentu, aż wreszcie podczas jesienno-letniego spotkania z działaczami organizacji LGBT, m.in. Miłość Nie Wyklucza, Kampanii przeciw Homofobii i Lambda Warszawa, zapowiedział, że dokument sygnuje „nie później niż w styczniu 2019 r.” – W grudniu pan prezydent zapowiedział, że kartę podpisze, tak jesteśmy umówieni – mówi nam Oktawiusz Chrzanowski, członek zarządu stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza i jeden z twórców „Karty LGBT+”.

cały rok” – czytamy w programie samorządowym „LGBT+” opublikowanym na stronach stowarzyszenia MNW.

Miasto, z pieniędzy warszawiaków, będzie musiało pomóc także w utworzeniu w stolicy m.in. specjalnego „miejskiego centrum społeczno-kulturalnego dla LGBT” mającego służyć wsparciem lesbijkom i gejom, a także powołać specjalnego urzędnika ds. problemów osób LGBT i uruchomić dla nich specjalną infolinię, wreszcie wprowadzić w stołecznych szkołach dodatkowe zajęcia dotyczące edukacji seksualnej.

NOWY BASTION LEWICY?

– Wiele wskazuje na to, że Warszawa w tej kadencji samorządu będzie areną światopoglądowego konfliktu.

elementem agendy szczególnie istotnej dla koalicyjnych wobec PO środowisk lewicowo-liberalnych i w tym sensie będzie to prawdopodobnie kwestia realizacji programu, którego częścią był sojusz z Nowoczesną – mówi „Do Rzeczy” prof. Flis.

Sygnaliów wskazujących na to, że Trzaskowski wychodzi naprzeciw oczekiwaniom ultralewicowych środowisk i ideologicznych deklaracji, nie brakowało także w jego kampanii. Obiecywał uruchomienie programów „edukacji seksualnej” i kampanii „równościowych” w szkołach, a także kontynuację programu finansowania zabiegów in vitro z publicznych pieniędzy. Na konferencji przed Szpitalem Bielańskim krytykował też to, że jego

■ zdaniem kobiety mają zbyt trudny dostęp do tzw. legalnej aborcji.

TECZOWA REWOLUCJA

– Obawiam się, że te pierwsze, medialnie głośnie akcje prezydenta Trzaskowskiego, zwłaszcza Tramwaj Różnorodności, i zapowiadane podpisanie „karty LGBT” są elementem większego procesu, który zachodzi, a Rafał Trzaskowski, nawet na tle Hanny Gronkiewicz-Waltz, jawi się jako lewicowy ideolog, który w kwestii wspierania tęczowych środowisk może pójść dużo dalej niż jego poprzedniczka – uważa Oliwer Kubicki, warszawski radny PiS.

Tramwaj Różnorodności, pokryty kolorowymi grafikami przedstawiającymi m.in. muzułmanina, Żyda i staruszkę, jeździł w dniach 15–16 grudnia, a ambasadorami akcji zostali Tomasz Raczek, poseł PO Henryka Krzywonos i ambasador Palestyny Mahmoud Khalifa. Pojazd zepsuł się po przejechaniu zaledwie 6 km, ale wiceprezydent stolicy Paweł Rabej zdążył pochwalić się zdjęciem, na którym widać uczestników akcji wyposażonych w wielkie, pomalowane w tężowe barwy LGBT wiatraczki.

przez siebie lekcji o informacji dotyczące orientacji seksualnej i tożsamości płciowej. Wystarczy, że np. mówiąc o Oscarze Wilde, wspomnisz o jego związku z lordem Alfredem Douglasem i o tym, jak to, że był gejem, wpływało na jego twórczość” – napisano w jednej z broszurek dostarczonych wtedy nauczycielom.

Wiceprezydentem Warszawy został Paweł Rabej z Nowoczesnej, który niedawno potwierdził, że jest homoseksualistą. I choć wcześniej nie obnosił się ze swoimi preferencjami, to od czasu objęcia urzędu wydaje się tym epatować. Pod koniec tego roku w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” Paweł Rabej i jego partner Michał Cessanis przekonują, że... chcieliby mieć dziecko. Dodają też, że nie zdecydują się na nie, bo są zbyt starzy, a gdy byli młodszy, zabrakło im możliwości adopcji dziecka przez pary jednopłciowe. Pytająca dziennikarka mówi o pedofilii wśród księży, a Rabej z partnerem dzielnie jej wtórują.

– Dwie odpowiedzialne i rozsądne lesbijki chcą mieć dziecko – w czym są gorsze od patologicznej rodziny, która w delirce zabija swoje dwuletnie dziecko? W tym, że ta druga rodzina jest hetero? Co chwila są

I rzeczywiście, tuż przed Bożym Narodzeniem Didusko-Zygłewska, wsparta przez grupę radnych Koalicji Obywatelskiej stanowiących polityczne zaplecze Rafała Trzaskowskiego, wywołała awanturę o... bożonarodzeniowy opłatek i udział księdza katolickiego w świątecznym spotkaniu samorządowców.

Didusko-Zygłewska i grupa 12 radnych Koalicji Obywatelskiej, m.in. Sławomir Potapowicz i Joanna Staniszkis, w piśmie do przewodniczącej rady miasta – Ewy Malinowskiej-Grupińskiej (Koalicja Obywatelska) – zażądali, by ostatnie przed Bożym Narodzeniem spotkanie odbyło się bez „przemówień” osób duchownych i modlitwy. Argumentowali, że katolicki charakter wigilijnego spotkania, ich zdaniem, zaburza zasadę rozdziału Kościoła od państwa. Gdy okazało się, że samorządowa wigilia miała jednak tradycyjny, katolicki charakter, Didusko-Zygłewska oskarżyła swoją klubową koleżankę o łamanie konstytucji.

Zdaniem dr. Błażeja Pobożego, wice-szefa klubu PiS, za antykatolicką akcją w warszawskim magistracie stoi coraz bardziej aktywna i roszczeniowa grupa samorządowców z tworzących Koalicję Obywatelską – Nowoczesnej i Inicjatywy Polskiej Barbary Nowackiej próbujących budować w ten sposób tożsamość własnych ugrupowań.

Nowa lewicowo-liberalna władza w Warszawie będzie próbowała wyprzeć z przestrzeni publicznej tradycyjne katolickie wartości

– Dopiero co jeździł miastem Tramwaj Różnorodności, a powoli zaczyna wracać też, w kularowych dyskusjach, w rozmowach radnych rządzącej Koalicji Obywatelskiej, temat Tęczowych Piątków jako imprezy stałej, cyklicznie organizowanej w warszawskich szkołach – opowiada nam warszawski radny Jacek Ozdoba (PiS).

Prawdopodobnie chodzi o realizację podnoszonego już w trakcie kampanii wyborczej kandydatów Koalicji Obywatelskiej projektu promującego wśród młodzieży szkolnej tzw. różnorodność i równość seksualną. W praktyce sprowadza się to do promocji środowisk homoseksualnych. Pierwszy Tęczowy Piątek z inicjatywy bliskiej środowiskom LGBT organizacji Kampania przeciw Homofobii zorganizowano 26 października ubiegłego roku (w Warszawie nominalnie prezydentem była jeszcze Hanna Gronkiewicz-Waltz) w ok. 200 szkołach w Polsce. W materiałach rozpowszechnianych wówczas przez środowiska homoseksualne nie brakowało homopropagandy: „Uzupełnij program prowadzonych

w tabloidach takie wstrząsające historie. Heteroseksualna rodzina nie daje automatycznie gwarancji dobrego wychowania. Homo też nie. Ale nie ma powodu, żeby mówić jej „nie” – peroruje Rabej. I dodaje, że zanim w Polsce zalegalizuje się adopcję homoseksualną, trzeba „trzeba zacząć od związków partnerskich i równości małżeńskiej”.

„NIE BYŁO MIEJSCA DLA CIEBIE...”

O ile homoseksualna propaganda i środowiskowe grupy lobbingowe niebawem mogą intensywnie wkroczyć w warszawską urzędową przestrzeń publiczną, o tyle nowa lewicowo-liberalna władza w Warszawie będzie próbowała wyprzeć stamtąd tradycyjne katolickie wartości.

– Przewodniczącą Komisji Kultury w radzie miasta została najbardziej lewicowa radna, pani Agata Didusko-Zygłewska, znana z antykatolickich poglądów, i obawiam się, że na efekty takiej nominacji nie trzeba będzie długo czekać – mówił nam radny Sebastian Kaleta (PiS).

PARYTETY, KOMUNISCI I EKOSZALEŃSTWO

Nasz rozmówca wskazuje też na kolejny pomysł lewicowego zaplecza prezydenta Trzaskowskiego w warszawskim samorządzie. – To wprowadzenie systemu kwotowego gwarantującego odpowiednią obecność kobiet w składzie kapituły jednego z konkursów historycznych organizowanych przez miasto. I tak w powoływaniu tej kapituły decydować będzie kryterium płci, a nie np. odpowiednie wykształcenie kierunkowe i dorobek naukowy potwierdzony rekomendacją ze strony instytucji naukowej czy zajmującej się popularyzacją nauki – mówi dr Poboży.

W tym roku Rafał Trzaskowski, wzorem lewicujących prezydentów innych miast, m.in. Roberta Biedronia, wydał też zakaz organizowania w noc sylwestrową głośniejszych pokazów fajerwerków. Argumentował to... troską o zwierzęta, którym, zdaniem radykalnych ekologów, przeszkadza hałas.

Wcześniej z fajerwerków sylwestrowych zrezygnowano m.in. w Gdańsku



Trzaskowski ma podpisać „Kartę LGBT+” zobowiązującą warszawski ratusz m.in. do patronowania Marszom Równości

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

rządzonym przez Pawła Adamowicza i w Krakowie, gdzie prezydentem po raz kolejny został Jacek Majchrowski.

Nie tylko jednak ta decyzja wychodzi naprzeciw oczekiwaniom radykalnych ekologów. Już w kampanii wyborczej Trzaskowski zapowiadał bowiem tworzenie nowych dróg rowerowych. I tak, by zbudować pasy dla rowerzystów, zwięzła zostanie jedna z najczęściej zakorkowanych warszawskich arterii – ul. Marszałkowska. Z tego samego powodu zwięzła do trzech pasów ruchu ma zostać ruchliwa al. Jana Pawła II.

Podobne komunikacyjne projekty – ograniczania przejeżdżalności tras samochodowych – i budowy na ich części dróg rowerowych w centrum wcześniej zrealizował mocno lewicujący prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak (PO). Efekt? Poważne problemy komunikacyjne i notorycznie zakorkowane ulice w stolicy Wielkopolski.

Na ulicach stolicy zmieniło się coś jeszcze – gdy Naczelny Sąd Administracyjny zadecydował o uchyleniu ponad 40 zarządzeń wojewody mazowieckiego zmieniających nazwy ulic na niezwiązane z systemem komunistycznymi, Rafał Trzaskowski w autopoprawce wniesionej do projektu uchwały ws. ustalenia planu sieci publicznych szkół zaproponował powrót do nazw ulic sprzed dekomunizacji. W efekcie ulice dalej będą mieć takich patronów, wśród

których są m.in. biorący udział w budowaniu aparatu represji w PRL.

IDEOLOGIA CZY POLITYCZNA AWANTURA?

Proces ustawiania polskich miast pod lewicową ideologię intensywnie realizowany jest już w co najmniej kilku miastach. Najbardziej intensywnie w Poznaniu. Prezydent Jaśkowiak ostentacyjnie nie przyszedł na mszę świętą w intencji powstańców wielkopolskich w 100. rocznicę powstania. „Nie wiem, z czego miałyby wynikać moja obecność. Jestem za rozdziałem Kościoła i państwa” – tłumaczył dziennikarzom. Nie przeszkodziło mu to jednak, co wytknęli internauci, w udziale w religijnej uroczystości chanukowej.

Poznań jest też miastem, w którym powołana przez Jaśkowiaka urzędniczką Marta Mazurek próbowała indoktrynować przedszkolaków. W miejskim Centrum Inicjatyw Rodzinnych dzieciom czytała opowieści o transgenderowym ślimaku i zwierzątkach, które nie mogą zdecydować się, jaką wybrać płeć.

Z kolei w finansowanej z pieniędzy podatników Galerii Miejskiej „Arsenał” organizowano warsztaty feministyczne i warsztaty Gyne Punk – podczas których skrajnie lewicowe działaczki pod pretekstem opowieści o historii ginekologii pokazywały, jak w warunkach domowych usunąć ciążę.

Jacek Jaśkowiak regularnie pojawia się na tęczowych Paradach Równości, dziennikarze fotografowali go również w towarzystwie bojówkarzy Antify przed jedną z „antynacjonalistycznych” demonstracji.

Miejsce lewackich eksperymentów stał się też, w poprzedniej kadencji, Słupsk zarządzony przez Roberta Biedronia. Zaczęło się od propagandowych akcji: usunięcia portretu papieża Jana Pawła II i polskiego orła z prezydenckiego gabinetu oraz zapowiedzi wprowadzenia parytetów w nazwach ulic. Biedroń usiłował wprowadzić do projektu Strategii Rozwoju Miasta Słupska na lata 2016–2022 elementy genderowej propagandy skryte pod hasłami „polityki antydyskryminacyjnej”; jego propozycje zostały jednak odrzucone przez tamtejszych radnych.

Czy Warszawa rzeczywiście stanie się po Poznaniu i Słupsku poligonem rewolucyjnej, światopoglądowej lewicy? Zdaniem prof. Rafała Chwedoruka, politologa z UW, na pewno w stolicy dojdzie do nasilenia światopoglądowych projektów i zmian, które mogą wywołać spore wzburzenie konserwatywnej części społeczeństwa. – Jednak rewolucją jeszcze bym tego nie nazwał, bo to wszystko ma zdecydowanie bardziej przyziemny kontekst i do rewolucji jeszcze bardzo daleko – mówi prof. Chwedoruk. Zwraca uwagę, że istotna część skrajnych środowisk lewicowych wspierała kandydata obozu liberalnego Rafała Trzaskowskiego, a także, że obóz liberalny ma nadreprezentację wyborców w wielkich miastach i nadreprezentację kobiet w elektoracie. – To wszystko, wraz z czynnikiem demograficznym, powoduje, że ten wątek światopoglądowy jest obecny w aktywności Trzaskowskiego, ale trzeba też pamiętać, że młode pokolenia nie mieszczą się w dawnych osiach sporu – liberalnej i tradycyjnej, one traktują tego typu kwestie w kategoriach prywatnych, więc raczej nie dojdzie do przewartościowania i społecznej rewolucji światopoglądowej – mówi nasz rozmówca. Ostrzega też, że zbyt ni światopoglądowy skręt w lewo może dla Platformy, a w stolicy dla Trzaskowskiego, skończyć się niezbyt dobrze.

– Za skręt obyczajowy w lewo za czasów Ewy Kopacz Platforma zapłaciła wysoką cenę, wystarczy spojrzeć na mapę wyborczą Górnego Śląska, gdzie daje się zauważyć bardzo wyraźny przepływ elektoratu w stronę PiS – mówi prof. Chwedoruk.



Z Michałem Dworczykiem, szefem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów

rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: „To był przedsmak horroru, który zgouje nam opozycja, kiedy wygra. Kompletny brak szacunku dla jakichkolwiek reguł demokracji okazany przez panią Grupińską prowadzącą obrady [rady miasta stołecznego Warszawy – przyp. red.]. Zamknięcie debaty, zanim się zaczęła. Marszałek Kuchciński to szczeniak przy tym, co tam się działo. Koalicja Obywatelska pokazała w Warszawie, jak bardzo jest antydemokratyczna w działaniu i jak bardzo lekceważy meritum”. Wie pan, czyje to słowa?

MICHAŁ DWORCZYK: Mocne. Jednak poproszę o odpowiedź.

Nie zgadnie pan. Jacka Żakowskiego.

Rzeczywiście, zaskakujące. Rzadko kiedy zgadzam się z opiniami Jacka Żakowskiego, ale tym razem muszę przyznać mu przynajmniej częściowo rację. Wycofanie się po wyborach z ponad 90-procentowej ulgi przy wykupie mieszkania na własność dla warszawiaków, którą przed wyborami radni PO popierali, a następnie jej przywrócenie pod presją opinii publicznej, to przejaw wyjątkowego cynizmu i absolutnie instrumentalnego traktowania ludzi.

Dominika Wielowieyska nazwała wycofanie się z podwyżki bonifikaty „oszustwem wyborczym”. Co się stało, że publicyści antypisu zaczynają mówić o Platformie językiem polityków PiS?

Wydaje mi się, że ich krytyka nie wynika z niechęci do PO, ale raczej ze zmartwienia o sondaże tej partii. W głowach komentatorów popierających opozycję zapaliła się czerwona lampka. Zdali sobie sprawę, że nierozwiązanie problemu bonifikat zmniejszyłoby szanse Koalicji Obywatelskiej w nadchodzących wyborach. I jeszcze jedno – to oszustwo dokonane przez polityków opozycji bardzo mocno potwierdzało ich wizerunek jako obozu kompletnie niewiarygodnego. Jedno mówią, drugie robią, nie licząc się z opinią publiczną. Tak było przez osiem lat rządów PO i widać, że to już chyba kwestia ich DNA, a nie przypadku.

Jednak przypisanie „antydemokratycznych” praktyk to chyba najpoważniejszy i najboleśniejszy z zarzutów, które można postawić formacji



FOT. ANDRZEJ IWANCIUK / REPORTER

mającej wypisaną na sztandarach walkę w „obronie demokracji”... Myśli pan, że obecna opozycja będzie „lekceważyć reguły demokracji” również w skali ogólnopolskiej, jeśli dojdzie do władzy?

Jestem o tym przekonany. Nawet w bezpośrednich rozmowach z wieloma opozycyjnymi politykami, poza kamerą czy studiem telewizyjnym, odczuwalny jest tak wysoki poziom emocji i agresji. Warto przypomnieć, że przewodniczącą rady, którą Jacek Żakowski skrytykował za antydemokratyczne działania, prywatnie jest żoną Rafała Grupańskiego, bardzo wpływowego polityka PO. Już ten fakt pozwala stwierdzić, że to, co się wydarzyło w Warszawie, to przykład typowego dla tej formacji sposobu myślenia. Jestem przekonany, że odwet,

To, co wydarzyło się w Warszawie, z pewnością pozostanie w pamięci wyborców. Problemem nie jest to, że PO wycofała się ze złej decyzji, lecz podejrzanie krótki czas, w którym partia dokonała tylu ostrych zwrotów w swojej retoryce i działaniach. Wszyscy mogliśmy się przekonać, że wiarygodność Platformy jest żadna. Można PiS lubić albo lubić mniej. Jednak my jesteśmy formacją ideową. PO była, jest i będzie zawsze partią interesów. I nie są to raczej interesy wyborców.

Rozbudowa metra, pełne dopłaty do tzw. kopciuchów, podwyżki dla nauczycieli, odbudowa stadionu Skry – to kampanijne obietnice, które Trzaskowski zmienił po objęciu władzy...

od razu ostrzegł warszawiaków, że nie mają co na niego liczyć...

A może skala zwycięstw PO w dużych miastach sprawiła, że wywodzący się z tej partii władze poculi nadmierną pewność siebie i uznali, że z takim poparciem wolno im wszystko?

Moim zdaniem chodzi raczej o poczucie absolutnej bezkarności, połączone z arogancją i przekonaniem, że w czasie kampanii można obiecać wszystko, a następnie nic nie zrealizować. Maski spadają w większości miast, w których wygrała Koalicja Obywatelska. Władze podnoszą różnego rodzaju opłaty, zwłaszcza te dotyczące wywozu śmieci – o 70–80 proc. Przecież to granda. I obarczają za to nasz rząd, jakbyśmy to my pisali im te uchwały

Problemem Platformy jest konformizm

o którym marzy przynajmniej część polityków opozycji totalnej, byłby bardzo brutalny, nie liczyliby się z żadnymi regułami...

Czego się nie robi w imię praworządności!

Racja, Związek Sowiecki, jako kraj miłujący pokój, też dzielnie walczył o demokrację...

A jednak PO wróciła do poprzedniej, wyższej bonifikaty. Rafał Trzaskowski przedstawił to wręcz jako sukces – oto Platforma wsłuchuje się w głos oburzonych mieszkańców i potrafi pod ich wpływem naprawiać własne błędy. Czy warszawiacy uwierzą w szlachetność władz miasta?

Jedyne, co mnie zaskoczyło, to tempo i bezceremonialność, z którymi prezydent zakomunikował warszawiakom, że jego obietnice to była, mówiąc kolokwialnie, lipa. Ja sam, od urodzenia mieszkając w stolicy, będąc w przeszłości radnym Warszawy, wiedziałem, jakie zmiany w tym mieście są realne, a jakie mniej. Dlatego, słuchając w czasie kampanii kandydata PO, byłem pewien, że jego obietnice nie mają większych szans na realizację. Myślałem jednak, że zwykłe poczucie wstydu spowoduje, iż Rafał Trzaskowski nieco wolniej będzie wycofywał się ze swoich zapowiedzi. A tymczasem nowy prezydent niemal

miejskie i my głosowali jako radni za takimi rozwiązaniami.

W końcu podwyżki to „wina PiS”.

Wszystko, co im nie wychodzi albo uderza w mieszkańców miast rządzonych przez ludzi KO, to wina rządu. To tak wiarygodne, jak stwierdzenie, że PiS odpowiada za karczowanie puszczy amazońskiej. A wracając do spraw poważnych, podejrzewam, że Trzaskowski wystartuje w ogólnopolskich wyborach prezydenckich. Tym samym udowodni, że Warszawę i jej mieszkańców potraktował instrumentalnie, jako użyteczną trampolinę, pomagającą w realizacji osobistych ambicji politycznych.

■ **Przecież Lech Kaczyński też kandydował na prezydenta kraju, będąc prezydentem stolicy.**

Prezydent Lech Kaczyński nie zaczynał, tak jak dziś Trzaskowski, swojej kadencji w Warszawie od komentowania polityki ogólnopolskiej i zaangażowania się w bieżący spór partyjny, tylko od razu poświęcił się pracy na rzecz miasta i jego mieszkańców. O tym, jakie są cele nowego prezydenta, świadczy dobór współpracowników. Kluczem są raczej poglądy lewicowo-liberalne niż kompetencje czy merytoryczne przygotowanie do zarządzania miastem.

Dwanaścioro warszawskich radnych KO sprzeciwiło się „elementom religijnym” podczas spotkania wigilijnego organizowanego w budynku rady. Konkretnie – nie podobały im się udział księdza i modlitwa. To jednak tylko niecała jedna trzecia radnych tego klubu. Na ile ta antyklerykalna grupa jest reprezentatywna dla całej Platformy?

Problemem nie jest liczba antyklerykałów w PO, ale panujący wśród polityków tej partii konformizm. Jeżeli wyczują siłę i determinację środowiska, które za główny cel stawia sobie walkę z Kościołem, religią, a de facto z częścią naszej tożsamości narodowej, to mogą poprzeć ich postulaty. Znam wielu radnych oraz polityków PO i wiem, że mają poglądy raczej konserwatywne, ale jednocześnie wykazują dziwną pobłażliwość dla antyklerykałów w swoich własnych szeregach. Ten przykład pokazuje, czym może się skończyć zwycięstwo partii Schetyny w skali kraju. Sprawy istotne dla rodaków zejda na dalszy plan, a nowy rząd skupi się głównie na ideologicznych awanturach. Ja uważam, że Polacy nie łakną europejskości w postaci rewolucji kulturowych czy eksperymentów społecznych. Polacy chcą europejskości jako poziomu życia na co dzień, możliwości realizowania swoich aspiracji. I to staramy się urzeczywistniać. Łatwo nie jest, ale przynajmniej nie wygłupiamy się uprawianiem polityki błahej.

A może sojusz z antyklerykałami został zawarty jedynie na potrzeby dużych miast, a warszawski Tramwaj Różnorodności nie stanie się „ogólnokrajowym pociągami różnorodności”?

Duże miasta są główną bazą elektoratu PO także w wyborach ogólnopolskich.

Czy zatem liderka warszawskich antyklerykałów, radna Agata Diduszek-Zyglewska, może w przyszłości zostać ministrem kultury w rządzie KO?

Bardzo możliwe, że twarze tego środowiska zajmą ważne miejsca w strukturach państwa PO. Zwłaszcza biorąc pod uwagę typowo platformerską uległość wobec Brukseli, która szczególnie wspiera przeróżne lewicowe eksperymenty. Jednak wierzę, że do zwycięstwa obecnej opozycji jeszcze przez wiele lat nie dojdzie i nie będziemy musieli oglądać antyklerykalnej i wojująco-feministycznej twarzy Platformy.

PO miała czas, by zdekomunizować Warszawę na własną modłę. Wołała poczekać na wyrok sądu, który sprawił, że w stolicy znów swoje ulice mają komunistyczni działacze, zaś tego honoru pozbawiona jest np. Inka. Czy PO zrobiła tylko na złość PiS, bojkotując ustawę o dekomunizacji, czy może to świadomy i przemyślany skręt w lewo?

Ta sprawa jest smutnym dowodem na to, jak bardzo PO zapętlili się w kontestowaniu wszystkiego, co robi PiS. Ten spór pomiędzy dwoma największymi

Paweł Adamowicz w wyborach startował samodzielnie, ale niedawno porozumiał się z KO. Gdańsk nadal będzie odwoływał się do szkodliwego dla Polski mitu „wolnego miasta” i walczył z rządem PiS?

W dużych miastach politycy PO będą skręcać w lewo, ponieważ tak interpretują oczekiwania miejskiego elektoratu.

Hanna Zdanowska wygrała wybory w cuglach, pomimo wyroku skazującego. Tuż po zwycięstwie rządząca w Łodzi PO podwyższyła jednak wiele opłat. Jak tego typu działania wpłyną na poparcie dla partii Schetyny w skali ogólnopolskiej? Może wyborcy akceptują prezydenta po wyroku, ale nie zaakceptują uderzenia po kieszeniach?

Jeżeli politycy PO będą traktować mieszkańców miast, którymi zarządzają, z taką arogancją jak dotychczas, to z pewnością odbije się to negatywnie na wynikach tej partii. Ponadto jeśli jakiś polityk ma kłopoty z prawem, to z reguły tym chętniej szermuje lewicowo-liberalną retoryką,

Postępowanie Platformy już po wyborach to przestroga dla Polaków. Okazuje się, że można obiecać wszystko, byle tylko pokonać PiS, a potem jakoś to będzie

szymi obozami politycznymi w Polsce prowadzi nas na manowce. Jeszcze kilka lat temu PiS i PO wspólnie głosowały za rozwiązaniem WSI, ramię w ramię podejmowali uchwały potępiające zbrodniczy system komunistyczny. Dzisiaj po to, by ogłosić zwycięstwo nad PiS, politycy PO są w stanie zaakceptować gloryfikację komunistycznych łajdaków, odpowiedzialnych za zniewolenie Polski.

„Tęczowy Jacek”, jak mówią przeciwnicy o prezydencie Poznania, został nazwany w niemieckich mediach „nadzieją liberałów”. Jakby na potwierdzenie tych opinii Jacek Jaśkowiak odmówił udziału we mszy św. z okazji 100. rocznicy wybuchu powstania wielkopolskiego. Swoją decyzję motywował troską o świeckie państwo. Ta troska nie przeszkadzała mu jednak zapalić chanukowych świec...

Jacek Jaśkowiak uległ modzie płynącej z Zachodu i postanowił zademonstrować, jak bardzo nowoczesnym i postępowym jest wóldarzem, jak odważnie walczy o rozdział państwa od Kościoła, który przecież jest w Polsce faktem. To kolejny przykład hipokryzji i pogubienia się polityka PO.

gdyż dzięki temu może oskarżać wymiar sprawiedliwości o represje polityczne. Adamowicz i Zdanowska to dobre przykłady potwierdzające tę tezę.

Z drugiej strony przecież celem KO miało być przede wszystkim odsunięcie PiS od władzy. Z tej perspektywy kto by się przejmował przyjemnymi sprawami mieszkańców miast...

Politycy PO nawet tego specjalnie nie ukrywają. Retoryka „anti-PiS” i kłamliwe straszenie naszą formacją pomogły im zdobyć duże miasta. Jednak ich postępowanie już po wyborach to przestroga dla Polaków. Okazuje się, że można obiecać wszystko, byle tylko pokonać PiS, a potem jakoś to będzie. Moim zdaniem po tym doświadczeniu wielkomiejscy wyborcy nie dadzą się drugi raz nabrać. Każdy racjonalnie myślący Polak niech odpowie sobie na pytanie, na kogo zagłosować: Czy na PiS, z którym można się nie zgadzać, ale który większość obietnic złożonych w 2015 r. zrealizował, czy na Platformę, która tuż po wygranych wyborach wycofała się z własnych zapowiedzi? Zarówno w latach 2007, 2011, jak i obecnie, po ostatnich wyborach samorządowych.

Chroń Dziecko!

To ogólnopolska akcja informacyjna, która ma na celu zwiększenie świadomości społecznej i edukację dotyczącą zagrożenia cyberprzemocy jako zagrożenia wobec **dzieci**. Realizator projektu przywiązuje szczególną uwagę do zwiększenia świadomości i edukacji rodziców tak, aby dzieci mogły być przez nich dobrze przygotowane do świadomego korzystania z zasobów Internetu, znały zagrożenia, wiedziały jak na nie reagować i w ten sposób zwiększały swoje bezpieczeństwo. Dodatkowo zwiększenie świadomości nauczycieli, dziennikarzy, czy też przedstawicieli organów ścigania pozwoli na odpowiednie reagowanie wobec takiej formy przemocy wobec dzieci.

Zachęcamy do odwiedzenia strony internetowej kampanii **chrondziecko.org**, na której znajdą Państwo szereg materiałów: filmy wideo, podcasty, infografiki, artykuły oraz raport zawierający najważniejsze wnioski z badań naszych ekspertów nad zjawiskiem **cyberprzemocy** i jego prewencji.



Chroń Dziecko!
Chronisz, bo kochasz.



Mity na temat PiS



Kamila Baranowska

PiS obalił nie tylko wiele stereotypów dotyczących samej partii, lecz także odnoszących się w ogóle do prawicy

W 2015 r. PiS, wygrywając dwa razy z rzędu wybory – najpierw prezydenckie, potem parlamentarne – obalił największy mit, jaki pokutował w polskiej polityce przez poprzednich osiem lat – o niewybieralności tej partii. Mijające właśnie trzy lata rządów Zjednoczonej Prawicy obaliły więcej stereotypów, którymi karmiła się polska polityka

w ostatnich dekadach. To mity dotyczące samego PiS, ale i szerzej rozumianej prawicy. Pewnie w debacie publicznej będą jeszcze niejednemu raz wracać, ale trudno będzie traktować je jak dogmaty, a tak funkcjonowały dotychczas. To jedna z tych rzeczy, która się PiS udało trochę przy okazji, ale która może w ciekawy sposób zaprocentować dla prawej strony sceny politycznej

Od 2015 r. konserwatywne partie
kojarzą się z poparciem młodych ludzi
FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER



głosowała na Platformę (36 proc.). PiS dostał wtedy 24 proc. głosów, niewiele więcej niż Ruch Palikota (20 proc.). Także w grupie wiekowej 22–28 lat zdecydowanie wygrywała wtedy Platforma z 42 proc., podczas gdy PiS miał tu 17 proc. poparcia. Te wyniki nie odbiegały zasadniczo od analogicznych wyników z wyborów w 2007 r. Dopiero rok 2015 przyniósł zasadniczą zmianę. Pierwsze sygnały odwrotu młodych od Platformy było widać w wyborach prezydenckich. W pierwszej turze (wedle danych Ipsos) wyborcy w wieku 18–29 lat poparli głównie Pawła Kukiza (41,1 proc.) i Andrzeja Dudę (20,7 proc.), Bronisław Komorowski uplasował się dopiero na trzecim miejscu (13,8 proc.). W drugiej turze na kandydata PiS zagłosowało aż 60,8 proc. wyborców w wieku 18–29 lat. W żadnej innej grupie wiekowej różnica między kandydatami nie była aż tak duża. W wyborach parlamentarnych największy odsetek najmłodszych wyborców głosował na PiS – 26,6 proc., na drugim miejscu był Ruch Kukiza (20,6 proc.), a dopiero na trzecim PO z wynikiem 23 proc. Po trzech latach rządów PiS utrzymuje przewagę wśród młodych wyborców, co pokazały wyniki wyborów do sejmików. PiS z wynikiem 23,3 proc. wygrał z Koalicją Obywatelską (18,7 proc.) wśród wyborców w wieku 18–29.

MIT 2. PIS TO PARTIA OBCIACHU

Ten mit przez wiele lat szedł w parze z mitem o tym, że PiS jest nieatrakcyjny dla młodych wyborców. Tylko jak miał być atrakcyjny, skoro latami wbijano Polakom do głów, że na PiS głosuje „ciemnogród”, bo cała „fajna Polska” – wykształcona, aspirująca, nowoczesna – popiera Platformę. Kwestia dystrybucji szacunku społecznego stała się paliwem, który napędzał konflikt polityczny (i społeczny) przez wiele lat, działając na korzyść Platformy. Wielu polityków PO uwierzyło, że tak już będzie zawsze, dlatego tak wielkim zaskoczeniem była dla nich porażka Bronisława Komorowskiego. To właśnie w kampanii prezydenckiej po raz pierwszy mieliśmy zamianę ról. To kandydat PO stał się przedmiotem kpín i żartów, symbolem obciachu, podczas gdy kandydat PiS jawił się jako jego zaprzeczenie. – Poczucie obciachu zniknęło wraz z przyjściem kolejnych pokoleń. Pokoleń, które dorastały w czasach rządów PO. Jako partię obciachu trudniej przedstawić kogoś, kto jest w opozycji,

a łatwiej kogoś, kto akurat rządzi – tłumaczył tuż po wyborach w 2015 r. politolog prof. Rafał Chwedoruk.

MIT 3. PIS NIE ROZUMIE MARKETINGU POLITYCZNEGO

I znów wybory z roku 2015 pokazały, że PiS wyciągnął wnioski z poprzednich lat. To, że Jarosław Kaczyński postawił na Andrzeja Dudę i Beatę Szydło, osoby dobrze postrzegane przez wyborców, że na czas kampanii wycofał z mediów polityków, którzy źle wypadali w badaniach wizerunkowych, oraz że dał zielone światło nie zawsze standardowym działaniom w obu kampaniach wyborczych, pokazuje, że z rozumieniem politycznego PR nie jest w PiS tak źle, jak się mogło wydawać. Co więcej – to politycy PiS lepiej odczytali nastroje w Internecie i to oni wygrali bój w sieci. Wykorzystanie memów, wirali, prowadzenie intensywnej narracji kampanijnej na portalach społecznościowych – to wszystko przełożyło się na wyniki wyborcze. Problem z rozumieniem marketingu politycznego PiS ma tylko jeden. O ile jednak prezesa Kaczyńskiego daje się przekonać do różnych planów, strategii, pomysłów na czas kampanii, o tyle traci nimi zainteresowanie w momencie, gdy kampania się kończy. Tyle że we współczesnej polityce o kwestie marketingowe trzeba dbać cały czas. Przekonanie, że wszelkie zaniedbania da się nadrobić w toku kampanii, może być zgubne.

MIT 4. RZĄDY PIS ZRUJNUJĄ GOSPODARKĘ

– Wygrana osób, które rzucają obietnicami kosztującymi dziesiątki miliardów, może doprowadzić polską gospodarkę do katastrofy – mówił w maju 2015 r. Jacek Rostowski, były minister finansów w rządzie PO-PSL. Takie słowa przed wyborami w 2015 r. często padały z ust polityków PO, ekspertów i komentatorów. Wszyscy oni, słuchając obietnic m.in. wprowadzenia programu „500+” i obniżenia wieku emerytalnego, twierdzili, że albo nie da się tego zrobić, albo że doprowadzi to do ruiny finansów państwa i całą gospodarkę. Tymczasem wskaźniki gospodarcze są bardzo dobre. W III kwartale tego roku, wedle danych Eurostatu, nasz PKB sięgnął 5,7 proc. w skali roku, a bezrobocie jest na rekordowo niskim poziomie (3,8 proc. w III kwartale 2018 r.). PiS, dochodząc do władzy, trafił (podobnie jak w 2005 r.)

w przyszłości. Tym bardziej warto więc ją odnotować.

MIT 1. PIS NIE PRZYCIĄGA MŁODYCH

To teza, która funkcjonowała w polskiej debacie publicznej bardzo długo. Doskonale pamiętamy podział na „młodych, wykształconych z wielkich ośrodków”, którzy głosują na Platformę Obywatelską, i tych, którzy są ich zaprzeczeniem i głosują na PiS. Wydawało się, że podział ten tak bardzo zakorzenił się w umysłach Polaków, że przezwyciężenie go będzie niemożliwe. Jeszcze w 2011 r., wedle badania CBOS, większość najmłodszych wyborców (w wieku 18–24 lata)

■ na moment gospodarczego wzrostu, który potrafi wykorzystać. Pytanie, które zadają sobie politycy obu stron politycznego sporu, brzmi: Czy i jak przełoży się to na wyniki wyborów w 2019 r. – Jest w PiS syndrom roku 2007. Tamten czas to okres najlepszych w dziejach III RP wskaźników gospodarczych. Paradoks polega na tym, że dobrą gospodarką nie wygrywa się wyborów, złą gospodarką na pewno się je przegrywa – stwierdził w wywiadzie dla „Do Rzeczy” prof. Waldemar Paruch, pełnomocnik premiera ds. utworzenia i funkcjonowania Centrum Analiz Strategicznych.

MIT 5. PIS CHCE WŁADZY TYLKO PO TO, BY ROZLICZYĆ SMOLENSK

– Główną sprawą, za którą się weźmie PiS po dojściu do władzy, będzie rozliczenie Smoleńska. Tutaj będą leciały drzwi z futryn. To było wprost powiedziane, że osoby, które w kwietniu 2010 r. sprawowały władzę, zostaną rozliczone, zostaną pociągnięte do odpowiedzialności karnej – prognozował w lipcu 2015 r. Wojciech Czuchnowski, dziennikarz „Gazety Wyborczej”. – Dla jednych będzie Trybunał Stanu, a dla innych prokuratura – dodawał.

Tymczasem stało się zupełnie inaczej. O ile temat Smoleńska był ogniwem spajającym wyborców i sympatyków PiS w latach, gdy partia pozostawała w opozycji, o tyle stał się ciężarem, gdy PiS doszedł do władzy. Wbrew obietnicom nie udało się dojść do przełomowych wniosków dotyczących zarówno samego przebiegu katastrofy, jak i prowadzonego po niej śledztwa. Do dziś nie powstał końcowy raport zespołu, którym kierował Antoni Macierewicz. Wrak samolotu wciąż jest w Rosji. Z jednej strony ważne dla tzw. twardego elektoratu oczekiwania natychmiastowych efektów okazały się trudne do spełnienia. Z drugiej strony, bardziej umiarkowani wyborcy, dzięki którym PiS wygrał wybory, czekali na realizację obietnic wyborczych.

PiS po wygranych wyborach postawił przede wszystkim na realizację projektów społecznych, a w sprawie Smoleńska poszedł w kierunku wygaszania emocji. W kwietniu tego roku odbył się ostatni z organizowanych co miesiąc przez osiem lat marszów smoleńskich, gromadzących ludzi przed Pałacem Prezydenckim. – Część spraw została wyjaśniona, droga do wyjaśnienia innych jest otwarta, w życiu społecznym rzadko się zdarza, by

cele można było osiągnąć w 100 proc. – stwierdził wtedy Jarosław Kaczyński.

MIT 6. PIS TO PARTIA REWOLUCJI ŚWIATOPOGLĄDOWEJ

Swoimi działaniami z ostatnich trzech lat PiS pokazał, że w sferze światopoglądowej jest partią pragmatyczną. Kiedy jesienią 2016 r. – w wyniku skierowania do dalszych prac obywatelskiego projektu ustawy wzmacniającej ochronę życia poczętego – doszło do masowych tzw. czarnych protestów, PiS wycofał swoje poparcie dla tego projektu. Mimo nacisków i apeli środowisk pro-life, a także Kościoła partia rządząca nie wróciła do tematu wzmocnienia ochrony życia. Kolejny, mniej restrykcyjny projekt obywatelski, wykluczający aborcję z przesłanek eugenicznych, utknął w sejmowej podkomisji i – jak można nieoficjalnie usłyszeć – prędko z niej nie wyjdzie. Sprawa ochrony życia stała się także kością niezgody między PiS a środowiskiem o. Tadeusza Rydzyka. Do tego stopnia, że realna stała się rejestracja osobnej formacji politycznej, którą miałby wesprzeć znany redemptorysta.

– Nie jest tak, że środowiska katolickie czy konserwatywne nie mają wyboru, więc i tak muszą popierać PiS. Alternatywą, niezależnie od powstania jakichkolwiek nowych partii, zawsze będzie to, że mogą nie pójść do wyborów. I to też jest dla PiS groźne. Sprawa życia jest traktowana w wielu środowiskach jako papiererek lakmusowy – przestrzegał niedawno w „Do Rzeczy” senator PiS Jan Maria Jackowski.

Mimo to Jarosław Kaczyński podczas partyjnego spotkania w Jachrance miał powiedzieć swoim parlamentarzystom, że w okresie kampanii wyborczej ideologiczny spór mógłby PiS zaszkodzić, wobec czego temat ochrony życia trzeba odłożyć. Na kiedy? Nie wiadomo. Apelowal też do polityków PiS o rozważę w kwestii wypowiedzi medialnych na ten temat.

MIT 7. PIS NIE MA ŻADNEJ ZDOLNOŚCI KOALICYJNEJ

Pomysły otaczania PiS „kordonem sanitarnym” zawsze zyskiwały na popularności proporcjonalnie do wzrostu notowań tej partii w sondażach. Zgodnie z tą zasadą prof. Wojciech Sadurski tuż przed wyborami w 2015 r. apelował w „Gazecie Wyborczej”: „Żadnego przytulania się w kontekście ewentualnego tworzenia koalicji z PiS, nawet jeśli zdobędzie najwięcej głosów w wyborach,

musi być niezdolne do stworzenia rządu”. Wówczas nikt nie spodziewał się, że PiS zdobędzie samodzielną większość.

Koncepcje „braku zdolności koalicyjnej PiS” wróciły więc przy okazji wyborów samorządowych. Znowu pojawiły się naciski, by mimo wygranej nie pozwolić PiS rządzić w sejmikach. Coś, co udało się cztery lata wcześniej (w 2014 r. PiS wygrał w sześciu sejmikach, a rządził tylko w jednym), tym razem się nie sprawdziło. PiS objął samodzielne rządy w sześciu sejmikach, w jednym zawiązał koalicję z Bezpартyjnymi Samorządowcami, a w innym udało mu się nakłonić do przejścia jednego z radnych Nowoczesnej (radny Wojciech Kałuża). Na niższym poziomie – powiatów i gmin – wygląda to jeszcze ciekawiej. O ile na poziomie sejmików liderzy PSL czy Koalicji Obywatelskiej pilnowali, by do koalicji z PiS nie doszło, o tyle na poziomie rad powiatów i gmin nie byli w stanie odwieść od tego swoich działaczy.

MIT 8. PIS JEST POPULARNY, BO OBIECUJE/ROZDAJE PIENIĄDZE

Z badania CBOS przeprowadzonego w grudniu 2015 r. wynika, że główną motywacją osób głosujących w wyborach na PiS była wiara w to, że będzie rządził krajem dobrze (lub lepiej niż poprzednicy) i nadzieja na poprawę sytuacji. Takiej odpowiedzi udzieliło 31 proc. badanych. Na drugim miejscu była niechęć do PO (25 proc.), a na trzecim ogólna chęć zmiany (20 proc.). Obniżenie wieku emerytalnego jako główna motywacja znalazło się dopiero na 13. miejscu (wskazało je 3 proc. badanych), a polityka prorodzinna i program „500+” miały decydujące znaczenie zaledwie dla 1 proc. badanych. Podobne wnioski płyną z raportu dr. Macieja Gduli, z którego wynika, że kwestie socjalne nie są jedynym i decydującym czynnikiem dla wyborców PiS.

– Ludzie widzą „500+” dużo szerzej, interpretują to znacznie bardziej subtelnie niż wielu polityków. Dla nich jest to m.in. jakiś znak, że państwo dba o rodzinę, że można czegoś wreszcie od państwa oczekiwać. Jest to także takie spojrzenie: do diabła, jesteśmy rozwiniętym krajem i stać nas już na to, co jest pewną normą w innych krajach UE. I to jest coś, czego Platforma nie robiła – oni mówili, poczekajmy, jesteśmy jeszcze krajem na dorobku, musimy być odpowiedzialni. I PiS jest tą odpowiedzią na rosnące aspiracje – tłumaczył dr Gdula w wywiadzie dla portalu naTemat.pl. © Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
SENSACYJNE RELACJE
POLSKICH SPADOCHRONIARZY

Wojciech Markert – **Jak Anglicy zrzucili winę za klęskę na Polaków**

Mikołaj Iwanow – **Ochrona i zamach w Sarajewie**

Ilan Pappé – **Jak Izrael wypędził Arabów**

Sławomir Koper – **Kochanek cesarza Hadriana**

Jochen Böhrer – **1920: nowe spojrzenie**

Marcin Bartnicki – **Szokujące wyznania sekretarki Goebbelsa**

Laurence Rees – **Dlaczego Amerykanie nie zbombardowali Auschwitz**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Piotr Semka

Prałat Henryk Jankowski nie został odznaczony żadnym wysokim orderem za swoją działalność antykomunistyczną. Tak jakby wszyscy wiedzieli, że to skandalowa bomba zegarowa

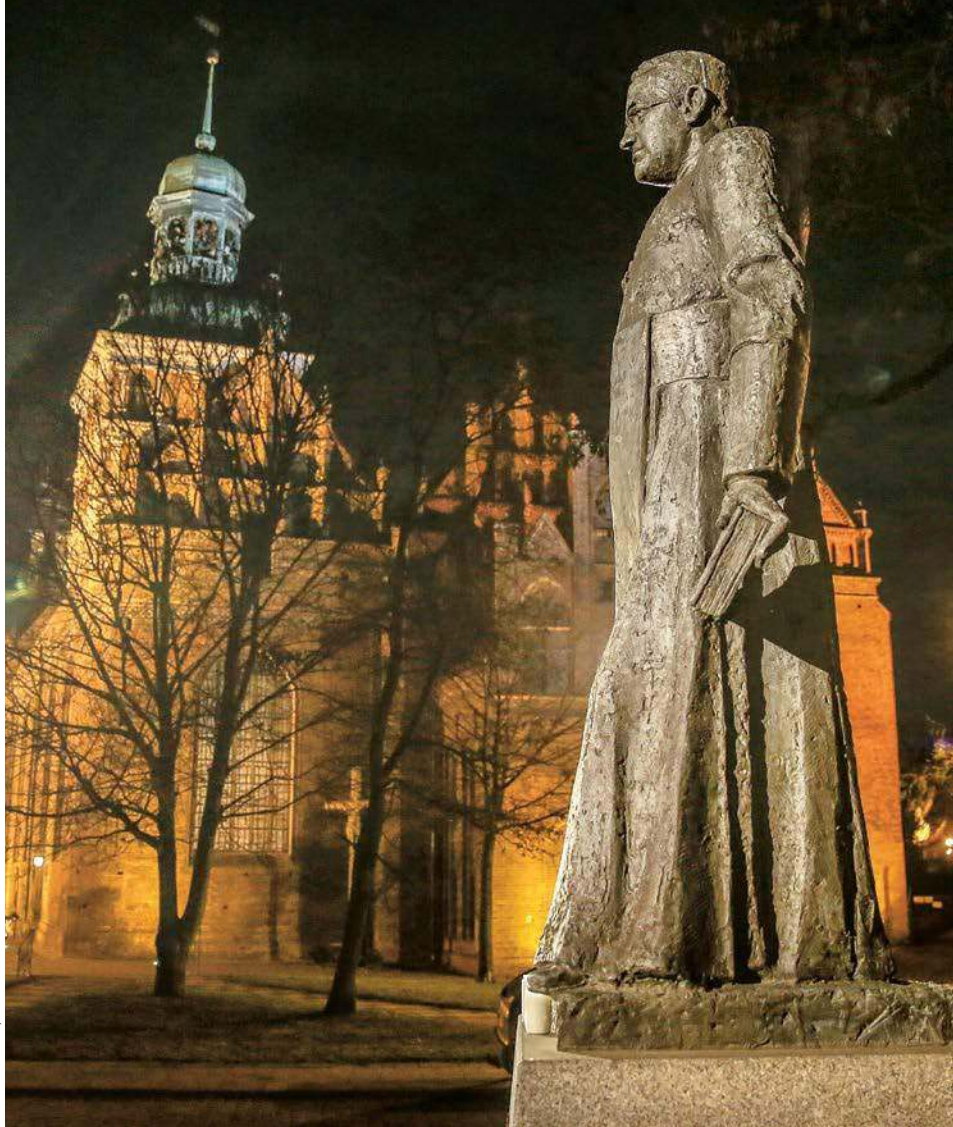
Zmarły osiem lat temu ks. Henryk Jankowski jest od miesiąca na ustach wszystkich. Świadczenia gdańszczanki Barbary Borowieckiej, znane już wcześniej z książkowego zbioru, a teraz powtórzone na łamach „Dużego Formatu” „Gazety Wyborczej” z uściśleniem, że chodzi o ks. Jankowskiego – mówią o gwałtach dokonanych w drugiej połowie lat 60. na 12-letnim dziecku. Według Borowieckiej doszło też do gwałtu na jej 16-letniej koleżance, a ciąża, która była tego wynikiem, pchnęła dziewczynę do samobójstwa. Choć opinia publiczna znała już wcześniej umorzoną sprawę śledztwa prokuratury z lat 2003–2004 o molestowanie nieletnich ministrantów – to śmierć byłego proboszcza parafii św. Brygidy w 2010 r. wydawała się zamykać w naturalny sposób dociekania i podejrzenia. Teraz drastyczność zarzutów Barbary Borowieckiej, sformułowanych pod nazwiskiem, wywołała szok. Szybko pojawiły się żądania usunięcia pomnika kapelana Solidarności z okolicy kościoła św. Brygidy w Gdańsku i pozbawienia zmarłego kapłana tytułu honorowego obywatela grodu nad Motławą. Dla tysięcy gdańszczan cała sprawa jest szokiem. Nie umieją połączyć postaci księdza, którego zapamiętali jako bohatera lat stanu wojennego, z wizją drapieżcy zaciągającego swe dziecięce ofiary na strych lub do piwnicy. Paradoksalnie ci, którzy zżymają się na brak zaufania do oskarżeń Barbary Borowieckiej – to bardzo często ci sami ludzie, którzy gniewnie reagują na oskarżenia o agenturalność Lecha Wałęsy.

DWA OBLICZA JEDNEJ OSOBY

Od miesiąca jak za dotknięciem różdżki zniknęły z tekstów o księdzu Jankowskim napomknięcia o roli, jaką odegrał w walce z systemem komunistycznym.

Gdy 12 lipca 2010 r. proboszcz Brygidy odszedł, redakcja „Rzeczpospolitej” poprosiła mnie, bym jako gdańszczanin

Tajemnice parafii św. Brygidy



FOT. KAROLINA WISTLA/REPORTER

pamiętający lata 80. nad Motławą napisał wspomnienie o księdzu. Już wtedy wskazywałem na dwa oblicza ks. Jankowskiego. „Od 1980 r. do początku lat 90. dziedziniec św. Brygidy przypominał brzęczący ul – pisałem osiem lat temu. Jak żartowano, obok Berlina Zachodniego była to druga wolna wyspa na czerwonym morzu. Poznałem ją dobrze w 1981 r., gdy w suterenie domu parafialnego odbywały się zajęcia kółka samokształceniowego Ruchu Młodej Polski. Po 13 grudnia słynne były odprowadzanie w Brygidzie msze za ojczyznę – z patriotycznymi śpiewami gdańskich aktorów Teatru Wybrzeże i tysiącami palców układających się w znak wiktorii. Kazania ks. Henryka były odważne. Szybko stał się równie znany jak ks. Jerzy Popiełuszko i ks. Kazimierz Jancarz z Krakowa. Dom parafialny zaś przypominał biuro Solidarności wypełnione zaafektowanymi działaczami i parafianami przychodzącymi po pomoc. Tam mieściło się także nieformalne centrum informacyjne. Tu przychodziliśmy wraz z kolegami z III Liceum w Gdańsku, informując o aresztowaniach i z prośbą o przesłanie wiadomości na Zachód, najlepiej do Radia Wolna Europa. Tu zwracały się o pomoc matki aresztowanych. Wszystkim zarządzał ks. Jankowski. Pełnił nie tylko funkcję proboszcza, lecz także nieformalnego ambasadora Solidarności, a także koordynatora akcji pomocy dla rodzin zatrzymanych. Na podwórku Brygidy zajeżdżały ciężarówki z darami z całej Europy [...]”.

Bywał tu także ks. Jerzy Popiełuszko, który bardziej obawiał się, że SB może przygotować jakąś prowokację przeciwko ks. Jankowskiemu, niż podejrzewał, iż sam padnie ofiarą porwania. To do św. Brygidy wreszcie wraz z kolegami przynieśliśmy krzyże, które dyrekcja zdejmowała ze ścian naszej szkoły w 1984 r. A gdy rok później mnie i moim kolegom z licealnej konspiracji SB zagroziła, że nie dostaniemy się na Uniwersytet Gdański, za to natychmiast zostaniemy wcieleni do wojska, ks. Henryk Jankowski zachęcił mnie, żebym zdawał na jedyną niekomunistyczną uczelnię – na KUL w Lublinie. Napisał nawet list do władz uczelni wyjaśniający, że w razie obłania egzaminu na KUL mogę stać się ofiarą zemsty bezpieki”.

W tym samym tekście pisałem jednocześnie, jak w miarę upływu lat 80. zacząłem zauważać rys zepsucia na „dworze” proboszcza ze św. Brygidy. „W drugiej połowie lat 80. prowokacje bezpieki są już rzadsze, ale rzadsze są też postsolidarnościowe demonstracje. Jednak parafię wciąż

wypełniają opozycyjne gwiazdy z Warszawy, za którymi przybywają zachodnie ekipy telewizyjne. W każdą niedzielę dziennikarze ABC, CBS czy ZDF, którym towarzyszą oszałamiająco piękne polskie tłumaczki, przychodzą nagrać wystąpienia Wałęsy. Powoli wytwarza się specyficzny dwór świętobrygidowy, na którym miesza się asystenci ks. Jankowskiego – zazwyczaj byli ministranci – z ludźmi z dworu Lecha Wałęsy. Zachodnie ekipy, które chcą mieć jak najszybszy dostęp do przywódcy Solidarności, obsypują członków parafialnego dworu prezentami: paczkami pall malli czy butelkami whisky. Parafia powoli rozsmakowuje się w luksusie i światowości. [...] Coraz częściej jednak na plebanii pojawiają się goście z najwyższej półki. Jane Fonda, senator Edward Kennedy, a niedługo potem sama premier Margaret Thatcher. Ksiądz prałat prosi wysoko postawionych gości na swe umeblowane ciężkimi gdańskimi meblami salony i olśniewa ich faszzerowanymi bażantami i pieczonkami węgorzami. Zamiłowanie do luksusu znajduje teraz usprawiedliwienie – przecież nie wypada ich podejmować byle czym. Wałęsa, który sam powoli rozsmakowuje się w wykwiętym życiu, nie mityguje przyjaciela”.

Przepraszam za te dwa długie cytaty, ale bez nich nie sposób zrozumieć złożoności obecnej dyskusji o kapłanie oskarżonym o potworne czyny.

Każdy, kto pamięta skalę inwigilacji księży przez SB w latach 60. i 70., musi zadać sobie pytania, czy takie zwyrodniałe łowy w tamtym czasie mogły ujść uwadze bezpieki? A jeśli do takich zachowań dochodziło (wciąż pamiętajmy, że opieramy się na relacji zawartej w dwóch tekstach dziennikarskich), to czy były używane do szantażu? Na przykład do skłonienia ks. Jankowskiego do udziału w grach SB, w których bezpieka uważała proboszcza ze św. Brygidy za kontakt operacyjny „Delegat” vel „Libella”. Dotąd w rozmowach z historykami IPN słyszałem opinie, że księdza skłoniono do dwuznacznych spotkań obietnicą przyznania paszportu. Teraz pojawia się pytanie, czy za szantażem nie stała wiedza o złych skłonnościach kapłana.

Jednak skoro tak – to trzeba też pamiętać, że Jankowski w końcu te uwikłania przeciął. Od wiosny 1982 r. przynajmniej aż do 1988 r. był realnym problemem dla władz komunistycznych i czynnikiem umacniania oporu w Gdańsku. A skoro tak, to jak możliwy był powrót do grzesznych skłonności (o ile założymy, że okres lat 1980–1981 był okresem wymuszonej

przez karnawał Solidarności pewnej wstrzemięźliwości)?

Michał Wojciechowicz, znany w młodym RMP pod przydomkiem Pistolet, syn znanej działaczki Solidarności, twierdzi, że krótko po 13 grudnia 1981 r. był molestowany przez ks. Jankowskiego na plebanii.

Można zaryzykować hipotezę, że kapłan mógł uznać, iż sytuacja obłożonej antykomunistycznej twierdzy paradoksalnie ułatwia nowe wyskoki. Skoro wszyscy są razem przeciw komunie, to nikt nie wyciągnie sprawy na jaw. A jeśli SB zarzuci mu to publicznie, to wszyscy uznają to za obrzucanie błotem politycznego przeciwnika.

Sprawa jeszcze bardziej się komplikuje w późniejszej fazie lat 80., po 1986 r., gdy represyjność ekipy Jaruzelskiego wyraźnie spada. Parafia, która od 13 grudnia 1981 r. zamienia się najpierw w faktyczne centrum pomocy represjonowanym, a potem w biuro Lecha Wałęsy, wymagała wielu młodych chłopaków, rekrutowanych głównie z grona ministrantów, którzy wyrastając, przechodzili do roli kurierów i pomocników w licznych sprawach, których nie brakowało – pomocy w przyjmowaniu transportów humanitarnych z Zachodu, zawożenia pomocy do rodzin aresztowanych, przesyłania informacji dla Wałęsy czy obsługi zachodnich ekip medialnych. Teraz trudno pisać o wielu młodych ludziach spośród ministrantów, którzy narażali się wtedy, wypełniając niebezpieczne solidarnościowe misje. Tak było z Piotrem Adamowiczem, bratem obecnego prezydenta Gdańska, który w styczniu 1982 r., w trakcie jednej z kurierskich wypraw, został aresztowany przez SB i internowany na ponad siedem miesięcy. Potem, gdy napięcie zelżało, szczególnie po 1987 r., w kręgach solidarnościowych Gdańska zaczęły pojawiać się pogłoski o coraz dziwniejszych relacjach na plebanii.

Problem w tym, że najsłynniejsza gdańska plebania była miejscem, przez które przepływały niezwykle atrakcyjne wówczas dobra – od produktów z paczek z Zachodu do zachodnich ciuchów, alkoholu, czekolady i sztapli zagranicznych papierosów. Wystarczyło polecić wyrośniętego „ministranta” zachodniej ekipie z Tokio czy Nowego Jorku, aby chłopak zawiózł ich gdzieś swoim samochodem i dostał 50 czy 100 dol. – sumę wówczas niebotyczną w przeliczeniu na PRL-owskie złotówki.

I wtedy działać mógł mechanizm niepiśnianego szantażu. Kto odrzuci niechciane, obłeńskie zaloty proboszcza, ten wypadnie z łask i wyleci ze świata, w którym

można co pewien czas uszczknąć ileś dolarów. Nie zmienia to sytuacji przypominającej opowieść o dr. Jekyllu i panu Hydzie. Ten sam ks. Henryk Jankowski mógł być odważnym antykomunistą i jednocześnie człowiekiem, który w wybranych przez siebie „bezpiecznych” okolicznościach mógł ulegać swoim chorym skłonnościom.

A ponieważ proboszcz św. Brygidy stał za plecami potężnego wówczas Wałęsy, a gdański arcybiskup mógł się bać wizji publicznego konfliktu i skandalu, który wykorzystał SB – próby poskromienia ambitnego i dynamicznego prałata mogły nie być łatwe.

OCZY SZEROKO ZAMKNIĘTE

Czy można było tego nie widzieć? – padają dziś ostre pytania. Moim zdaniem odpowiedź brzmi – to zależy jak blisko prałata się było w bizantyjskiej hierarchii światła parafii św. Brygidy. Najbliżej Jankowskiego był oczywiście Lech Wałęsa, dlatego dziś jego deklaracje, że nigdy nic nie rzuciło mu się w oczy, brzmią najmniej wiarygodnie. Ale każdy, kto poznał bliżej Lecha Wałęsę, wie, że i wtedy, i dziś słynny elektryk ocenia ludzi głównie pod kątem użyteczności dla jego własnych planów. A Jankowski oczywiście był cennym sojusznikiem.

Plebania była miejscem niezastąpionym. Liczni politycy solidarnościowi od Adama Michnika do Tadeusza Mazowieckiego mieli tu zapewniony nocleg i bezpośredni

wyjeździe do Warszawy – kto mógł, zaczął omijać niegdyś przystocznioży azyl szerokim łukiem.

Jankowski nie dostał ani funkcji biskupa polowego, ani nie został odznaczony żadnym naprawdę wysokim orderem. Tak jakby wszyscy wiedzieli, że to skandalowa bomba zegarowa z opóźnionym zapłonem. Pozostali tylko coraz bardziej szemrani biznesmeni, rozmaici mniej rożgarnięci komendanci policji, służby granicznej i wojska oraz ludzie mający do prałata sentyment. Często szczerzy i godny szacunku. Bronią jego pamięci, bo ks. Henryk naprawdę im pomógł w czarnych godzinach stanu wojennego. Bo im zaimponował jako kompan polowań czy bankietów. Bo w końcowych latach życia budził współczucie jako coraz bardziej schorowany i osamotniony człowiek. Często byli to ci, którzy dziś są w orbicie Platformy, tacy jak Jerzy Borowczak czy Paweł lub Piotr Adamowicz, byli ministranci ze św. Brygidy.

Dzisiaj, gdy bycie byłym ministrantem stawia ich w dwuznacznym świetle – tak jak w przypadku prezydenta Gdańska – nagle na zasadzie ucieczki do przodu stają w pierwszej linii gorliwości w żądaniu zburzenia pomnika prałata.

SPLĄTANY WĘZEL

„Gazeta Wyborcza” z ogniem w oczach gromi opieszałość kurii gdańskiej w zacieraniu się do wyjaśnienia porażających

W tekście Bożeny Aksamit w „Dużym Formacie”, który wywołał powrót do sprawy – starannie pominięto okres gier Jankowskiego z SB z lat 1980–1982.

Nikt też na serio nie wypytuje ani Lecha Wałęsy, ani byłego ministranta Pawła Adamowicza o to, co wiedzieli o obyczajach panujących na plebanii. Ba, Jerzy Borowczak, prawa ręka Wałęsy w gdańskim światku lat 90., sam był w komitecie budowy pomnika prałata.

Teraz odgrzana od nowa stara sprawa jest o wiele trudniejsza do rozstrzygnięcia. I nie bardzo wiadomo, według jakich procedur ją prowadzić. Po stronie lewicującego Stowarzyszenia Lepszy Gdańsk trudno nie zauważyć antyklerykalnego zapachu. Demonstranci bez większego oporu prowadzą akcje obwieszania pomnika hasłami idącymi bardzo daleko – np. „Pomnik hańby KK” (Kościoła katolickiego).

Sytuacja jest idealna dla obozu antyklerykałów – nie trzeba się śpieszyć z wyjaśnieniem sprawy, ale już dzisiaj można powtarzać, że cały Kościół jest winny. Czasami pośpiech jest ucieczką do przodu. Prezydent Paweł Adamowicz dziś wzywa do jak najszybszego usunięcia pomnika, choć jako były ministrant z Brygidy wspierał kiedyś akcję stawiania pomnika ku czci prałata.

Trudno też przypuszczać, by porozumienie z Kościołem ułatwiły pomysły Komisji Prawdy i Zadośćuczynienia z udziałem m.in. KRS, rzecznika praw obywatelskich, posłów i senatorów, szefa NIK – co lansuje fundacja Nie Lękajcie Się.

Nie wiadomo jeszcze, na ile wiarygodne są relacje innych osób, deklarujących się jako ofiary. Działając bez udziału Kościoła, takie gremia mogą być uważane za czynnik akcji na rzecz laicyzacji. Tak samo konfrontacyjnie brzmią opinie, że byłych ofiar nie ma, co naraża na traumę chodzenia do kurii i rozmawiania z ludźmi Kościoła. Oto prezydent Gdańska kieruje ponoć niejawnym listem do abp. Głódzia, ale „Wyborcza” uzyskuje do niego dostęp poprzez „jednego z doradców prezydenta”. W takiej aurze współpraca z kuria będzie niełatwa.

Cała ta sprawa wygląda jak splątany węzeł. Nikt nie ma jasnego pomysłu, jak go rozwiązać. A Kościół się nie śpieszy. Tak samo było ze sprawą lustracji biskupów parę lat temu. Tyle że wtedy liberalne media były łaskawe wobec Kościoła z racji tradycyjnej niechęci salonu do ujawniania agentów komunistycznych służb. W sprawie oskarżeń księży o pedofilię nie będzie żadnej taryfy ulgowej ze strony liberalnej lewicy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Sytuacja jest idealna dla obozu antyklerykałów – nie trzeba się śpieszyć z wyjaśnieniem sprawy, ale już dzisiaj można powtarzać, że cały Kościół jest winny

kontakt z Wałęsą. A wtedy, szczególnie w latach 1987–1989, to znaczyło bardzo dużo. W takiej sytuacji z ks. Jankowskim trzeba było żyć jak najlepiej. A niezręczne chwile, gdy zdarzyło się być świadkiem sytuacji, gdy rzekomo ojcowi pocałunek prałata trafiał zbyt blisko ust „ministrantów” lub gdy ks. Jankowski pozwalał sobie na powiedzonka typu „aby życie miało smaczek, raz dziewczyna, raz chłopaczek” (słyszałem o takim wypadku z ust bezpośredniego świadka już po wybuchu rewelacji) – wszyscy woleli uznawać to za niewinne dziwactwa zasłużonego kapłana. O tym, że wszyscy coś musieli wiedzieć, świadczy to, jak szybko plebania opustoszała z polityków, gdy tylko przestała być niezbędna dla solidarnościowego światła. Po wygranej prezydenckiej Wałęsy i jego

oskarżeń. Istotnie, wobec drastyczności sprawy razi powoływanie się na suchą procedurę. Choćby ogłaszanie, że poszkodowani sami muszą się zgłosić do kurii. Naprawdę nie zaszkodziłoby kurii, by sama nawiązała kontakt np. z panią Borowiecką, nie czekając na jej inicjatywę. Casus ks. Jankowskiego jest o tyle wyjątkowy, że dotyczy osoby dawno zmarłej. Wyjaśnienie zarzutów sprzed 50 lat będzie tym samym jeszcze trudniejsze. Sam podejrzany nie może się już przecież bronić.

Jednak nie sposób się też nie dziwić żądaniom wobec radnych miasta Gdańska, by na podstawie jednego tekstu przegłosowali z dnia na dzień demontaż pomnika i wykreślenie postaci księdza z listy honorowych obywateli miasta. Tym bardziej że „Wyborcza” unika wielu wątków sprawy.

Zdobywczyni OSCARA®

Nominowany do OSCARA®

Julia Roberts

Scott Feinberg, THE HOLLYWOOD REPORTER

reżyseria nominowany do OSCARA® **PETER HEDGES**

POWRÓT BENA

3 WEST COLOR FORCE

W KINACH OD 11 STYCZNIA

Kłamstwo „demokracji liberalnej”



Rafał A. Ziemkiewicz

Ostatnie lata wykształciły szczególnie gatunek literacki, który osobiście zaliczylbym do tradycji elegijnej. Są to publicystyczne lamenty nad „odradzaniem się autorytaryzmów” czy też „zalewem populizmów” (zwykle dodawany jest tu przymiotnik: „prawicowych”) zagrażających „demokracji liberalnej”. Przy czym liczni autorzy tekstów należących do gatunku uważają, że znaczenie tego ostatniego pojęcia jest oczywiste, podobnie jak i to, że jest ono synonimem czystego dobra. Z lektury wspomnianych dzieł wynika, że „demokracja liberalna” to dla ich autorów taka demokracja, która daje władzę – zarówno polityczną, jak i „rząd dusz” – elitom określającym się jako liberalne. „Autorytaryzmem” czy „populizmem” nazywają natomiast sytuację, w której elity owe władzę i moc opiniotwórczą tracą na rzecz kogoś innego – nazywanego tu „prawicą”, nie dlatego bynajmniej, by cokolwiek to objaśniało i miało się jakoś do kategorii prawicy w klasycznej politologii, ale dlatego, że w języku liberalnych elit jest to ciężka obelga. Cięższą, również często w elegiach na śmierć demokracji stosowaną i równie oderwaną od właściwego znaczenia, jest tylko „faszyzm”.

Trochę sobie żartuję, ale z narracją upowszechnianą przez te sfery społeczne, które czują się zagrożone „populizmem”, trudno spierać się na poważnie – trzeba ją traktować raczej jako wyraz ich lęków, resentymentów, obsesji i idiosynkrazji. Niemniej zmierzyć się z tą narracją trzeba, bo jakkolwiek dziurawa i nonsensowna, jest upowszechniana przez

potężne media i wpływowe ośrodki „dystrybucji szacunku”, przez co narzuca debacie publicznej fałszywe pojęcia. Nie dojdziemy do niczego sensownego bez zdemaskowania tych fałszów i przywrócenia słowom właściwych znaczeń. A skoro mamy akurat początek roku, umowną cezurę w różnych sporach – to skorzystajmy z tej okazji.

@

Demokracja nie dzieli się na „liberalną”, czyli dobrą, i złą „nietoliberalną”, tworzoną przez „populistów” w rodzaju Kaczyńskiego, Orbána czy Trumpa. Demokracja w ogóle z natury swojej jest bezprzymiotnikowa – po prostu jest albo jej nie ma. Kiedy uporczywie dokleja się do niej przymiotniki, tak jak robiono to w PRL, nazywając ówczesny ustrój „demokracją socjalistyczną”, zwykle służy to do ukrycia tego, że to nie jest wcale demokracja.

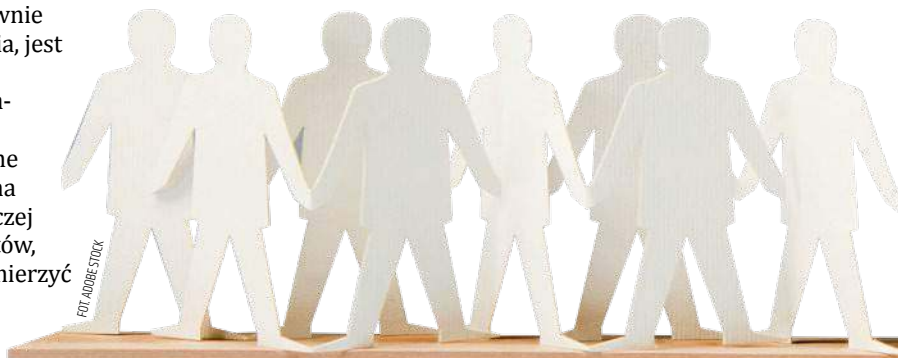
Pojęcie „demokracji liberalnej” oznacza w narracji zagrożonych w swej pozycji elit właśnie taką demokrację, której w istocie nie ma, a w każdym razie znalazła się w daleko posuniętym upadku.

Czym jest władza „demosu”, czyli ludu, jako idea, nie musimy się chyba spierać. Chodzi o takie urządzenie społeczne, w którym władza znajduje się pod

kontrolą większości społeczeństwa. Aby taką kontrolę sprawować, przemożny wpływ na władzę muszą mieć ludzie niezależni finansowo, posesjonaci, gdyż tylko tacy odporni są na pokusę klientyzmu, czyli sprzedawania swego głosu w demokratycznych procedurach bogaczom – zwykliśmy tę postulowaną ostoję ludowładztwa nazywać „klasą średnią”. Już Arystoteles objaśniał, że warunkiem demokracji jest to, by klasa średnia była liczniejsza od kasty wielkich bogaczy, oligarchów, oraz od skłonnego wysługiwać się im plebsu; za bezpieczne można uznać rządy demokratyczne, gdy jest liczniejsza od nich obu razem wziętych.

Pytanie, czy społeczeństwa zachodniej Europy, a nawet znacznie od niej bardziej wolnorynkowych Stanów Zjednoczonych, po dziesięcioleciach redystrybucji dochodów i rozmaitych ingerencji w wolny rynek, uzależniających coraz większe grupy ludności od „chleba i igrzysk” rozdawanych przez władzę, spełniają jeszcze ów arystotelesowski warunek, jest pytaniem czysto retorycznym.

Nie najważniejszym zresztą dla określenia obecnej kondycji zachodniej demokracji. Zapytajmy: Jakie decyzje, podjęte w ostatnich dziesięcioleciach, ukształtowały obecną sytuację Zachodu? Osobiście wskazałbym następujące: uwolnienie glo-



balnych przepływów finansowych spod nadzoru rządów państw narodowych, co doprowadziło do kryzysu zapamiętanego jako kryzys Lehman Brothers i wszystkich jego późniejszych konsekwencji. Następnie: stworzenie wspólnej waluty europejskiej. Dalej: rewolucja w prawie cywilnym, odrzucająca „patriarchalny” model rodziny i zrównująca z nią konkubinaty homo- i heteroseksualne oraz podważenie w systemach prawnych płci jako kategorii obiektywnej, uwarunkowanej biologicznie. I wreszcie: przyjęcie jako docelowej wizji społeczeństwa multikulturowego oraz szerokie otwarcie drzwi dla imigracji z krajów o odmiennej, islamskiej kulturze i tradycji.

Kolejne pytanie retoryczne brzmi: Która z tych rewolucyjnych w skutkach decyzji była przedmiotem demokratycznej, obywatelskiej debaty? Czy demosy krajów uważających się za wzorzec demokracji i butnie strofujących nas w tym względzie miały szansę poznać argumenty za i przeciw, a potem je rozstrzygnąć? Czy te kluczowe dla ich przyszłości zmiany zostały przez nie kiedykolwiek świadomie zaakceptowane?

Ktoś inny może wskazać inne uwarunkowania, dajmy na to, „politykę klimatyczną” albo decyzje mieszczące się w szerokim pojęciu „globalizacji”. Nie sądzę jednak, by znalazł jakąkolwiek sferę życia, w której zmiany, które dokonały się za sprawą decyzji „demokratycznych” rządów, zostały w istocie przeprowadzone demokratycznie. W każdym wypadku decyzje, od których zawisło życie setek milionów obywateli państw „demokratycznych”, podjęte zostały ponad ich głowami, za plecami i bez ich wiedzy, przez gremia, które uznały się za „oświecone” i upoważnione do decydowania w imieniu mas, a także dysponowały zapleczem opiniotwórczym wystarczającym do narzucenia masom akceptacji swych decyzji.

Dobitnym przykładem służy wspólna europejska waluta. Tak się złożyło, że dokładnie w tym samym roku, w którym weszła ona w życie, ekonomicznym noblem nagrodzono tzw. teorię optymalnego obszaru walutowego Roberta Mundella. Oczywiście w pierwszych wywiadach z laureatem musiały więc paść pytania o ocenę i prognozę – odpowiadał miazdzącą krytyką projektu, jego zdaniem, czysto politycznego i gwałcącego reguły ekonomii.

Te wypowiedzi zostały całkowicie pominięte w dyskursie medialnym całej Europy. Nagrodzonej Noblem teorii nie wykładano na europejskich uniwersytetach. Usunięcie z dyskursu medialnego argumentów przeciwko wspólnej walucie stało się elementem europejskiej „poprawności”. Podobnie jak uczyniono to np. z argumentami przeciwników aborcji czy „praw homoseksualistów”. Uliczne manifestacje, w których brały udział miliony ludzi, są przecież dowodem, że takie poglądy były i są podzielane przez znaczny odsetek mieszkańców Unii, może nawet przez większość. A jednak – w publicznym

**Instytucje zwane „mediami”
stały się zawłaszczonymi
przez elity narzędziami
masowej perswazji,
poddanymi ścisłej cenzurze**

dyskursie próżno szukać śladu ich głosu. Podobnie jak nie ma w mediach francuskich argumentów „żółtych kamizelek”, a w niemieckich wyborców partii AfD.

Instytucje, z przyzwyczajenia wciąż zwane „mediami”, przestały być w istocie „pośrednikami” w społecznej komunikacji, a stały się zawłaszczonymi przez elity narzędziami masowej perswazji, poddawanymi ścisłej cenzurze i „programowaniu”, podobnie jak w reżimach komunistycznych z ich „wydziałami propagandy KC” – mimo zachowania pozorów, ale właśnie tylko pozorów, wolności słowa.

@

Jak było to możliwe? W największym skrócie: wydaje mi się, że przez połączenie „długiego marszu”, który podporządkował elity bękartom Marksa i Gramsciego, z „redystrybucją”, współczesną formą

rozdawnictwa „chleba i igrzysk”. Społeczeństwa zachodnie utraciły czujność i pozwoliły się niepostrzeżenie pozbawić wolności, ponieważ popierając „oświecone” elity wygłasowały sobie „welfare”. Kryzys



przyszedł dopiero, gdy „oświeceni” zaczęli pakować swe kraje w kłopoty. Wtedy okazało się, że „demokracją liberalną” rządzi zasada: zyski są prywatne i należą do możnych tego świata, ale kosztami muszą się solidarnie podzielić biedniejsi.

Ponieważ mechanizm demokratyczny został rozmontowany i „biedniejsi” nie tylko stracili faktyczny wpływ na władzę, lecz także odebrano im nawet możliwość sformułowania i ukonkretnienia swych wątpliwości, ostatecznie pozostawiono im tylko jedno – coś, w co elity, szczerze przekonane, że są oświecone, lepsze i jedynie uprawnione do kierowania masami, absolutnie nie wierzyły i nie wierzą do dziś: „wymówić pracę” elitom „po całości”. Sprawy nie idą dobrze, a wy nie umiecie temu zaradzić, tylko zgodnie się mądrzycie i zgodnie nami gardzicie – więc wszyscy precz!

Ten proces wszędzie w różnych krajach zachodzi inaczej – ale zachodzi niemal wszędzie. Elity zaś wszędzie, pozostając więźniami swego „urojenia wyższościowego”, interpretują ten proces kontrfaktycznie. Ponieważ uwierzyły, że to one, arystokracja czasów globalizacji, są gwarantami demokracji – to, co w istocie jest odruchem ratowania demokracji, jawi im się jako bunt przeciwko niej. A jedyną dostępną ich rozumieniu interpretacją tego buntu jest „populizm”. Skoro my jesteśmy dobrem i mądrością, a „chamstwo” nagle jest przeciwko nam – to znaczy, że ktoś zły te elity okłamał. Kto lubi historię, ten łatwo wskaże analogie z poprzednich wieków.

Powiedzmy jasno – owe filipiki w obronie „demokracji liberalnej” przeciw „populistom” to sterty bzdur, na które godzić się nie wolno. Wartość poznawcza dywagacji „autorytetów” o „odradzaniu się autorytaryzmu” jest zerowa, tym bardziej zresztą, że w pomieszaniu pojęć zwykłe postulują one, nie zdając sobie zresztą z tego sprawy, rozwiązania autorytarne właśnie. Ów upowszechniony gatunek publicystycznej elegii to głównie zbiorowa autoterapia elit, tłumaczących sobie bunt mas tym, że były dla nich za dobre i na zbyt wiele ciemnocie pozwoliły. Oczywiście cała ta paplanina jednak może być bardzo groźna, dlatego nie należy jej puszczać mimo uszu.

PS Nieco szerzej pisałem o tym, omawiając sztandarowe dla gatunku dzieło pióra Anne Applebaum – kto ciekaw, proszę wpisać w wyszukiwarkę tytuł „Bzdury, które zachwyciły Obamę”.

Informacja o tym, że prezydent Warszawy ma nowego rzecznika, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia rozgrzała media społecznościowe i portale. Do kadrowego ruchu ratusza postanowił się odnieść nawet Patryk Jaki, kontrkandydat Rafała Trzaskowskiego w wyborach na prezydenta Warszawy. Nowo wybranego rzecznika – Kamila Dąbrowę – nazwał internetowym trollem. „Podawał spreparowane zdjęcia, w dodatku udawał dziennikarza” – komentował na Twitterze Jaki.

Chodzi o fotomontaż, który Dąbrowa zamieścił na Twitterze. Na zdjęciu widać Jakiego, który siedzi na klatce schodowej z grupą dresiarzy. Dąbrowa skomentował je, twierdząc, że po przegranej w wyborach w Warszawie Jaki „postanowił wrócić do korzeni i odbudować się z ziomalami w Opolu”. Portalowi wawolove.wp.pl nowy rzecznik m.st. Warszawy tłumaczył, że reakcja Jakiego na ten tweet świadczy o tym, że nie zna się na żartach. – To jest typowy przykład braku poczucia humoru na prawicy polskiej sceny politycznej – mówił.

„ZAŁATWIMY TO W PIERWSZEJ POŁOWIE”

Konkurs na dyrektorskie stanowisko w biurze marketingu warszawskiego ratusza przebiegł błyskawicznie. Do 14 grudnia można było zgłosić kandydaturę. Dąbrowa znalazł się w drugim etapie konkursu, do którego przeszło pięć osób. Trzeba było w nim rozwiązać test z wiedzy o Warszawie. W Wigilię ogłoszono wyniki. „Kandydat spełnił w najwyższym stopniu wymagania stawiane podczas rekrutacji” – czytamy w komunikacie o wyniku naboru.

Po lewej stronie polityczno-ideowego sporu nominacja Dąbrowy wywołała entuzjazm. „Gdyby Platforma miała więcej takich twarzy, byłaby spokojniejsza o wynik wyborów” – napisał publicysta „Polityki” Daniel Passent w blogowym wpisie zatytułowanym „Rafał i Kamil – dobra zmiana”.

Zastrzeżenia do konkursu mają radni PiS. Dwóch z nich złożyło interpelację do prezydenta Warszawy. Dopytują w niej m.in. o skład zespołu rekrutacyjnego, jego kompetencje, pytania zadane kandydatowi. – Nie odbieram Rafałowi Trzaskowskiemu prawa do dobierania sobie współpracowników wedle uznania, ale zastępca dyrektora w biurze marketingu to stanowisko nie z nadania,

Nowe usta Trzaskowskiego



Agnieszka Niewińska

Jako dyrektor w Polskim Radiu Kamil Dąbrowa zasłynął graniem co godzina hymnu Polski i UE w ramach protestu przeciw zmianom w mediach. Teraz został rzecznikiem prasowym prezydenta Warszawy

ale z konkursu. W tym przypadku mam podejrzenia, że konkurs nie przebiegł poprawnie, skoro wygrała go osoba, która w debacie publicznej na portalach społecznościowych używa agresywnego języka w stosunku do konkretnego środowiska politycznego – mówi Jacek Ozdoba, warszawski radny PiS. – Pan Dąbrowa do ministra konstytucyjnego zwracał się w sposób poniżej krytyki. To dyskwalifikuje go jako dziennikarza, a co dopiero jako urzędnika. Ma obsesyjny stosunek do jednej z partii politycznych i kontrkandydata Rafała Trzaskowskiego w wyborach na prezydenta Warszawy. Publikował fejki na jego temat. Czy taka osoba powinna być rzecznikiem ratusza? – pyta radny. Zwraca uwagę, że konkursem był zaskoczony. – Zwykle śledzę tego typu ogłoszenia. Może tym razem je przeoczyłem, ale pamiętam, że przy okazji wyboru poprzedniego rzecznika o konkursie było głośno. Ten odbywał się w atmosferze tajemnicy.

Dąbrowa, choć przygodę z mediami społecznościowymi zaczął niedawno (konto na Twitterze założył dopiero w lipcu 2018 r.), to dał się poznać jako ostry i nieprzebierający w słowach krytyk partii rządzącej. „Uważam, że tych słów nie mógł wypowiedzieć polski

FOT. ALBERT ZAWADZKA/AGETA



wicepremier. Musiał być to jakiś wyjątkowy idiota, a nie jaśniepan Glišński” – komentował głośną wypowiedź Piotra Glišńskiego o tym, że „PiS jest traktowany przez opozycję jak Żydzi przez Goebbelsa”. O Andrzej Dudzie pisał, że jest „najbardziej wygwizdany i wybuchany prezydentem w historii III RP”. Dziennikarzy TVP nazywał „szczujnią z pl. Powstańców”. O Jacku Kurskim i jego nowej małżonce pisał z kolei: „Jacek Telewizor i Joanna Oglądalność. Mają córeczkę Propagandę Reżimową”. Kibicował Rafałowi Trzaskowskiemu, a w dniu wyborów samorządowych z samego rana napisał: „Wygląda na to, że załatwimy to w pierwszej połowie”.

REDAKTOR Z MEDALEM

Kamil Dąbrowa od lat związany jest z rozgłośniami radiowymi. Prowadził programy w TOK FM, był dyrektorem muzycznym tej stacji, zastępcą dyrektora programowego Roxy FM i dyrektorem programowym Radiostacji. W 2011 r. przeszedł do mediów publicznych. Został dyrektorem programowym radiowej Jedynki. Głośno zrobiło się o nim, gdy w 2016 r. PiS postanowił dokonać zmian w kierownictwie mediów publicznych.

Dąbrowa zarządził, by w Jedynce w ramach protestu grano co godzinę hymn Polski i kantatę z „Ody do radości”, czyli hymn Unii Europejskiej. – Chcę zwrócić uwagę opinii publicznej na to, że z mediami publicznymi dzieją się dziwne rzeczy. Właśnie został dokonany abordaż. Mówiąc obrazowo, wyglądają to tak: podpyływają piraci, rzucają haki i próbują przejąć okręt, dziurawiąc go i niszczyć – tłumaczył „Newsweekowi” motyw protestu z hymnami. Dodał, że z przyjemnością odbierze Hienę Roku za granie hymnu Polski.

Akcja protestacyjna podzieliła zespół Jedynki. Dyrektora Dąbrowę publicznie wsparł np. Przemysław Szubartowicz, który w tamtym czasie prowadził najważniejsze programy Jedynki. Przekonywał, że akcja Jedynki „jest symbolicznym gestem poparcia dla idei wolności słowa”. Przeciwnie zdanie wyraziła Małgorzata Raducha, od lat 90. związana z redakcją „Czte-

rech pór roku”. „Nikt mnie o zdanie nie pytał przy podejmowaniu decyzji o emisji o każdej pełnej godzinie hymnu na przemian z »Odą do radości«” – napisała w liście, który trafił do mediów. „Dyrektor Dąbrowa rozegrał to po mistrzowsku, jeśli mistrzem można nazwać Wolanda albo Machiavellego – wpisał nas w bieżący kontekst polityczny, a wzięwszy pod uwagę czas – sylwester i Nowy Rok – wytrącił możliwość reakcji” – dodała.

Po informacji o nominacji Dąbrowy na rzecznika prezydenta Warszawy tamte wydarzenia przypominała na Twitterze Anna Godzwon, wówczas naczelną Polskiego Radia 24. „Uważałam, że była to demonstracja, na którą publiczne radio w żaden sposób nie powinno sobie pozwolić. Pan Dąbrowa wiedział, że jego dni są policzone, ale najwyraźniej nie pomyślał o swoich ludziach, którzy oberwali potem rykoszetem tej demonstracji”.

Jeden z dziennikarzy Jedynki, który do dziś pracuje w stacji, twierdzi, że wśród wieloletnich pracowników programu Dąbrowa do dziś budzi złe wspomnienia. – Był komisarzem, a nie radiowcem. Nie rozumiał Jedynki, jej słuchaczy. Nie zależało mu na nich, na dobrym radiu. Antena dobrze działała, jak nieraz w historii, obok szefów, a nie mając w nich oparcia. Zmarnowany czas – uważa nasz rozmówca, prosząc o niepodawanie jego nazwiska.

Po prośbie z hymnami Dąbrowa został dyscyplinarnie zwolniony z Polskiego Radia, a sprawę zwolnienia zaskarżył w sądzie. Zatrudnił go Eurozet. Został redaktorem naczelnym Meloradia (dawniej Radio Zet Gold), współpracował z „Krytyką Polityczną” czy OKO.press.

Po zwolnieniu z Polskiego Radia wrócił też do nadawanego w TVN24 „Szkła kontaktowego”, gdzie już w latach 2008–2011 był jednym z prowadzących. To ten satyryczno-publicystyczny program, w którym gospodarze komentują bieżące wydarzenia polityczne, potknięcia i blamaże uczestników życia publicznego, przyniósł mu największą rozpoznawalność. Głównym obiektem dowcipów były zazwyczaj postacie związane z prawą stroną sporu politycznego. W parze z Grzegorzem Markowskim Dąbrowa żartował z Ryszarda Czarneckiego, którego odwołano z funkcji wiceszefa PE, twierdził, że Zbigniew Ziobro to już nie zero – jak nazwał go niegdyś Leszek Miller – ale polityk plasujący się poniżej zera. Karola Karskiego nazywał meleksem, nawią-

zując do rajdu posła meleksem na Cyprze, parodiował minę Jarosława Kaczyńskiego, demonstrując „kulę prezesa”, żartował z Bartłomieja Misiewicza, który poszedłszy na urlop, zniknął ze stron internetowych ministerstwa. Misiewicz swoim zachowaniem nieraz dał, nie tylko „Szkłu”, asumpt do żartów, ale wypada przypomnieć także, że Kamil Dąbrowa, podobnie jak Misiewicz, został odznaczony medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju” – tyle że brązowym, a nie złotym. Otrzymał go w 2012 r. z rąk ówczesnego szefa MON Tomasza Siemoniaka.

Doktor Sergiusz Trzeciak, ekspert ds. komunikacji strategicznej, nie jest zdziwiony nominacją Kamila Dąbrowy. – Na stanowiska rzeczników prasowych chętnie wybiera się dziennikarzy. Dąbrowa pokazał się jako człowiek, który z zaangażowaniem opowiedział się po stronie dzisiejszej opozycji, ale w czasach dziennikarstwa tożsamościowego trudno znaleźć przedstawiciela tego zawodu, który by mniej lub bardziej nie demonstrował swoich sympatii politycznych. Wizerunkowo to nie jest jednak zły krok prezydenta Warszawy. Dzisiaj krytykują go głównie ci, którzy i tak nie należą do jego elektoratu. Tymczasem mianowanie dziennikarza, który ma swoich sympatyków, swoje plemię, z którym komunikuje się na Twitterze, dla Trzaskowskiego może być dodatkowym atutem. Wywoła efekt synergii – przekazał prezydent Warszawy trafi od razu do większej grupy ludzi – ocenia dr Trzeciak.

BILET W JEDNĄ STRONĘ

Nowo wybrany rzecznik prezydenta Warszawy zapowiedział na Twitterze, że 31 grudnia odchodzi z Eurozetu. Nie będzie już także komentatorem w „Szkle kontaktowym”. – Dla Kamila Dąbrowy decyzja o przejściu na stanowisko rzecznika prezydenta Warszawy to bilet w jedną stronę. Po pracy na tak eksponowanym stanowisku wydaje się raczej niemożliwe, by wrócił do dziennikarstwa. Pozostają raczej polityka lub branża PR – uważa dr Trzeciak.

Chcieliśmy zadać Kamilowi Dąbrowie kilka pytań, ale – jak dowiedzieliśmy się w biurze prasowym urzędu miasta – w pierwszym dniu urzędowania dopełniał formalności związanych z zatrudnieniem. Na prośbę o rozmowę do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” nie otrzymaliśmy odpowiedzi.



Radosław Wojtas

Katowany pod drzwiami własnego mieszkania nie oddawał ciosów. Zginął, bo pijany oprawca pomylił kamienice. Mordercy Roberta Brylewskiego, legendy polskiego punk rocka, grozi dożywocie

Kiedy odchodzą tacy jak on, najczęściej padają słowa, że przecież nigdy nie umrą tak do końca, że zostawił po sobie muzykę. W przypadku Roberta Brylewskiego – wokalisty, gitarzysty, kompozytora, współzałożyciela kilku legendarnych zespołów polskiej muzyki alternatywnej lat 80. i 90. – ten oklepany zwrot nie oddaje całej prawdy. Pozostała po nim nie tylko muzyka zespołów, które współtworzył, utworów, które napisał i śpiewał. Wpływ jego muzyki pozostał w wielu innych polskich artystach, którzy się nim inspirowali, by wspomnieć tu chociażby Muńka Staszczuka, Kazika Staszewskiego czy Tymona Tymańskiego.

Brylewski odszedł przedwcześnie, na co złożył się splot tragicznych okoliczności. Po niemal roku od dotkliwego pobicia i siedmiu miesiącach od śmierci muzyka, do Sądu Okręgowego Warszawa-Praga wpłynął akt oskarżenia przeciwko Tomaszowi J. Grozi mu dożywocie.

PRASKA TRAGEDIA

W nocy z 27 na 28 stycznia ubiegłego roku Tomasz J. pije alkohol. Wypija go dużo. Po zatrzymaniu przez policję jego stężenie we krwi mężczyzny wynosi 1,3 promila. Gdy 28 stycznia nad ranem zamawia taksówkę na warszawską Pragę, w jego żyłach zapewne krąży alkohol w jeszcze wyższym stężeniu. Mężczyzna wysiada przed kamienicą przy ul. Targowej. Doskonale ją zna. Kieruje kroki wprost do drzwi mieszkania wynajmowanego przez Roberta Brylewskiego i jego bliskich.

Tomasz J. puka do drzwi, ale szybko zaczyna agresywnie dobijać się do mieszkania. Problemy z kontrolą agresji ma nie



FOT. BEATA ZAWRZEŁ/REPORTER

od dziś. Zwłaszcza po alkoholu. Był nawet karany za napaść na policjanta. Robert Brylewski nie wie, kto stoi za drzwiami. Nie poznaje mężczyzny, gdy wychodzi na klatkę, by wyjaśnić sytuację. Ten jednak nie zamierza rozmawiać. Atakuje gospodarza mieszkania. Bez powodu. Nie zna go, nie rozpoznaje w nim również artyści uważanego za ikonę polskiego punk rocka.

Tragedia rozgrywa się na klatce schodowej, później przenosi się na jakiś czas poza kamienicę. Na nagraniu z prywatnego monitoringu widać, że Robert Brylewski nie chce walczyć, nie oddaje ciosów, a jedynie osłania się, wreszcie próbuje uciekać. Jednak J. mu na to nie pozwala, bije go i kopie bardzo brutalnie po całym ciele.

Kiedy na miejsce przyjeżdża policja, zastaje Roberta Brylewskiego na klatce schodowej. Jest zakrwawiony, stara się opowiedzieć policjantom, co się stało. „Od Roberta Brylewskiego nie była wyczuwalna woń alkoholu, ale mówił niezrozumiale,

Brylewski z najbliższymi wprowadził się do kamienicy na Pradze ok. półtora roku przed pobiciem. Wcześniej ten sam lokal zajmowało starsze małżeństwo. Przenieśli się jednak do innego budynku na parter, by nie musieć wchodzić po schodach. Małżeństwo miało syna – Tomasza J., którego wizyta w dawnym mieszkaniu rodziców 28 stycznia nad ranem skończyła się tragicznie. Czy mógł nie wiedzieć, że rodzice przeprowadzili się kilkanaście miesięcy wcześniej?

MIĘDZYGAŁAKTYCZNY PRZEWODNIK

Stan Roberta Brylewskiego od początku był bardzo ciężki. Niebezpieczne dla życia były zwłaszcza poważne obrażenia głowy. Dlatego na początku rekonwalescencji utrzymywany był w stanie śpiączki farmakologicznej. Od stycznia do maja przebywał w warszawskich szpitalach, przez kilka tygodni leczony był w domu. W maju znów

W ostatniej drodze oprócz najbliższych towarzyszyli mu fani i muzycy. Tymon Tymański bez cienia wątpliwości w głosie nazwał go legendą. Muniek Staszczuk napisał w mediach społecznościowych: „Robert, zawsze Cię kochałem i podziwiałem. Gdyby nie koncert Kryzysu w roku 1980 w Teatrze Letnim w Sopocie, nie założyłbym swojej pierwszej kapeli. Ogarnia mnie masakryczny smutek. Nie wiem, co można więcej napisać. Starałem się być z Tobą do końca. Żegnaj, Przyjacielu. Nigdy Cię nie zapomnę”. „Strzał w samo serce! Robert Brylewski nie żyje! Wspaniały człowiek, przyjaciel, Brat, genialny muzyk, inspirator! Dla mnie kończy się pewna epoka, epoka sznytu, stylu, załogantwa, prawdy w muzyce!!!!???? Do zobaczenia w NIEBIE # Bracie, dzięki za Wszystko!” – żegnał się Darek Malejonek.

Sam Brylewski nie czuł się dobrze na piedestale. W praskim mieszkaniu grywał na bębnach, próbował rzucić palenie, a in-

Do zobaczenia w Niebie

żas kontakt z nim był ograniczony” – odnotuje policja. Tomasz J. funkcjonariusze zastają pod drzwiami mieszkania Roberta Brylewskiego. Po pobiciu muzyka nadal dobijał się do lokalu, grożąc i próbując zmusić do otwarcia drzwi 16-letniego syna partnerki Brylewskiego, który został w mieszkaniu.

J. również jest zakrwawiony. „Mężczyzna zachowywał się agresywnie, był wulgarny, wyczuwalna była od niego woń alkoholu (późniejsze badania potwierdziły w jego krwi obecność ponad 1,3 promila alkoholu). Na obuwii i odzieży miał ślady krwi” – podaje Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga. Tomasz J. próbuje zwiessać policjantów, kłamie, że został napadnięty i pobity na podwórzu kamienicy.

Trudno doszukiwać się sensu w jakiegokolwiek podobnej zbrodni, ale późniejsze przesłuchania Tomasza J. pokazują, jak kompletnie niedorzeczne były działania pijanego 41-latk. Mężczyzna zaatakował muzyka, bo wydawało mu się, że w mieszkaniu przebywa jego matka. Co więcej – miało mu się wydawać, że dzieje jej się tam krzywda. Co oczywiście było bzdurą.

Pijackie majaki? Fatalna pomyłka? Dlaczego akurat to mieszkanie?

wrócił do szpitala. Zmarł w nim 3 czerwca. „Z wielkim żalem powiadamy, że dziś rano, po kilkutygodniowej śpiączce, spowodowanej ciężkim urazem zmarł Robert Brylewski. Nasz tata, partner, syn, dziadek, przyjaciel, dowódca naszych międzygalaktycznych i muzycznych podróży” – poinformowała rodzina.

Dowodcą międzygalaktycznych, muzycznych podróży był nie tylko dla najbliższych. – W latach 80. to był dla nas człowiek, który był symbolem tego, że się da robić w tym kraju sztukę i kulturę mimo tego, że ten kraj jest w niewoli – mówił o nim na antenie Polsat News muzyk Sidney Polak. Brylewski był wolny w zniewolonym kraju, tworzył, co chciał, jak chciał. Najpierw w grupie Kryzys, potem Brygada Kryzys i Armia. „Jak dziki, spętany pies / Z łańcuchów zerwałem się / Już nie wrócę do niewoli” – śpiewał w kolejnym swoim zespole, skracającej w stronę reggae grupie Izrael. – Nie zamieniłem punk rocka na reggae, powiedziałbym, że wzbogaciłem go o reggae, bo punk rocka nie zamienia się tak łatwo i nigdy nie miałem takiego zamiaru – mówił w jednym z wywiadów w Wirtualnej Polsce.

ternetowy hejt – o ile spełniał minimalne wymagania dobrej kultury – traktował jak rady, z których starał się czerpać. Nigdy nie przykładał dużej wagi do rzeczy materialnych, dlatego miał w swojej karierze okresy, kiedy brakowało wkładki do garnka. Pierwszą prawdziwą ramoneskę dostał w 2014 r. na planie filmu „Polskie gówno”, w którym zagrał. Ufał ludziom, wierzył im, nie oceniał ich, bo nie lubił szufladkowania. – Najbardziej przykre w tym wszystkim jest to, że Robert jako człowiek pełen głębokiego pacyfizmu i takiego humanizmu ludzkiego zginął w ten sposób – powiedział dla Polsat News muzyk Tomasz Organek.

DOŻYWCIE?

Prokuratura w wysłanym już do sądu akcie oskarżenia stawia Tomaszowi J. dwa zarzuty. Za pobicie, które – jak wskazali biegli – miało bezpośredni wpływ na śmierć muzyka, oraz kierowanie gróźb karalnych pod adresem syna partnerki Roberta Brylewskiego grozi mu dożywocie. W toku śledztwa przeprowadzono obserwację psychiatryczną Tomasza J. Biegli psychiatry orzekli, że nie działał w stanie niepoczytalności. Mężczyzna nie przyznaje się do winy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Gociek

„Roma” Alfonso Cuaróna to faworyt do zdobycia Oscara dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego. I przykład rywalizacji między gigantami internetowymi

Dom nr 21 przy Calle de Tepeji stoi i wygląda niemal tak jak w filmie. Ulica jest prawdziwa, tak jak i prawdziwa jest dzielnica Colonia Roma w Mexico City, od której tytuł wzięt najnowszy film Alfonso Cuaróna. Miłośnicy kina i miłośnicy Meksyku tworzą w Internecie całe galerie, pokazując, jak miejsca ważne dla bohaterów opowieści wyglądają dziś, a jak wyglądały na kadrach filmowych odtwarzających lata 1970 i 1971.

W wywiadach udzielanych po ubiegłorocznym festiwalu w Wenecji (tam „Roma” została nagrodzona Złotym Lwem) Cuarón opowiadał, że 90 proc. tego, co widzimy na ekranie, to jego wspomnienia z dzieciństwa. Obrazy, postacie, miejsca; tchnienie przeszłości przefiltrowane przez wrażliwość artysty. Nietypowa była praca nad filmem: sceny kręcono w takiej kolejności, w jakiej je widzimy, aktorzy dostawali kolejne sceny do czytania w miarę rozwoju akcji, zmieniali się i dojrzewali wraz z granymi przez siebie postaciami. Tam, gdzie ze względu na rytm i tempo filmu (to bardzo precyzyjnie skonstruowana historia, choć robić może wrażenie dzieła paradokumentalnego) trzeba było coś dodać, aktorzy improwizowali.

„Roma” jest filmem o życiu w klatkach: widzialnych i niewidzialnych. Pierwszą jest dom przy Calle de Tepeji: wąska brama, w którą ledwie mieszczą się samochody, obszerne piętrowe mieszkanie, w którym żyje sześciuosobowa rodzina, tyłne podwórko okolonie murami, które przypominają spacerniak, wreszcie służbówka, gdzie mieszkają dwie służące. Jedną z nich, Cleo (Yalitza Aparicio), jest główną bohaterką filmu. Gdy widzimy ją po raz pierwszy, zmywa podłogę na podjeździe. W tle ćwierkają ptaki w klatce. Niemal całe życie upływa Cleo wewnątrz domu: sprząta, gotuje, pierze, podaje do stołu. Na nogach od świtu do nocy. Raz w tygodniu ma wy-

chodne – spotkanie ze znajomymi i wizyta w kinie. Z tej klatki przynajmniej są widoki na celuloidowe cuda: „Wielką włóczęgę” z Louis de Funès albo „Uwięzieni w kosmosie” z Gregorym Peckiem.

KOGO STAĆ NA MARZENIA?

Pani domu, Sofia (Marina de Tavira), także żyje w klatce – jej więzieniem jest małżeństwo, które właśnie dobiega końca. Z początku filmu o tym nie wiemy, Cuarón świetnie myli tropy. Dokąd wyjeżdża pan domu, Antonio (Fernando Grediaga), który zachowuje się bardzo tajemniczo – chodzi o interesy czy może

tem do swojego świata. Dla zwykłych obywateli oznacza to tylko jedno – znów będą odbierać im ziemię.

I wreszcie klatka niewidzialna. „Nie pokochasz mnie, bo jestem biedna” – śpiewa Cleo wraz z rzewnym głosem z radia, rozwieszając pranie na dachu. Każdy chce być kochanym. Jednak kogo stać na marzenia?

„Roma” jest także filmem o kobietach, które nie mają innego wyjścia, jak tylko dawać sobie radę. Mężczyźni nie są godni zaufania: znikają (jak mąż Sofii, jak przyjaciel Cleo), objawiają się jako odpychający macho (jak znajomy, który będzie miał



Kobieta w

polityczną działalność? A jeśli o to ostatnie, to dlaczego ucieka? Klatką jest i Meksyk. Duszna atmosfera kraju rządzonego „od zawsze” przez tę samą partię robi się coraz bardziej nie do zniesienia. Strajkują studenci, protestują studenci, rząd szkoli paramilitarne bojówki. Gdy ulicą maszerują młodzi ludzie w mundurkach, natychmiast pojawia się niepokój: to tylko zabawa czy może zwiastun czegoś poważniejszego? Politycy (świeżo wybrany prezydent Luis Echeverría) objeżdżają kraj, wzywając do jedności i obiecując inwestycje. Potem z odrazą czmychają po deskach rozłożonych w błocie z powro-

chrapkę na Sofię podczas noworocznej zabawy) albo jako groźni przedstawiciele aparatu państwa (jak bojówkarze krwawo rozprawiający się z protestującą młodzieżą). Wiele kodów czytelnych jest tylko dla widza meksykańskiego – dwa lata przed chwilą, w której Cuarón rozpoczyna swoją opowieść, doszło do masakry w Tlatelolco (meksykańska bezpieka zaaresztowała niemal półtora tysiąca ludzi, setki zostały zabitych), a zamieszki, których świadkiem będzie Cleo pod koniec filmu, przeszły do historii Meksyku jako masakra w Boże Ciało (ponad 120 zabitych).

Szczególny czas w historii ojczyzny Cuaróna. „Dla młodych dzieci meksykańskiego cudu gospodarczego wolność miała inne znaczenie niż to, które jej nadawali ich rodzice – takie, jakiego nauczyło ich życie w mieście, rewolucja kubańska, kino europejskie, amerykańskie seriale telewizyjne, turystyka zagraniczna i protest songi. Dla nich przyszłość była czymś więcej niż tylko kwestią gospodarki” – pisał Erik Garcia Velasquez w „Nowej historii Meksyku”. Czas szczególny i niebezpieczny: „W okolicach 1970 r. istniało mniej więcej 15 grup, które działały w ukryciu i podejmowały

tylko w wodzie rozlewanej przez Cleo na zmywanej podłodze. W ostatniej ten sam symbol ukazany jest już inaczej.

ARCYDZIEŁO

Czarno-biały, nastrojowy, intymny i poruszający film Cuaróna to najpełniejsze dzieło w karierze reżysera, który balansuje umiejętnie na granicy kina artystycznego i popularnego. Kiedy robi „swoje” filmy, jak słynny „I twoją matkę też” („Y tu mamá también”, który przyniósł mu międzynarodową sławę w 2001 r.), są one w pełni zrozumiałe dla szerszej widowni, nie ma mowy o wyniosłym festiwalowym artyzmie. Gdy przyjmuje zlecenia z Hollywood, pozostawia własne piętno na wysokobudżetowych produkcjach. Wyreżyserowany przez niego „Harry Potter i więzień Azkabanu” (2004) to najlepszy film serii o małym czarodzieju. Jego wersja „Małej księżniczki” (1995) według klasycznej książki Frances Hodgson Burnett była olśniewająca. Ekranizację powieści P.D. James „Ludzkie dzieci” (2006) uważa się za jeden z najlepszych filmów science fiction ostatnich dekad, a nagrodzona siedmioma Oscarami „Grawitacja” (2013) nie tylko jest w tym gronie wymieniana, lecz także zarobiła ponad 700 mln dol. Cuarón pokazuje więc, że można być jednocześnie artystą i znakomitym rzemieślnikiem.

„Rome” już podczas festiwalu w Wenecji obwołano arcydziełem, słowo to zresztą pojawia się w wielu recenzjach. Zgadzać się, że mamy do czynienia z filmem wybitnym, pozwolę sobie jednak nie wpaść w tak wielki zachwyt. Mam z nią kłopot podobny jak z „Zimną wojną” Pawła Pawlikowskiego, który nakręcił niemal idealną podróbkę kina z innej epoki. Przy tej okazji wielu uznało, że umiejętność kopiowania mistrzów nadaje natychmiast dziełu odpowiednią wagę (Cuarón zresztą w napisach końcowych dziękuje m.in. Pawlikowskiemu). Zachwycony jestem „Roma” w podobny sposób, jak bywałem kiedyś niektórymi porywającymi filmami Almodóvara, jego emocjonalnymi szantażami przykuwającymi nas do ekranu. Pamiętam jednocześnie, jak ów zachwyt wędł po latach, bo z dystansu widać było, kiedy byliśmy jedynie bohaterami emocjonalnej manipulacji.

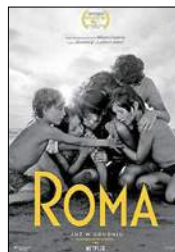
„Rome” uważam jednak za film lepszy od „Zimnej wojny”, bo jest realizacyjnym majstersztykiem, bo nie jest to kino nadmiernie zakochane w sobie i napuszone nachalnym artyzmem. Cudowna jest warstwa wizualna „Romy”, dopiero kiedy ją obejrzyicie, zrozumiecie, że nie jest to próba wskrzeszenia dawnego kina czarno-białego, lecz uwspółcześnienie używanego niegdyś języka. I słusznie podkreśla Cuarón, że jest to „współczesny film w czerni i bieli”, że celem nie była tu nostalgiczna wycieczka w przeszłość kinowego rzemiosła, lecz wykorzystanie możliwości, które daje współczesna technologia.

AMAZON KONTRA NETFLIX

À propos współczesnych technologii: wiele wskazuje na to, że walka o tytuł najlepszego filmu nieanglojęzycznego rozegra się w tym roku podczas Oscarów właśnie między „Roma” a „Zimną wojną”. Ten polsko-meksykański pojedynek w czerni i bieli jest zarazem rywalizacją internetowych gigantów: Netflixu i Amazona. Ten pierwszy wyprodukował i rozpowszechnił w swoim internetowym serwisie film „Roma”, ten drugi zaangażował się mocno w amerykańską i oscarową promocję „Zimnej wojny”.

Internetowi giganci coraz mocniej zaznaczają swą obecność w gronie produkcji nominowanych do Oscarów. Na przykład wyprodukowany przez Amazon „Manchester by the Sea” zdobył dwa lata temu dwa Oscary. Oryginalna produkcja Netflixu, którą był „Mudbound”, rok temu otrzymała cztery nominacje, a poświęcony dopingowi i Rosji „Ikar” dostał Oscara dla najlepszego filmu dokumentalnego.

Kibicując Polakowi, stawiam jednak na „Rome”, która zdaje mi się dziełem pełniejszym, bardziej wyrazistym i bardziej samodzielny od „Zimnej wojny”, zbyt zadłużonej u kinowych mistrzów i poprzedników Pawlikowskiego. Jednak już sama możliwość emocjonowania się takim wyborem to czysta przyjemność. Ogłoszenie oscarowych nominacji 22 stycznia – za dwa tygodnie.



★★★★★

REŻ. ALFONSO
CUARÓN
„ROMA”
MEKSYK/USA
2018

wyst. Yalitza
Aparicio,
Marina de Tavora,
Diego Cortina Autrey

klatce

wały walkę zbrojną, uważając ją za drogę do zmian społecznych lub katalizator takich zmian”.

Nie jest to jednak opowieść polityczna, choć polityka ingeruje mocno w świat bohaterów „Romy”. Alfonso Cuarón, kreśląc sentymentalny portret początku lat 70. w Mexico City, wie, gdzie postacie z filmu ścieżką poznania – droga wyjścia z klatki jest tylko jedna: by się wyzwolić, najpierw trzeba zrozumieć, że jest się uwięzionym, a potem pojąć, że klucz do zmiany leży tylko w naszych rękach. W pierwszej scenie filmu lecący wysoko na niebie samolot odbija się



„Wieża Babel”, 1563 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Śnieg na Betlejem



Monika Małkowska
z Wiednia

W 450. rocznicę śmierci Pietera Bruegla (Starszego) wiedeńskie Kunsthistorisches Museum przygotowało prawdziwy spektakl zainscenizowany wokół jego dokonań. Bezprecedensowe przedsięwzięcie oszałamia starannością opracowania

Jedna taka wystawa w życiu – głosi slogan popularyzujący monografię w wiedeńskim Kunsthistorisches Museum. Przesada? Nie, bo do obecnych czasów przetrwało niewiele ponad 40 obrazów Pietera Bruegla (starszego). Muzeum w Wiedniu jest dumnym posiadaczem tuzina największych i najważniejszych. Zgromadzenie w jednym miejscu reszty dorobku mistrza nawet w tak szacownej instytucji jak KHM

wymagało wieloletnich zabiegów oraz rządowych gwarancji.

Większość wypożyczonych eksponatów nigdy nie opuszczała swych stałych siedzib, czemu trudno się dziwić: każde dzieło stworzone ręką niderlandzkiego geniusza traktowane jest jak bezcenny skarb.

Od cen właśnie zaczyna się wiedeński show. Za ile sprzedawał prace za życia; w jakim okresie te kwoty stanęły w miej-

scu; kiedy ewaluacja wyniosła dokonania Bruegla na wyżyny... nieprzeliczalne.

W 1566 r. 16 obrazów artysty zwanego Chłopskim (jeszcze za jego życia) wyceniono na 16 tys. guldenów. Majątek! Oraz dowód wyjątkowej pozycji Bruegla wśród ówczesnych malarzy. Niecałe trzy dekady później cykl „Pór roku” (wtedy pięć paneli) stał się własnością Habsburgów. W 1660 r. David Teniers (młodszy), nadworny malarz arcyksięcia Leopolda Wilhelma, sporządził własnoręcznie zilustrowany spis kolekcji swego chlebobdawcy. Wydany w Brukseli „Theatrum Pictorium” to pierwszy na świecie katalog zbiorów sztuki. Bruegel w nim figuruje.

Jego sława przygasła w XVIII stuleciu – nie przystawał do krotocwilnego, rozerotyzowanego rokoka. Jednak w połowie XIX w. gwiazda niderlandzkiego malarza-intelektualisty znów rozblęśla.

W następnym stuleciu uznany został za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli renesansu, stawiany w równym rzędzie z Leonardem, Michałem Aniołem, Rafaeliem i Tycjanem.

Pojawienie się na rynku aukcyjnym choćby najmniejszego rysunku Bruegla staje się sensacją. W 2015 r. w Christie's malutki (niecałe 20 cm wysokości), naszkicowany brązowym tuszem pejzaż sprzedano za 1 mln 82,5 tys. funtów.

REKA MISTRZA

On sam nie miał wysokiego mniemania o „znawcach”. Daje temu wyraz za pośrednictwem autoportretu (1565 lub 1566 r.). Na tym rysunku artyście towarzyszy anonimowy dziś nabywca. Zastał mistrza przy pracy; gapi się na powstający obraz w niemym zachwycie i dosłownie opada mu szczeka.

Tymczasem twarz malarza zdaje się wyrażać poirytowanie obecnością intruza. Skupiony na malowidle, nawet nie odwraca się do przybysza. Na taką dezynwolturę mógł sobie pozwolić tylko ktoś przekonany o swej wartości. I o tym, że na każde jego dzieło znajdzie się chętny...

Ten autoportret był wielce pomocny dla badaczy warsztatowych tajemnic Bruegla.

W aneksie do wiedeńskiej wystawy pokazano je w atrakcyjny sposób. Widz może poczuć się tak, jakby asystował mistrzowi podczas kolejnych faz pracy. Śledzimy powstawanie pierwszych zarysów kompozycji robionych węglem na białej zaprawie pokrywającej drewniane panele (Bruegel nie lubił płócien, coraz popularniejszych w renesansie, upierał się przy deskach, pozwalających uzyskać idealnie gładkie podłoże).

A jak osiągał charakterystyczne dla siebie efekty? Tego można się dowiedzieć, oglądając... gipsowe odlewy ręki mistrza. Jasne, nie jego samego, kogoś o podobnym kształcie dłoni. Te gipsowe palce trzymają pędzle lub inne narzędzia w takim układzie, jak wedle badaczy czynił to bohater monografii.

MARKA BRUEGEL

Był po czterdziestce, kiedy doczekał się synów – Pietera II nazywanego Młodszym albo Piekelnym oraz Jana o przydomku Aksamitny. Osierocił ich, gdy starszy liczył lat pięć, a młodszy nie miał roku. Żaden nie przejawiał talentu ojca, jednak „jechali” na jego popularności,

zwłaszcza Pieter Młodszy, autor licznych replik malowideł Starszego. Nie on jeden kopiował jego kompozycje. Podrabiano go przez cały następny wiek. Pojawiło się też mnóstwo sztychów (ówczesne reprodukcje) wykonanych wedle obrazów Pietera Chłopskiego, co oczywiście sprzyjało rozpropagowaniu jego dokonań. Bruegel stał się pokupną marką. I jest po dziś.

Ile obrazów stworzył? Do naszych czasów przetrwało mniej niż pół setki. Może było więcej, podobno przed śmier-

Wszystko to odzwierciedla się w malarstwie Bruegla, choć nie wprost – ukrywał swoje obserwacje w alegoriach, dramaty łagodził czarnym humorem.

Początkowo zainspirowany dokonaniami Hieronima Boscha, swego rodaka zmarłego w 1516 r., przedstawiał niezborną, egoistyczną i głupotą bliźnich, trochę im współczując, a trochę z nich drwiąc. Na jego wczesnych przedstawieniach panuje chaos; na całej powierzchni kłębią się niezgrabne, grubawe figurki.



„Zabawy dziecięce”, 1560 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

cią kazał spalić kilka „niepoprawnych politycznie” przedstawień.

Mimo ponadczasowej sławy data jego urodzin pozostaje enigmą. Przyjmuje się, że w chwili śmierci miał 44 lata (według przekazu z epoki zmarł „w pełni wieku średniego”). Również nie jest pewne, gdzie przyszedł na świat: w Broghel w rejonie holenderskiej Bredy czy we wsi Brögel w belgijskiej prowincji Limburg.

Wiadomo, że terminował w warsztacie antwerpskiego mistrza Pietera Coecke, a w 1563 r. poślubił jego córkę Mayeken, młodszą o dekadę o 15 lat. Po ślubie przeniósł się z Antwerpii do Brukseli, gdzie sześć lat później dokonał żywota.

Jego życie przypadło na szalony czas wojen religijnych. Bieda, choroby, rozboje, zabójstwa, niepewność jutra, strach – to wtedy był chleb powszedni nie tylko w Niderlandach, także w innych krajach Europy.

Takie szmaciane kukiełki. Jakże daleko im do estetycznych ideałów renesansu! Tacy właśnie byli ludzie w odbiorze artysty – pospolicie fizycznie i skarlali moralnie.

W „Zabawach dziecięcych”, „Przysłowiach”, „Walce karnawału z postem” czy w „Wieży Babel” Bruegel ujawnia swoje niewesołe konstatacje na temat człowieczego gatunku. Wzniosłe objawienia nikną w gęstwie miernoty – jak wzlot Ikara, niezauważony przez zapracowany lud. Nikt też nie zwraca uwagi na Chrystusa niosącego krzyż na Golgotę; nikogo nie obchodzi popełniający samobójstwo Saul ani upadek z konia Szawła, który dla niego staje się objawieniem.

Bruegel zadaje pytanie: Czy cokolwiek jest w stanie podnieść morale, skoro niskie instynkty dominują nawet w obliczu śmierci? W tym szaleństwie największe szanse na przetrwanie mają... obłąkani.



„Przysłowia niderlandzkie”, 1559 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



„Chłopskie wesele”, 1568 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ I pokazuje sceny niemal komiczne: zastygłe szkielety manifestujących „Triumf śmierci”; babochłopa Griet („Szaloną Małgorzatę”) gnającą przez pobojuwisko z trofeami – mieczem, hełmem i pełnym trzosem. Śmieszne i straszne.

Po 1563 r., po przeprowadzce do Brukseli, w twórczości malarza zdają się pojawiać optymistyczne nuty. Kompozycje stają się spokojniejsze, postaci poruszają się we wspólnym rytmie. Tematem stają się rubaszne przyjemności wiejskiego ludu – jak Rabelais przełożony na obrazy. Kolejna ułuda. Bo owszem,

malarz pozwala ludzikom potać się, ale... pod szubienicą.

OKO MISTRZA

Kiedy ogląda się niemal cały dorobek Bruegla zebrany w jednym miejscu – łącznie z rysunkami, też arcydzielnymi – wcale nie dziwi, że twórca zostawił po sobie tak niewiele prac. Żeby uzyskać takie jak on efekty, trzeba było – poza genialną wyobraźnią – opanować technikę malarską w stopniu graniczącym z cudem.

Już za życia mówiono o nim „najdoskonalszy malarz swego wieku”; po-

wiadano, że w dziełach potrafi zawrzeć „więcej myśli niż malarzkiego rzemiosła”. Nazywano go też malarzem chłopów i śmiesznym Piotrem z racji jego upodobań – bo niekiedy przebrany za chłopą mieszał się z rozbawionym tłumem na weselach, jarmarkach, popijawach w karczmach i obserwował swobodne zachowania gawiedzi.

Niekiedy mówimy o jakimś artyście, że wyprzedzał swój czas – jednak przypadek Bruegla jest inny. On przystawał do okresu, w którym przyszło mu żyć. Obok scen alegorycznych trafiają się w jego dorobku swoiste malowane reportaże. Bo czymże jest „Wesele chłopskie” czy „Taniec chłopski”, jak nie fenomenalnym oddaniem sytuacji, nastroju, typów ludzkich?

Nie tylko z powodu tematyki różnił się od włoskich geniuszy renesansu. Nie podejmował tematyki „wzniosłej”, nie moralizował, podsuwając światlane przykłady z przeszłości, nie poszukiwał idealnych proporcji ani harmonii.

Piękno odnajdował w krajobrazie. Mistrzowsko oddawał naturę, tworzył iluzję trójwymiarowości, umiał wywołać wrażenie „gęstości” powietrza, prowadzić wzrok widza za linię horyzontu, sugerując nieskończoność świata. W tej doskonałości umieszczał dalekie od doskonałości ludzkie sylwety. Nie wypychał najważniejszych postaci na plan pierwszy, chował je w tłumie statystów. Uzyskiwał dający do myślenia kontrast: skomplikowany, cudowny wszechświat, w którym człowiek jest mrówką, trybikiem. Ci zaś, którzy odbiegają od tłuszczy, są przez nią zagłuszani, nawet niedostrzegani.

Jeszcze o jednej innowacji: Bruegel pierwszy namalował pokryty śniegiem krajobraz, i to kilkakrotnie. Ten najświeższy to „Myśliwi wracający z polowania” z cyklu „Pór roku”. Ale jest jeszcze „Zimowy pejzaż z pułapką na ptaki” (najczęściej kopiowany przez innych artystów), a także „Spis ludności w Betlejem” i „Rzeź niewiniątek” – sceny w samym pępku ośnieżonych flamandzkich wiosek. I wreszcie zachwycający „Pokłon Trzech Króli”, który to pokłon mędrcy oddają Nowo Narodzonemu... podczas zadymki. Pierwszy obraz, na którym śnieg pada dużymi, białymi paćkami. Jak prawdziwy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Bruegel – Kunsthistorisches Museum (Wiedeń), do 13 stycznia 2019 r.

Coś, co nie jest nazwane, nie istnieje



Krzysztof Masłoń

Wiesław Myśliwski, najwybitniejszy polski prozaik, ma swoje przyzwyczajenia, pisze codziennie, maksymalnie jedną stronę. Do pisania używa ołówka, a właściwie – jak żartuje – gumki, bo najwięcej ściera. A skreślonego zdania nie znosi

Tak powstawało siedem jego powieści, od „Nagiego sadu”, wydanego w 1967 r., ponad pół wieku temu, do niedawno opublikowanego „Ucha igielnego”. W marcu tego roku Wiesław Myśliwski skończył 86 lat.

Jest dwukrotnym laureatem nagrody Nike. Po raz pierwszy otrzymał ją za „Widnokrąg” w 1997 r., gdy ta nagroda startowała, by błyskawicznie stać się najważniejszym w Polsce wyróżnieniem literackim. Sukces powtórzył równo po 10 latach, kiedy ranga Nike zaczynała niebezpiecznie maleć, choć nie miało to najmniejszego związku z jakością pisarstwa Myśliwskiego, którego „Traktat o łuskaniu fasoli” został przyjęty z całą należną mu atencją. Niemniej nie brakowało i nie brakuje czytelników, dla których najważniejszą powieścią tego autora wciąż pozostaje „Kamień na kamieniu”, PRL-owski jeszcze, z 1984 r. Do którego w jakimś stopniu przystaje etykieta, którą naznaczono dawno temu twórczość Wiesława Myśliwskiego (znaczącą także w dramacie, że przypomnę tu „Klucznika”, „Złodzieja” czy „Drzewo”) jako reprezentatywną dla wiejskiego nurtu literatury polskiej.

Tego, z jakich powodów tak się stało, nie wiedzą dziś już najstarsi i najbardziej skrupulatni czytelnicy jego książek. Jeśli ktokolwiek posługuje się jeszcze owym chłopskim kluczem do rozwikłania tajem-

nic tej prozy, to nie wróżę mu sukcesów. Może zresztą w tamtej dawnej Polsce i w dawnym świecie, w innym ustroju i systemie politycznym, z tą przypisaną mu trochę prawem kaduka chłopskością było Myśliwskiemu, po prostu, wygodnie. Okazać się miało, że mu pasuje, że mu z nią do twarzy.

OPERACJA NA WŁASNEJ PAMIĘCI

Naprawdę jego pisarstwo wyszło jedynie ze źródeł chłopskiego doświadczenia, by pójść swoją indywidualną drogą. Podążając nią, pisać będzie autor „Ucha igielnego” o człowieku w świecie historycznym, ale nie o historii. Interesować go będą

Powieści Wiesława Myśliwskiego dowodzą też niezniszczalności tego gatunku literackiego, tyle już razy skazywanego na zagładę

zmiany zachodzące w ludzkiej mentalności pod wpływem np. prób skolektywizowania rolnictwa czy znacjonalizowania własności prywatnej, ale nie kolektywizacja czy nacjonalizacja jako taka. Dokona wiwisekcji ludzkiej egzystencji, opowiadając

o ludzkim losie, przy czym nie będzie to los żadnej wyjątkowej jednostki. Przeciwnie – ciekawi go zwyczajny, na pozór niczym niewyróżniający się człowiek. Jednak właśnie – na pozór, bo trudno byłoby o większy błąd niż nazwanie bohatera powieści Myśliwskiego everymanem. Każda z tych postaci, i bodaj najbardziej znany Szymek Pietruszka z „Kamienia na kamieniu”, i podwójny, bo młody oraz stary zarazem, bohater „Ucha igielnego” przywiązani są do konkretnej biografii, żyją w określonym pejzażu, mają takie, a nie inne doświadczenia. Chociaż... na dobrą sprawę nie wiemy, kiedy dokładnie dzieje się akcja „Ucha igielnego”, a jeśli ktoś jest mało rozzagarnięty, to i nie domyśli się gdzie.

Oczywiście zagadka nie jest trudna do rozwikłania. Tytułowe „Ucho igielne” to inna nazwa jedynej zachowanej furty w murach obronnych Sandomierza. Miasta dzieciństwa i młodości autora, który tam uczył się w gimnazjum i liceum, zdał maturę w roku 1951, a później wracał tam, bo to było jego miejsce. Tak jak jego jest historia opowiedziana w powieści, czy raczej historii, bo jest ich więcej niż jedna, co jednak nie znaczy, by miała to być książka autobiograficzna. Przeciwnie, Myśliwski kategorycznie sprzeciwia się utożsamianiu narratorów swoich powieści z jego osobą. Autobiografia, jego zdaniem, pomagać ma uruchamiać kreację, a nie pamięć. O tej ostatniej zaś możemy tylko medytować, tak jak o ludzkim losie. Jest bowiem „Ucho igielne” nieprostą opowieścią nie o czym innym, a o losie człowieczym. Jeśli zaś chodzi o autobiografię, to ta – zdaniem Myśliwskiego – bardziej szkodzi literaturze, niż pomaga. „Dopóki się pisarz z niej nie wyzwoli – stwierdzał niejednokrotnie – z tego niewolniczo-sentymentalnego stosunku, jaki każdy ma do swojego życia, dopóty nie jest w stanie nic z tego życia



FOT. WŁODZIMIERZ WASYLIEWICZ/EST NEWS

■ wycisnąć. Żeby własne życie mogło być materia literacką, z której można układać dowolne obrazy, tworzyć dowolne kreacje, trzeba najpierw zerwać nić łączącą nas z nią. Dosyć okrutny to zabieg, ale – nieco ironicznie konstatował pisarz – literatura jest w ogóle okrutnym zajęciem z paru powodów. W tym i z tego – operacji na własnym życiu i własnej pamięci.

Wiesław Myśliwski, zapytany wprost, o czym jest „Ucho...”, odpowiedział, że nie wie. A jeśli już musiałyby wskazać jakiś trop, to powiedziałyby, że o wszystkim. Nie podejrzewam, by była to literacka kokieteria. Zapewne jest ta powieść o spotkaniu starego z młodym, o nieuchronnej konfrontacji między tym, co było, a tym, co jest i będzie. „Nie jest winą starości – czytamy w »Uchu igielnym« – że niemodna, podobnie jak o młodości, że modna. Może kryje się za tym jakiś pomysł na obecny świat. [...] dzisiaj mówi się, że starzy opóźniają marsz świata do przodu. Tylko że gdy się zastanowić, na starość się dopiero wie, że marsz świata do przodu jest złudzeniem młodości. To tylko kula ziemską obraca się pod naszymi stopami, a my drepczemy w miejscu, udając marsz. Bo cóż by znaczyło do przodu, jeśli nie do śmierci”.

HISTORIA – NADUŻYTE UOGÓLNIENIE

Doświadczenie podpowiada, że zmiany, które zachodzą wokół nas, wcale nie zmie-

niają nas samych. Dawnych miejsc może i lepiej nie odwiedzać, „bo to nie są już te same miejsca”, czego boleśnie doświadcza bohater „Ucha igielnego”, przyjeżdżając do miasta swej młodości, gdzie wprawdzie jest honorowany, ale honory te sprawiają mu więcej bólu niż radości.

A niektóre wspomnienia są nieusuwalne. Takie wyjątkowe znaczenie dla bohatera Myśliwskiego mają obrazy wojny, okupacji, zagłady Żydów. Z pewnością w dzieciństwie, gdy się coś wryje w pamięć, nigdy już tej pamięci nie opuści. Jak opowiedziana w „Uchu igielnym” zapomniana likwidacja żydowskiego getta.

Tym, co jest najistotniejsze, co decyduje o ocenie tego, jak przeżyliśmy życie, jest miłość. Z nią jednak bądźmy ostrożni i nie nadużywajmy wielkich słów. W „Uchu igielnym” zakochany chłopak słyszy od dziewczyny: „Mówią, że gdy kocha się kogoś, kocha się cały świat. Ale ja bym nie mogła pokochać świata”. A pisarz puentuje to zdanie refleksją: „Wiem, że [...] nie musimy świata kochać, wystarczy, że tak trudno nam się z nim rozstawać”.

„Ucho igielne” całe tkwi w historii, a w jakimś sensie i w polityce, ale jest to niemal niezauważalne. Pisarz powiedział mi kiedyś w wywiadzie: „Człowiek, naturalnie, nie jest w stanie uwolnić się od determinantów politycznych, ale w swoich książkach wykorzystuję politykę

wyłącznie do pełniejszego przedstawienia osobistej sytuacji bohatera. I na politykę, i na historię patrzę – co jest z mojej strony premedytacją – wyłącznie przez pryzmat losu jednostki, a nie tworząc ich jakiś ogólny obraz. Bo, na dobrą sprawę, polityka i historia jako takie są mistyfikacją. Doświadczenie historyczne, doświadczenie polityczne jest konkretne tylko jako doświadczenie jednostkowe. W »Traktacie...« znajduje się fragment, w którym bohater mówi, że prawdziwą historią, jego zdaniem, byłaby taka historia, która opisałaby historię wszystkich miliardów ludzi kiedykolwiek żyjących na tym bożym świecie. Bo taka historia, z jaką mamy do czynienia, załatwiająca w sposób ogólny wszystkie nieszczęścia, klęski i wojny, nie liczy się z rachunkami jednostek, a to one płacą za to wszystko najwyższą cenę. W tym sensie i historia, i polityka jest nadużytym uogólnieniem”. W „Uchu igielnym” niekiedy dopiero z prowadzonej rozmowy możemy wywnioskować, kto jest kim i jakie racje przedstawia. W końcu kto mógł w taki sposób interpretować rzeczywistość? – „Za wolno się to wszystko zmienia. Konieczne jest przyspieszenie, gdyż historia gotowa nas minąć i zostawić daleko w tyle za światem”.

Podstawowym elementem kreacji pozostaje dla Myśliwskiego szczegół; bez niego uprawia się mistyfikację, nie literaturę. Z „Ucha igielnego” dowiemy

się więc o funkcjonowaniu suszarni w zakładach przetwórstwa owocowego, o pisaniu mów pogrzebowych, pracy asystenta kustosa w muzeum, o spaniu we trzech w jednym łóżku – dla oszczędności – w czasie studiów. A propos tych ostatnich to komisja w trakcie egzaminu na nie formułowała takie np. pytania:

– Wybieracie się na etnografię, to powiedzcie nam, co to jest lud.

– My wszyscy – padała odpowiedź. I na tym kończył się egzamin.

– Jeżeli jestem pewny elementarnych szczegółów sytuacji – tłumaczył mi pisarz – to mam także poczucie o wiele większej możliwości kreacji. Jeśli mi czegoś w oglądzie tej sytuacji brakuje, to moja wyobraźnia się kurczy. Zawsze mówię, że im bardziej sztuka awangardowa, tym bardziej musi wyrastać ze znajomości najbardziej elementarnych rzeczy w życiu. Tak jak miłości pan nie opisze, nie będąc nigdy zakochanym.

OPOWIADAMY SIEBIE DRUGIEMU CZŁOWIEKOWI

„Kamień na kamieniu” obwołany został arcydziełem jeszcze przed publikacją, „Widnokreśliem” i „Traktatem o łuskaniu fasoli” Myśliwski ugruntował swą wyjątkową pozycję w literaturze polskiej. Ścisłej – na jej olimpie.

Jego pisarstwo jakościowo składa się na jeden z najważniejszych rozdziałów literatury polskiej po 1945 r.

Problematyka jego książek była i jest niezwykle bogata, skomplikowana, wielopłaszczyznowa. „Nagi sad” nie był przecież jedynie historią miłości rodzicielskiej i synowskiej ani też relacją o przemianach dokonujących się na wsi; „Pałac” to nie tylko konflikt tożsamości i rzeczywistości – chłopskiej i dworskiej, pałacowej właśnie; wreszcie „Kamień na kamieniu” nie był li tylko wioskową epopeją ani tym bardziej kroniką życia Szymona Pietruszki, któremu na stare lata zachciało się wybudować sobie grób. Cała twórczość Wiesława Myśliwskiego to wielka opowieść o losie ludzkim i zmaganiu się człowieka z cywilizacją. To świetna proza, ale też filozofia, też socjologia, na pewno antropologia. I, co niebagatelne, poezja, bo język tego pisarza jest wyjątkowy, tak jak wyjątkowe jest traktowanie przez niego słowa.

Bohater „Ucha...” powiada: „Coś, co nie jest nazwane, nie istnieje. Nazwanie jest poznaniem. Potrzebujemy słów, jeśli chcemy wiedzieć. Prócz słów, jakie

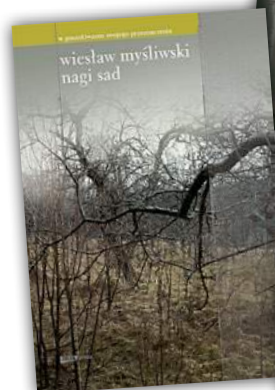
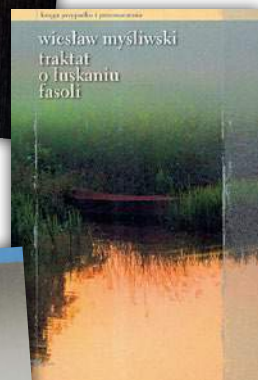
mamy inne możliwości, żeby wejrzeć w siebie, zrozumieć innych, wyobrazić sobie świat. Weźmy nadzieję, czym jest, jeśli nie słowami? A sumienie, czy nie udręka zadawaną przez słowa? A nasze myśli bez słów, czy w ogóle są możliwe? A nasze uczucia pozbawione słów? Nasze sny bezsłowne?”.

Powieści Wiesława Myśliwskiego dowodzą też niezniszczalności tego gatunku literackiego, tyle już razy skazywanego na zagładę. Po napisaniu „Widnokreśli” autor powiedział mi w wywiadzie: „Powieść wyrasta z potrzeby opowiedzenia siebie drugiemu człowiekowi. Ta potrzeba jest naszą naturą. Po to człowiek wynalazł język. Każdy chce opowiedzieć siebie w takiej lub innej formie. My przecież chętniej opowiadamy, niż słuchamy. Proszę zauważyć, jak się ludzie zachowują na przykład w towarzystwie. Niby słuchamy, co ktoś tam mówi, a po prostu czatujemy na osobność, żeby samemu mówić. Powieść jest najdobitniejszym świadectwem tego, że człowiek jest istotą zbiorową”.

Czy „Uchu igielnemu” „grozi” Nike po raz trzeci? Dzisiaj ta nagroda w małej części nawet nie znaczy tyle co 20 lat temu, co nie znaczy, że gdyby do czegoś podobnego doszło, byłoby to niezwykle znaczące wydarzenie. I to dla wszystkich uczestników polskiego życia literackiego. Bo tak się składa, że i ci, którzy zaczytywali się w „Nagim sadzie” czy „Pałacu”, jak i ci, którzy nie kryli tego, że proza ta ich nudzi, i nie czekali z tą oceną do poprzedniej powieści Myśliwskiego „Ostatniego rozdania”, może rzeczywiście nazbyt wyrażnie powielającej pewne maniere kompozycyjne i językowe znane dobrze odbiorcom jego książek, zgodni są co jednego: w literaturze polskiej pozostaje klasą dla siebie.

„Ucho igielne” potwierdza tę diagnozę. Ciekawe jednak, że nie czuje się w tej powieści autorskiego przekonania, że mamy tu oto sumę jego refleksji nad światem, że w ten właśnie sposób daje o sobie znać pisarska smuga cienia. Otóż nic podobnego. Wiesław Myśliwski po raz kolejny opowiedział, po prostu, o ludzkich losach, bo to one, i tylko one, kształtują realny obraz świata. Jeśli zaś chodzi o opowiedziane w „Uchu...” historie, to odwołać się chciałbym raz jeszcze do narratora „Ostatniego rozdania”, który był zdania, że „historia zawsze dzieje się na naszych oczach, tylko nie zawsze te oczy chciałyby być nasze”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIEŚLAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Prezecie, jesteśmy z tobą!



★★★★★

REŻ. PAOLO
SORRENTINO
„ONI” („LORO”)
WŁOCHY/
FRANCJA 2018

wyst. Toni Servillo,
Elena Sofia
Ricci, Riccardo
Scarmaccio

Lenin błysnął stwierdzeniem, że państwem mogłaby rządzić kucharka. Włosi aż tak ryzykować nie chcieli, szefem rządu zrobili telewizyjnego magnata. Elity zatrzęsły się ze zgrozy. Dzisiaj Berlusconi jest niemal politycznym trupem, ale jego niegdyś przewagi wciąż leżą zawistnikom na wątrobie. Trudno im przyznać, że Il Cavaliere wiedział o ludziach coś, czego oni wciąż nie wiedzą. Wolą wierzyć, że wszystkiemu winni są wyborcy, reprezentujący poziom gimnazy. To przez nich w Palazzo Chigi zamieszkał prostak (ewentualnie patologiczny kłamczuch udający prostaka, co na jedno wychodzi).

Teraz do chóru zoilów dołączył Paolo Sorrentino. Zabezpieczywszy się od strony prawnej oświadczeniem, że jego film jest „czystą

artystyczną interpretacją”, przejechał się po trzykrotnym premierze jak po tyś kobyle. W „Onych” Berlusconi władzę chwilowo stracił, ale nadal jest najbogatszym Włochem i do jego rezydencji wałęsają się tłumy petentów. Krytyka spływa po nim jak woda po kaczce. Z przylepionym do twarzy uśmiechem klauna śpiewa rzewne piosenki. Otaczają go szemrane postacie oraz klakierzy zapewniający, że nawet po siedemdziesiątce zachował „urok górskiego potoku”.

Skonstruowany przez reżysera „Wielkiego piękna” (anty)bohater trochę przypomina Nikodema Dyumę, żeruje na cudzych pomysłach. Jednego talentu nawet zaprzysięgli wrogowie nie mogą mu jednak odmówić: jest bezkonkurencyjnym sprzedawcą marzeń. Czarowanie rodaków idzie mu

lepiej niż małżonki, która kryzys wieku średniego zamierza pokonać, udając się w pieszą pielgrzymkę do Kambodży. Samotność jednak Berlusconiemu nie grozi. „Prezecie, jesteśmy z tobą!” – zapewnia go legion dzierlatek zaproszonych na bunga-bunga.

Ani to farsa, ani dramat. O tym, że Sorrentino potrafi kręcić orgiastyczne teledyski, wiemy już skądinąd. Dziwne, że tak doświadczony reżyser nie radzi sobie z selekcją nakręconego materiału. Mnóstwo uwagi poświęca prowincjonalnemu „łowcy talentów”, czyli sutenerowi, któremu marzy się kariera w stolicy. Sergio chce być jak Silvio, lecz gdy już uda mu się zbliżyć do idola, nagle karleje, stając się postacią trzecioplanową. Na placu boju pozostaje samotny premier, lecz twórca „Onych” jest bezradny wobec fenomenu self-made mana z Mediolanu. Widz sam musi zdecydować, który Berlusconi jest prawdziwy. Żalony stary satyr, który wdrapał się na szczyt jedynie po to, by zaspokoić własną próżność, czy szczyt polityk, który chciał coś zrobić dla rodaków, ale – tak jak wielu przed nim i po nim – przeliczył się z siłami. Nie każdym wulkanem da się sterować przy użyciu telewizyjnego pilota. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „RALPH DEMOLKA W INTERNECIE”

Ciąg dalszy jednego z wielkich animowanych hitów ostatnich lat. W roku 2012 pierwsza opowieść o dobrodusznym siłaczku ze świata gier, który ma dość roli czarnego charakteru, zarobiła niemal pół miliarda dolarów i podbiła serca widzów oraz krytyków. W części drugiej bohaterowie przedostają się do

światowej sieci komputerowej, gdzie czekają nieskończone możliwości – także kręcenia kolejnych sekweli. ©©

Piotr Gociek

• „Ralph Demolka w Internecie” („Ralph Breaks the Internet: Wreck-It Ralph 2”), reż. Rich Moore, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Vice”, reż. Adam McKay, USA 2018
- „Underdog”, reż. Maciej Kawulski, Polska 2019
- „Powrót Bena” („Ben Is Back”), reż. Peter Hedges, USA 2018
- „Escape Room”, reż. Adam Robitel, USA 2019

Egzamin z ojcostwa

To może spotkać każdego. 18-letni syn stał się nocnym markiem, na studia iść nie chce, do roboty się nie kwapi, zaś na uwagi reaguje opryskliwym: „Daj mi spokój!”. Normalka, młodzi tak mają, trzeba zacisnąć zęby i czekać, aż wydorosłe i mu przejdzie. A może to jednak dzwonek alarmowy? Ekrani- zacja wspomnień znanego amerykańskiego dziennikarza jest niczym innym jak zapisem deziluzji. David nie potrafi pojąć, dlaczego z cherubinka przytulacza wyrósł panicz ze skłonnościami do depresji i nałogów.

Junior chciałby się usamodziel- nić, ale brak mu pewności siebie. Bierze narkotyki, by „łatwiej znieść głupią codzienność”.

Ojciec odkrywa to dopiero po trzech latach. Do głowy mu nie przyszło, że lektura dzieł mizantropów i słuchanie smętnej muzyki mogą mieć tak fatalne skutki. Przecież nie każdy fan Bukowskiego zostaje alkohikiem. Teraz

czeka go droga przez piekło, bo „nawroty są częścią leczenia”, zaś szanse na powrót ćpuna do normalnego życia – minimalne. David jest tak umęczony, że czeka już tylko na złoty strzał, który zamknie sprawę. Belgijskiemu reżyserowi udało się opowiedzieć o rodzi- cielskiej miłości bez popadania w dydak- tyzm. Bardzo pomógł mu Carell, lecz krytycy wolą chwalić Chalemeta, bo jest młody i śliczny. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. FELIX VAN GROENINGEN
„MÓJ PIĘKNY SYN”
(„BEAUTIFUL BOY”)
USA 2018

wyst. Steve Carell, Timothee Chalemant, Maura Tierney



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

AMERYKANKI W EUROPIE

Komedia szpiegowska w duchu „Agentki” (2015) z Melissą McCarthy, ale mniej udana, bo mniej zbalan- sowana. W roli głównej Mila Kunis jako Audrey, która odkrywa, że jej chłopak pracował w CIA. Pracował, bo teraz nie żyje, Audrey z najlepszą przyjaciółką próbują w Wiedniu spełnić jego ostatnie życzenie, a ich

śladem podążają watahy płatnych zabójców. Tam, gdzie mamy do czynienia z komedią charakterów, zabawa jest przednia. Tam, gdzie zabawa przeradza się w krwawe porachunki, film robi się nudny i odpychający, wspomniany brak balansu dotyczy właśnie nierównowagi między słodko absurdalną komedią a niepotrzebnym mordowaniem. Mimo wszystko i tak da się rzecz oglądać. Dobrą robotę wykonuje Kate McKinnon, której żywiołowość zdaje się wyjęta z ery niemych filmów, miło też widzieć Gillian Anderson jako zimną panią oberszpieg. Mila Kunis wypadła przyzwoicie, ale powinna uważać z odchudzaniem, bo znalazła się o krok od frazy „starzeje się brzydko”.



wyst. Mila Kunis, Kate McKinnon, Justin Theroux

★★★★★
REŻ. SUSANNA FOGEL
„SZPIEG, KTÓRY MNIE RZUCIŁ”
USA 2018,
DYSTR. MONOLITH

O POLICJANTCE, KTÓRA NIE PASUJE

Nikt jej nie lubi, taki los policjantki wśród męskich kompanów. A czy ona lubi siebie? Robin (znakomita Elisabeth Moss) w pierw- szym sezonie kryminału Jane Campion wyciąga na światło dzienne brudne sekrety malowniczej wiochy w Nowej Zelandii. Jest klimat, są dobrzy aktorzy (oprócz Moss także Peter Mullan

i Holly Hunter), jest moc. Akcja drugiego sezonu rozgrywa się w Sydney i służy jedynie temu, by przedstawić widzowi wielką kolekcję bohaterów wywo- dzących się z podręczników psychiatrii, bo normalny nikt tu nie jest. To także łopatologiczna lekcja taniego feminizmu, bo wszyscy facci są oblechami, oszustami albo ciapami, a intrygi (kto zabił ciężarną prostytutkę) wystarczy- łyby na dwa odcinki, podczas gdy dostaliśmy sześć. Uwaga, ocena łączona: za pierwszy sezon pięć gwiazdek, za drugi najwyżej trzy. Dla wspólnej edycji DVD wychodzi czwórka. ©©



wyst. Elisabeth Moss, David Wenham, Peter Mullan, Gwendoline Christie

★★★★★
SEZONY 1-2
„TAJEMNICA LAKETOP”
AUSTRALIA/ NOWA ZELANDIA
2013-2017,
DYSTR. BEST FILM

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „WARHAMMER: VERMINTIDE 2”

Kolejna produkcja studia Fatshark to kontynuacja fabuły znanej z pierwszej części „Vermintide”, w której musimy się wcielić w jednego z bohaterów chroniących warhammerowskie Imperium przed zalewem sił Chaosu i szczeniopodobnych Skavenów. Rozgrywka oparta została na spraw-

dzonym schemacie kooperacji on-line oraz szybkiej, brutalnej oraz sug- stywnej walce bronią białą i palną. Pod tym względem „Vermintide 2” spełnia swoją rolę, poprawia grafikę, dodaje nowych przeciwników i twierdzą Helmgart. Co się (niestety) nie zmienia w stosunku do produkcji z roku 2015?

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Masa błędów i niedoróbek, które potrafią popsuć zabawę. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** FPP/RPG
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Fatshark
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

MOJA PÓŁKA

Ekscentrycy z greckiej wyspy

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Bohaterowie tej książki – rodzina Durrellów, czyli Luisa Durrell i jej czworo dzieci, a wśród nich znani w przyszłości pisarze – Lawrence i Gerald, przybyli na Korfu w 1935 r., opuszczając tę grecką wyspę tuż przed wybuchem wojny. O latach tam spędzonych opowiada Michael Haag, pisarz i historyk zajmujący się obszarem Morza Śródziemnego, a co najważniejsze – dzięki swoim bliskim kontaktom z Durrellami mający dostęp do rodzinnych archiwów, dzięki czemu mógł weryfikować to wszystko, co zostało zapisane m.in. w poczytnych książkach Geralda Durrella, takich jak „Moja rodzina i inne zwierzęta”.

Pobyty tej artystycznej rodziny na Korfu obrósł w legendę. Po latach bracia Durrellowie wybrali się na wyspę i w przebraniu dołączyli do wycieczki, a swoje wrażenia opisał potem Lawrence tymi słowami: „... nigdy nie słyszałem tylu bzdur na temat swojej rodziny, głoszonych w dodatku dziwną francuszczyzną. Chyba wszyscy byli Syryjczykami. W każdym razie wypiliśmy toast coca-colą na własną cześć i wymknęliśmy się z powrotem do miasta”.

Może tak było, może inaczej, Durrellowie bowiem – o czym co pewien czas przypomina Haag – byli mistrzami konfabulacji: „Wszyscy byli wspaniałymi gawędziarzami. Kręcili nosem na »Moją rodzinę i inne zwierzęta« Gerry’ego – zwłaszcza Margo [siostra Larry’ego i Gerry’ego, był jeszcze jeden brat Leslie – przyp. K.M.] – ale bez ceregieli przywłaszczali sobie nawzajem swoje historie, a w razie potrzeby wymyślali nowe. Zdaniem jednego z bliskich znajomych Gerry’ego druga część korfijskiej trylogii, czyli »Moje ptaki, zwierzęta i krewni«, pełna była niewykorzystanych dotąd anegdot, tak niewiarygodnych, że sam autor wątpił, by ktokolwiek wziął je na



FOT. GETTY IMAGES

poważnie, trzecią zaś część, »Ogród bogów«, wypełniały te, w które nie wierzył nawet on. Margo dosadnie podsumowała powieści, które jej bracia napisali o Korfu, »Moją rodzinę i inne zwierzęta« Gerry’ego i »Prospero’s Cell« Larry’ego: – Jeśli chodzi o moją rodzinę, to nigdy nie wiem, co jest prawdą, a co fikcją”.

Z wydanej teraz i u nas książki Michaela Haaga czytelnik pozna prawdziwe przyczyny, dla których ta brytyjska rodzina porzuciła Anglię, sprzedała dom i poszukała miejsca dla siebie. Miejsca, które utraciła w Indiach, gdzie zmarł nagle mąż Louisy, Lawrence Samuel Durrell, człowiek, który stworzył im wszystkim w Indiach prawdziwy dom, zapewniając pomyślność materialną. Niestety, w 1928 r. dostał śmiertelnego wylewu krwi do mózgu, jeszcze wcześniej drugie dziecko Durrellów, córka Margery, zmarła na dyfteryt i przybita tymi tragicznymi wydarzeniami Louisa posłuchała „dobrych rad” dalszej rodziny, podejmując decyzję o przeprowadzce na Wyspy Brytyjskie. Okazało się, że dzieciaki źle znoszą naukę w angielskiej szkole, że klimat jest nie do wytrzymania, a „matka dzieciom” coraz częściej sięga po butelkę z dżinem.

Na Korfu wszyscy odnaleźli (względna) równowagę, co dotyczyło i najmłodszych dzieci, i dorosłego już Larry’ego, a i ich matki, która potrafiła tam ujarzmić alkoholowe demony. „Lekkość, promienność i wolność – czytamy – które odnaleźli na Korfu, dodały im skrzydeł. Wyspa łączyła w sobie łagodność włoskiego krajobrazu, śródziemnomorskie ciepło i zapachy oraz grecką specyfikę – intensywność wrażeń, jakiej nie zaznali od czasu opuszczenia Indii”.

Haag opowiada nie tylko o Durrellach, bo i o ich – prawda, że nie liczących – przyjaciółach, mentorze i nauczycielu Gerry’ego – Teodorze Stephanidesie, o ich kierowcy Spirosie Halikiopoulosie, o skazańcu Kostisie przyprowadzonym któregoś dnia do domu przez Gerry’ego czy o najgłośniejszym znajomym, którym na pewno był Henry Miller, autor skandalizującego „Zwrotnika Raka”, który na Korfu przyplątał w lipcu 1939 r., a jego przyjaźń z Larrym Durrellem przetrwała lat 40. W „Kolosie z Maroussi” opowiedzieć miał Miller o tym, jak podziwiał Larry’ego i jego żonę pływających w morzu jak delfiny i jak sam kąpał się z nimi, oczywiście nago. Swoją drogą, to zamiłowanie Larry’ego – przypomnę na wszelki wypadek, autora „Kwartetu aleksandryjskiego”, uznanego za arcydzieło literatury XX w. – do pokazywania się w stroju Adama oraz ekscentryczny styl życia nastrojały mieszkańców Korfu do przybyszów z Anglii jeśli nie wrogo, to powiedzmy, że sceptycznie.

Zwracam uwagę na „Durrellów z Korfu”, bo to książeczka wdzięczna, ciekawa, a przy tym wcale niekoniecznie znać trzeba „Kwartetu...” Larry’ego Durrella czy przyrodniczo-gawędziarskie książki Geralda Durrella, by z przejściem zagłębić się w dzieje ich rodziny. Anarchistycznej, zwariowanej, a przecież fascynującej. ©



★★★★★
MICHAEL HAAG
„DURRELOWIE
Z KORFU”
NOIR SUR BLANC
WARSZAWA 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dziewczynka z Trolbergu

Laba w Boże Narodzenie ma swoje zalety. Kiedy już wszyscy się wyściskają, objedzą i wrócą z pasterki, można się w kolejnych dniach zająć nie tylko spacerami i wizytami oraz rewizytami, lecz także sprawami kompletnie niepoważnymi. Tak odkryłem świat niebieskowłosej Hildy, bohaterki serii graficznych powieści dla dzieci w każdym wieku. Aż mi wstyd, że nie wcześniej – poleciłbym je bez wątpienia jako jeden z kapitalnych prezentów pod choinkę.

Niektórzy znają Hildę z 13-odcinkowego serialu animowanego Netflixa. Serial jest ciepły, uroczy i wzruszający, ale książki są jeszcze lepsze. Ich wydawcą w Polsce jest niewielkie wydawnictwo komiksowe Centrala. Przełożono wszystkie pięć tomów serii (każdy tom to 80 stron lektury), w tym roku po angielsku ma ukazać się tom szósty. I mam nadzieję, że błyskawicznie trafi także na polskie półki.

Akcja „Hilda” rozgrywa się w krainie przypominającej trochę Skandynawię, najważniejsze jednak jest to, że na równych prawach funkcjonują w niej istoty baśniowe. Mała Hilda żyje w świecie, którego mieszkańcami są trolle, olbrzymy, elfy i cała masa innego magicznego drobiazgu. Ważnym miejscem owej krainy jest miasto Trolberg, za którego murami mieszkają niechętni trollom ludzie. Wszelka groza ma jednak w owym świecie wymiar dość łagodny, tak na miarę opowieści o Muminkach, z którymi zresztą seria Luke’a Pearsona bywa porównywana.

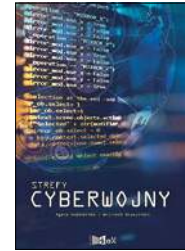
Inne porównania są równie zaszczytne, jak choćby powtarzające się w anglojęzycznych recenzjach podkreślanie powinowactwa przygód Hildy z filmami mistrza japońskiej animacji Hayao Miyazakiego. Podobnie jak w dziełach Miyazakiego u Pearsona to, co realne, i to, co fantastyczne, zespolone jest w sposób doskonały. Nie dziwią nas więc olbrzymy wielkości góry albo zwierzątko będące połączeniem jelenia z lisem, a pastelowe kolory kreują zupełnie nowy świat. Jest i świetny scenariusz, edukacyjny, lecz nienachalny, historyjki o Hildzie uczą otwartości na świat i szacunku dla innych. Zaniepokoiła mnie tylko jedna kwestia: Dlaczego to kolejny dobrze skrojony bohater dziecięcej wyobraźni, który wychowuje się bez ojca? ©©



★★★★★
LUKE PEARSON
„HILDA
I KAMIENNY LAS”
CENTRALA 2018

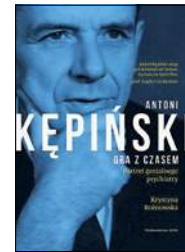
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Od hakerów do influencerów, ataki na giełdy, sieci energetyczne, kradzież danych, a także dezinformacja, manipulacje mediami społecznościowymi – para dziennikarzy Polsat News przygląda się nowym frontom XXI stulecia.



AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
„STREFY
CYBERWOJNY”
WYDAWNICTWO
4EM

Zwzięta biografia znakomitego polskiego psychiatry, autora klasycznych prac „Lęk”, „Psychopatie”, „Schizofrenia”, „Psychopatologia nerwicy”. Badacza, który wyprzedził swój czas i który do dziś inspirował kolejne pokolenia lekarzy.



KRYSZYNA ROŹNOWSKA
„ANTONI
KĘPIŃSKI. GRA
Z CZASEM”
WYDAWNICTWO
WAM

Produkt krajowy brutto – dlaczego jest tak ważny, skoro nie jest to najlepszy wskaźnik rzeczywistego dobrobytu i rozwoju danego kraju? Kto go wymyślił? Jak wzrost gospodarki mierzyć – no dawniej i do czego dane o PKB jednak się przydają?



DIANE COYLE
„PKB.
KRÓTKA, LECZ
EMOCJONUJĄCA
HISTORIA”
GRUPA PWN

Praca psycholog znanej w Polsce z książki „Noc szybko nadchodzi” o zaburzeniach prowadzących do samobójstw. Jamison łączy naukową wnikliwość z osobistym świadectwem walki z chorobą dwubiegunową. ©©



KAY REDFIELD JAMISON
„NIESPOKOJNY
UMYSŁ”
ZYSK
I S-KA

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz” (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.
2. Jeff Kinney „Dziennik cwaniaczka. Jak po lodzie” (Nasza Księgarnia) – to już 13. tom popularnej serii dla niezbyt grzecznych dzieci.
3. Kuba Wojewódzki „Biografia nieautoryzowana” (Wielka Litera) – po pierwsze nie biografia, ale autobiografia. Po drugie nie da się tego czytać. Ale da się sprzedać.
4. Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała” (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.
5. Jakub Żulczyk „Śpiąc od świateł” (Świat Książki) – powieść o dilerze narkotyków z Warszawy wraca na listę dzięki serialowi HBO.

(Najchętniej kupowane książki w salonach Empik od 3 do 16 grudnia 2018 r.)

A gdyby tak jeszcze trochę odwiec ten nieprzyjemny moment pogodzenia się z brutalnymi faktami – że już po Bożym Narodzeniu, że o rok starsi, że przed styczniowym i lutowym zimnem, przed marcową pluchą, że wypada rozebrać choinkę, zakasać rękawy, wziąć się do pracy, spalić pochłonięte w świątecznej beztrosce kalorie... Jeszcze nie teraz, jeszcze trochę, a zespół Mazowsze do usług. W styczniu nadal grać będzie świąteczne widowisko „Betlejem polskie” według Lucjana Rydla.

Wybór tego dzieła na tegoroczny okołołożonarodzeniowy program zespołu Mazowsze nie jest przypadkowy. Rydłowski dramat to połączenie jasełek i widowiska patriotycznego. Przenosi biblijne Betlejem do współczesnej mu Polski z początku XX w. W figurze Heroda łączy się postać władcy Palestyny oraz rasyfikatora, ciemności ciela Polski (w wykonaniu Mazowsza Herod jest wreszcie



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Święta, święta i styczniowe Betlejem

carem, co w latach podległości Polski wobec Rosji było nie do pomyślenia), a Trzej Królowie to Kazimierz Wielki, Władysław Jagiełło i Jan III Sobieski.

„Betlejem polskie” w reżyserii i adaptacji Zbigniewa

Kułagowskiego uzupełnione jest o wydarzenia powstania warszawskiego i Grudnia 1970 r. – Tradycją tego tekstu jest, że dopisywane są pewne współczesne postaci, które pojawiają się na

scenie – mówił Kułagowski po jednym z występów dla Telewizji Kablowej Pruszków. – Zaskakujące jest to, że ten tekst się nie zestarzał, że są podejmowane bardzo aktualne treści, tematy – dodawał.

„Nawiązując do najwspanialszych kart naszej historii, pragniemy stworzyć nie tylko barwny, patriotyczny fresk narodowych losów, lecz także przede wszystkim rozśpiewane i roztańczone widowisko pełne humoru i ognistego tańca: z chórami Aniołów, Świętą Rodziną, pełne najpiękniejszych kolęd i pastorałek” – deklarują twórcy widowiska. I to im się udało. Spektakl robi wrażenie. Obok zawodowych aktorów, śpiewaków, chórzystów są dzieci wybrane podczas castingów, dorzucające swoimi płasmi ogromną dawkę słodczy. Kalendarz występów można znaleźć na stronie internetowej Mazowsza. Warto. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Bardzo Go brakuje

Tamtej nocy, 25 czerwca 2000 r., David Bowie odzyskał swoją legendę. Wystąpił w finale milenijnej edycji Glastonbury, najważniejszego brytyjskiego festiwalu muzycznego.

W latach 90. Bowie mozolnie odbudowywał pozycję jednego z najważniejszych artystów rockowych, którą stracił dekadę wcześniej, wydając serię miąkłych popowych albumów. Na repertuar koncertu wybrał największe hity, co czynił wyjątkowo rzadko. Aż 13 z 22 zagranych piosenek pochodziło z jego złotej ery, lat 70., kiedy wyznaczał przyszłość rocka. Koncert jednak zakończył przebój z 1997 r. – „Boję się Amerykanów”.

Bowie nie wystąpił w Glastonbury z wielkim spektaklem. Wspomagało go zaledwie pięciu muzyków, wśród których byli starzy przyjaciele: pianista Mike Garson i gitarzysta Earl Slick oraz niesamowita czarnoskóra basistka Gail Ann Dorsey. Zespół grał bezbłędnie, lider był w wybornej formie, a publiczność żywiołowo reagowała na wszystkie piosenki. Niewątpliwie jest to jeden z jego najlepszych albumów koncertowych. Tym bardziej warto go zobaczyć w wersji DVD. Przed „Heroes” zmarły trzy lata temu wokalista powiedział: „Nie byłem tu od 30 lat i muszę przyznać, że jest tu zaje... wspaniale!”. ©©



★★★★★
BRUCE
SPRINGSTEEN
„SPRINGSTEEN
ON BROADWAY”
COLUMBIA

Przez rok Boss opowiadał w teatrze Walter Kerr fragmenty właśnie wydanej autobiografii. Historie wzbogacał piosenkami, akompaniując sobie na gitarze lub fortepianie. W dwóch utworach pojawia się żona – Patti Scialfa. Dla wiernych fanów.



★★★★★
AMBROSE
AKINMUSIRE
„ORIGAMI HARVEST”
BLUE NOTE

Amerykański trębacz łączy jazz z kameralistyką i hip-hopem. Dziwaczne metra, niespotykane brzmieniowe połączenia oraz polityczne manifesty sprawiają, że jest to wielce intrygująca muzyczna propozycja. ©©



★★★★★
DAVID BOWIE
„GLASTONBURY
2000”
PARLOPHONE

**POD WĄS**

Rasizm językowy

IGOR ZALEWSKI

To było tak. Kilka lat temu pojechaliśmy ze znajomymi na wspólny wyjazd. To był ten rodzaj znajomości, którą narzucają dzieci. Może wiecie, o czym mówię: dzieciaki się lubią, a że jeszcze samodzielnie nie funkcjonują, więc wy też musicie się lubić. Niestety, w pewnym momencie życia to potomstwo organizuje nam życie towarzyskie.

Tak było i tym razem. Nasi synowie się uwielbiali, więc po kilku testujących spotkaniach przy winie stwierdziliśmy, że damy radę. Rodzina prezentowała się sympatycznie, wręcz pocziwie. W dodatku lubili sobie golnąć, więc łatwo nawiązaliśmy kontakt. Oczywiście wspólne wakacje to nie w kij dmuchał, zawsze spod zewnętrznej lukru przebijie się jakiś kwaśny smaczek. Jednak to miało być tylko kilka dni, więc zaakceptowaliśmy ryzyko.

Kłopoty nadeszły z nieoczekiwanej strony. – Kochanie, musisz WZIAŚĆ koc do ogrodu – to polecenie wydane mężowi przez żonę było pierwszą oznaką nadchodzącej katastrofy. A potem nastąpiła prawdziwa nawałnica. – Jak tam, dzieci pijOM? Tak kochanie pijOM. A co teraz robiOM? GrajOM w piłkę. O, a teraz bawiOM się w Star Wars. To pamiętaj, żeby potem WZIAŚĆ zabawki do domu, jak dzieci skończOM.

Przy wspólnym picu wina jakoś nam to nie przeszkadzało. Jak wiadomo, alkohol zwiększa odporność na ból, ale teraz na trzeźwo zaczęło

nam to doskwierać. Każde WZIAŚĆ było jak drapnięcie paznokciami po tablicy zmieszane z głosem Joanny Senyszyn. Każde OM było jak żart z „W tyle wizji”. Naprawdę bolało.

Co tu robić? Przecież nie będziemy uczyć dorosłych ludzi, jak się mówi po polsku. Nieśmiało próbowaliśmy poprawiać ich dzieci w nadziei, że może dotrze to też do rodziców. Nieśmiało, bo baliśmy się reprimendy, ale rodzice entuzjastycznie wsparli nasze zabiegi edukacyjne. Dziękowali, że uczymy ich dzieci mówić wiać, po czy sami mówili WZIAŚĆ. Nawet Tymon poprawiał kolegę, że rysuje się czołg, a nie czołga.

Niestety, okazało się, że jesteśmy językowymi rasistami, którzy nie są w stanie traktować z szacunkiem ludzi tak niemiłosiernie masakrujących język polski. Mimo najszczerzej chęci, mimo dobrej woli, mimo znieczulania się ponad miarę każde OM podrywało nas jak elektrowstrząs, którym Wietkong torturował Rambo. A każde WZIAŚĆ było jak cios w spłot słoneczny Rocky'ego. Byliśmy w polonistycznym piekle i jedynym, co nas trzymało przy życiu, było to, że mieliśmy tu spędzić tylko kilka dni, a nie wieczność.

Uśmiechając się sztucznie, jakoś dotrwaliśmy do końca wyjazdu. Byliśmy jednak totalnie rozbici i wymęczeni. A kiedy doszliśmy trochę do siebie, zaczęliśmy dręczyć naszego syna. Za każde WZIAŚĆ wymierzamy mu 10 batów, a za OM wyrywamy ząb. Na razie działa. ©©

**KRÓTKO PO WOLSKU**

Stawka

MARCIN WOLSKI

W kontekście rozpoczętego roku, chętnie używa się słów wielkich i mocnych. „Bitwa o wszystko”, „Starcie gigantów” lub „Kto kogo pożre?” – to tylko niektóre z najczęściej używanych określeń. Osobiście wolę sformułowania bardziej umiarkowane. Żyję w końcu w kraju, w którym nic nigdy do końca się nie udało, że wspomnę stan wojenny, pokojową transformację, postkomunę czy dobrą zmianę nr 1. Dlaczego sukces opozycji czy kontynuacja tego, co jest, miałyby być totalne?

**Mniejsze emocje
budzą we mnie
nazwiska i barwy
przyszłych
premierów
niż kształt Polski
za rok, pięć lat
czy pięćdziesiąt**

Co więcej, mniejsze emocje budzą we mnie nazwiska i barwy przyszłych premierów niż kształt Polski za rok, pięć lat czy pięćdziesiąt. To, czy Schetyna skonsumuje panią Lubnauer, a Kukiz odejdzie od polityki, ma znaczenie w zupełnie innym sensie, niż uważają polityczni komentatorzy. Wojna polsko-polska czy nawet narodowo-unijna jest de facto potyczką w czymś zgoła większym i ważniejszym.

Nasze konflikty wpisały się, chcąc nie chcąc, w wielką wojnę kultur, która toczy się na całym świecie. Inwazja barbarzyńców jest tylko efektem kryzysu cywilizacji Zachodu czy – nie bójmy się użyć tego słowa – jego implozji. Obcy nie muszą szturmować Starego Kontynentu, wciąga ich podciśnienie, którymi są dobrobyt, zapaść demograficzna, zatrata silnych wartości...

Gdyby nie takie kraje jak Węgry i Polska, należałoby uznać ją za z góry przegraną. Bogate, świetnie zorganizowane imperium rzymskie upadło, dlatego że nie miał kto go bronić. Jak długo można było opierać swoje bezpieczeństwo na wynajętych barbarzyńcach?

Bitwa toczy się na wielu polach, kultura i sztuka praktycznie się poddały. Podobnie rzecz się ma w mediach i prawodawstwie. Aliści, dopóki nie opustoszały kościoły, broni się rodzina, nie skapitulowała przed genderem szkoła, dopóty jest nadzieja...

Czasami mam wrażenie, że najbardziej zainteresowani tego nie zauważają. Choćby Kościół, który liczy, że będąc neutralny i bardziej otwarty, zachowa swoją pozycję. Nie zachowa. Tak jak nie zachowają swych zdobyczy dzisiejsi koryfeusze postępu. Jeśli padnie cywilizacja chrześcijańska, której tak nienawidzą, to stracą wszystko, z życiem włącznie. Chyba że feministki polubią życie w burkach.

I o to chodzi w wyborach, których trzeba będzie dokonywać. ©©

MARCIN MAKOWSKI: Dał się pan uwieść nowej strategii Zjednoczonej Prawicy i zwrotowi ku centrum?

DR JERZY TARGALSKI: Ja tam nie widzę żadnej strategii. PiS ma przecież to do siebie, że im bardziej się do centrum przybliża, tym bardziej się ono oddala.

Ponoć zmiana narracji wynika z analiz przeprowadzonych przez prof. Waldemara Parucha, które wskazują, że wyborca chce spokoju, rozwoju i stabilizacji. Dodatkowo, co ciekawe, głosujący na prawicę przykładają coraz większą wagę do kwestii praworządności.

Uważam, że wnioski wyciągnięte przez prof. Parucha są błędne, a ten kurs doprowadzi do katastrofy. Mityczne centrum jest nie do zdobycia, łatwo można za to stracić twardy elektorat. Jeśli dla wyborców PiS ważna jest praworządność, a rząd chce coś w tej kwestii zrobić, to ja się pytam: Gdzie są ci wszyscy platformerscy oficjele, którzy powinni siedzieć? Dlaczego „bufetowa” nie siedzi? Przecież Hanna Gronkiewicz-Waltz powinna pójść do więzienia za to, że była parasolem ochronnym dla złodziei i prześladowała mieszkańców reprowaryzowanych kamienic. Praworządność na tym polega, że przestępcy idą do więzienia, a nie na tym, że państwo oficjalnie ich rozlicza, ale nic z tego nie wynika.

Czyli pana zdaniem nie brak łagodnej twarzy, ale niekonsekwencja władzy jest przyczyną słabszych sondaży Prawa i Sprawiedliwości?

Jest wiele przyczyn tego stanu rzeczy, ale brak konsekwencji może być jedną z najważniejszych. Jeżeli ktoś nieustannie pokazuje własną słabość, jednocześnie przemawiając w sposób górnolotny do społeczeństwa, i obiecuje, że teraz będzie inaczej, to czego się spodziewa? Społeczeństwo to widzi i może na chłodno pomyśleć: „W takim razie po co się narażać lokalnym układom i głosić na PiS?”. Poza tym powiem szczerze, że ja w żadne sondaże nie wierzę, bo to element socjotechniki wykorzystywany przez środowiska bezpieczniackie. Dlatego czytając je, trzeba się raczej zastanowić, co owe grupy wpływu chcą osiągnąć w danym momencie, nie traktując ich wyników jako żadnej wykładni nastrojów i oczekiwań.

Niemniej ten proces już trwa, a jego „ofiarami” – jak twierdzi opozycja – są co bardziej skrajne i eurosceptyczne postaci z grona partii.

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS



Z dr. Jerzym Targalskim, historykiem, publicystą rozmawia Marcin Makowski

Żadna retoryka czynów nie przykryje

W cień odchodzą Krystyna Pawłowicz, Antoni Macierewicz, spokojniejszy zrobił się Dominik Tarczyński.

Akurat w przypadku Macierewicza wątplię, aby chodziło o kwestie unijne. Nigdy nie słyszałem, aby wypowiadał się przeciwko członkostwu Polski w Unii. Moim zdaniem PiS robi źle, chowając własnych posłów w szafie, bo wysłał sygnał, że nie chce uprawiać własnej polityki, tylko prędkiej czy później swoich ludzi zdradzi i pod presją ustąpi. Jeśli o to chodzi, to wybierzmy Platformę, która w ustępstwach wobec Unii była znacznie skuteczniejsza.

Przyzna pan jednak, że wobec rekordowo wysokiego poparcia Polaków wobec Unii trudno wygrać wybory europejskie, idąc na otwarte starcie?

Poparcie, o którym pan mówi, wynika często z niezrozumienia tego, czym jest Unia. Większości Polaków kojarzy się ona z tym, że można bez problemu wyjechać na Zachód i tam godnie zarabiać, co przecież wynika, bądź może wynikać, z zupełnie innych umów i traktatów. Opozycja, wymyślając polexit, uderzyła w czuły punkt PiS, który dzisiaj w sposób niewiarygodny musi się licytować na miłość do Brukseli, a przecież tu nie chodzi o uczucia, tylko o twardą walkę o własne interesy. Czego nie da się robić, unikając konfliktów. Prawica, raz ulegając naciskom Komisji Europejskiej, wysłała sygnał, że będzie ulegać w przyszłości, i żadna retoryka czynów nie przykryje.

Jaka to może być retoryka?

Po zaakceptowaniu braku kluczowych reform zdegenerowanego wymiaru sprawiedliwości np. szantaż w kwestii przyjęcia euro. „Tak nas kochacie i chcecie gasić konflikty? Przyjmijcie wspólną walutę. A jeśli nie przyjmiecie, to znaczy, że chcecie wystąpić”. I co wtedy?

Wspomniał pan, że podobne postępowanie może doprowadzić PiS do utraty twardego elektoratu. Tylko na rzecz kogo? Na jaką partię miałby on głosować?

Oczywiście cały twardy elektorat nie zareaguje w jeden sposób, ale na pewno wiele osób przestanie głosować. Ja, dajmy na to, na prezydenta Dudę głosować już nie będę. Inna grupa może natomiast przejść do partii skrajnych. W tej chwili przygotowywane jest dla Polski ugrupowanie prorosyjskie.

Myśli pan o narodowcach i Korwin-Mikkem?

Nie, to jest szerszy projekt, który ma zebrać całe to „zoo” po prawej stronie: od Grzegorza Brauna do Roberta Winnickiego. Czy partia wypali, zależy od tego, jakie są decyzje w środowisku bezpieczniackim, ale jeśli oficerowie powiedzą, że tak ma być, to oni się nagle przestaną kłócić i zjednoczą. Nie chodzi przecież o to, aby zajęli istotne miejsce na scenie politycznej, tylko żeby urwali PiS 5 proc. w wyborach parlamentarnych i uniemożliwili mu samodzielne sprawowanie władzy. Koalicja z nimi będzie przecież wykluczona, a wtedy jedynym wyjściem pozostanie PO-PiS, gdyż sojusz ogólnoplatforniany też nie będzie miał większości.

Słucham? PO-PiS?

Tak. Przewiduję w 2019 r. brak stabilności, chaos i powstanie rządu, który będzie łączył prawicę z jakąś częścią Platformy.

Przecież to w obecnej sytuacji jak łączenie ognia z wodą.

W polityce to nie ma żadnego znaczenia. Jeśli nie będzie innego wyjścia, to

Moim zdaniem PiS robi źle, chowając własnych posłów w szafie, bo wysłał sygnał, że nie chce uprawiać własnej polityki

taka koalicja powstanie albo np. koalicja PO z Gowinem. Pamiętajmy, że w Zjednoczonej Prawicy są też inne partie.

Uważa pan Jarosława Gowina za konia trojańskiego w rządzie?

Może nie za konia trojańskiego, ale polityka jest pragmatyczna i w skrajnych warunkach narzuca skrajne rozwiązania.

Dlaczego nie uwzględni pan w tej układance ruchu Kukiz'15, który mógłby być potencjalnym sojusznikiem ZP?

Nie uwzględniam, bo Kukiz już odegrał swoją rolę i przestaje być potrzebny. Miał zebrać głosy elektoratu rozczarowanego Platformą, żeby ten nie głosował na PiS. Przy każdych wyborach składa się wyborcom jakąś ofertę po to, żeby zebrać głosy protestu i uniknąć

wyraźnej przewagi partii, która może wyrzucić presję na realne zmiany. Ten ruch nie ma przyszłości, jest podzielony i wystarczy wyraźny medialny sygnał, że teraz trzeba postawić, dajmy na to, na Jakubiaka, i tyle.

Podobnie traktuje pan partię europosła Mirosława Piotrowskiego, budowaną „z błogosławieństwem” o. Tadeusza Rydzyka?

Nie sądzę, aby sam Piotrowski wszedł do Sejmu, choć jeśli faktycznie wystartuje, nawet bez oficjalnego wsparcia Torunia, to kilka procent może urwać. Gdybym ja był po drugiej stronie, wydałbym jednak polecenie oficerom prowadzącym, żeby powstało jedno ugrupowanie, bo w taki sposób partię Piotrowskiego można by było sprawnie kontrolować. Jarosław Kaczyński zdaje sobie sprawę z tego zagrożenia, dlatego szuka wyborców w klasie średniej w miastach. Tylko teraz wracamy do punktu wyjścia. To się nie uda, bo elektorat centrowy nie wypełni ewentualnej luki po „betonie”, który znajdzie nowego reprezentanta.

Może w takim razie partia Piotrowskiego jest tylko po to, aby wyrzucić na PiS presję i sprowokować jakieś ustępstwa?

W pierwszej fazie pewnie tak było, ale przy łagodzeniu przekazu Kaczyński nie może równocześnie brać na listy ludzi Ojca Dyrektora. Jeśli zatem wywieranie nacisku się nie uda, to nastąpi druga faza, czyli szukanie samodzielności, a skoro – jak ustaliliśmy – Piotrowski sam jest za słaby, to prowadzone są rozmowy z Winnickim. I tak koło się domyka, a Polacy otrzymają konglomerat ruchów antyunijnych, antyamerykańskich i prorosyjskich. Rosyjskiej agenturze materiału nie zabraknie, gdyż sami Amerykanie – szczególnie po wyrzuceniu z Białego Domu gen. Jamesa Mattisa, ustawie 447, wycofaniu się z Syrii – są mistrzami w dostarczaniu argumentów przeciw sobie.

Czy to zmierza w kierunku stworzenia polskiego Jobbiku?

Robert Winnicki o tym marzy, w polskiej formie może on nawet powstać, ale nie będzie miał takiego znaczenia jak na Węgrzech, bo nie o znaczenie chodzi, ale uczynienie wyłomu w obecnym układzie politycznym, pogłębienie zamieszania i destabilizację.

■ Pośrednio oskarża pan tych ludzi o bycie agentami lub co najmniej „użytecznymi idiotami” Putina. A dowody?

Nie mówię bezpośrednio o narodowcach, tylko o przyszłej formacji wspomnianych wcześniej środowisk. Jak bowiem to inaczej odbierać, jeśli Winnicki przekonuje, że Polska musi równoważyć stosunki z Ameryką dobrymi relacjami z Rosją, prowadząc politykę wielowektorową? To jest jednoznaczne w swojej wymowie i może się podobać ludziom, którzy nie rozumieją, na czym polega geopolityka. Polsce natomiast szkodzi. KGB prowadziło przecież na Zachodzie wśród środowisk sceptycznych wobec Sowietów podobną politykę. Przekonywało, że w ZSRS jest może i źle, ale w USA jest jeszcze gorzej. Tym samym zrównując oba państwa. Nie wszyscy muszą w tej formacji stawiać na Rosję, ale wystarczy, że będzie taka część, i to umożliwi Moskwie kontrolę.

W geopolitycznej układance pomiędzy Polską, Rosją a USA ważne miejsce odgrywa Ukraina. Niedawno ze stanowiskiem pożegnał się ambasador Jan Piekło, który według MSZ miał być „zbyt miękki wobec Kijowa”. To dobry kierunek? Jaką politykę powinna prowadzić Polska wobec wschodniego sąsiada?

Problem polega na tym, że my nie prowadzimy żadnej spójnej polityki wschodniej, tylko okazjonalne gesty. To, co się obecnie dzieje, rok temu nazywałem „ozonizacją PiS-u”. Po prostu partia ze strachu przed tym, że obóz narodowy odbierze wyborców, szafując hasłami nacjonalistycznymi i „troską o Polaków na Litwie i Ukrainie”, stara się ich przelicytować.

Nie Ukraina, tylko rady obwodów lwowskiego, tarnopolskiego i żytomierskiego. Po co rozpowszechniać ruskie kłamstwo? Po pierwsze, rok Bandery nie ma niczego wspólnego z Polską, a bardziej z konfliktem z Rosją. Tylko u nas jest to tak przedstawiane przez propagandę endecką. Sam Bandera wykorzystywany jest jako symbol do mobilizacji patriotycznej i nie ma nic wspólnego z postacią historyczną. Po drugie, zostawiłbym tę sprawę Żydom. Niech oni ją załatwią i rozliczą Ukraińców z kultu jednostki wojskowej, która pomagała przy Holokauście. Chociaż raz skorzystajmy z pracy innych, a nie odwrotnie. My dzisiaj powinniśmy najpierw budować wspólnotę gospodarczą z Ukrainą, a dopiero potem zajmować się resztą i historią. Jeśli chcemy być konsekwentni, to gdzie są protesty przeciwko pomnikom Bismarcka w Niemczech i Austrii?

Wracając do polityki krajowej, czy uważa pan – podobnie jak prezydent Andrzej Duda – że „Donald Tusk szkodzi Polsce”, a jego powrót to możliwy scenariusz?

Prezydent ma rację, ale Tusk nie tylko teraz, lecz zawsze szkodził Polsce. W Unii szkodzi jeszcze bardziej, bo jest instrumentem polityki Berlina wymierzonej przeciw Warszawie. Natomiast jego powrót uważam za nierealny. Gdyby to się nawet wydarzyło i wystartowałyby w wyborach prezydenckich, dla mnie to nie ma większego znaczenia. Nie poszedłbym wtedy głosować, bo nie chciałbym wybierać mniejszego zła i hamletyzować między Dudą a Tu-

wskazywały na zwycięstwo Prawa i Sprawiedliwości, a w rzeczywistości były tworzone przez wojskowych, którym zależało na przegranej prawicy. To swoją drogą ciekawe, bo jeśli faktycznie PiS o wyborach na wiosnę myśli, to znaczy, że poważnie obawia się porażki w europejskich, a przecież te dzięki marszowi ku centrum powinny być wygrane. To znaczy, że w partii premiuje się przegrane strategie. A ktoś, kto tak działa, nie powinien być premiiowany, tylko odwołany.

Odbieram te słowa jako krytykę premiera Mateusza Morawieckiego. Słusznie?

Hmm, niekoniecznie. Jest sprawnym administratorem i mistrzem PR, a ludzie wszystko, co przypomina epokę Gierka, instynktownie kochają.

Pan też tę propagandę kochał, lata 1974–1979 spędzając w PZPR?

Wprost przeciwnie – byłem zdesperowany, myślałem o emigracji, widząc, jak przeciętni ludzie akceptują ustrój i jakiegokolwiek wzmianki o działalności opozycyjnej uważają za dowód choroby umysłowej. Ostatecznie nie miałem możliwości wyjazdu, więc spróbowałem działać od wewnątrz, a gdy pojawiła się opozycja, przystąpiłem do niej i traktowałem członkostwo w partii jako przykrywkę dla aktywności konspiracyjnej.

Czyli co? Postanowił pan „zmieniać socjalizm od środka”?

Może nie tyle zmienić, ile próbowałem w jakikolwiek sposób działać politycznie wewnątrz ówczesnie istniejących struktur, budując sieć powiązań, która przydałaby się w przyszłości. Teraz sytuacja jest inna, nie żyjemy przecież w totalitaryzmie.

Według opozycji Jarosław Kaczyński ma władzę większą od pierwszego sekretarza. Może różni się jedynie tym, że ma koty.

Nie mam czasu na zajmowanie się bredniami volksdeutsch. Koty powinny łączyć, gdyż dla prawdziwego kociarza żadne podziały polityczne nie wchodzi w grę. Ja oczywiście popieram władzę PiS, ale chodzi mi o to, żeby ona nie pudrowała republikę Okrągłego Stołu, ale coś realnie w Polsce zmieniała. Bo jeżeli oni zawiodą ludzi, nastąpi kryzys zaufania i nie powstanie już żadna siła zdolna do przeciwstawienia się Ubekistanowi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Tusk nie tylko teraz, lecz zawsze szkodził Polsce. W Unii szkodzi jeszcze bardziej, bo jest instrumentem polityki Berlina wymierzonej przeciw Warszawie

Zwycięża patrzenie przez pryzmat historii, a nie budowa wspólnoty interesów, zwłaszcza ekonomicznych. Powinniśmy starać się eliminować wpływy niemieckie w Kijowie. Jednak skoro nie możemy ich wyeliminować w Sądzie Najwyższym, to co dopiero w innym kraju.

Nie ma pan wrażenia, że do tanga trzeba dwojga? Ukraina, m.in. ustanawiając rok 2019 rokiem Bandery, nie pomaga w budowaniu dialogu.

skiem. Nikt nie będzie mnie szantażował. To wyborcy powinni szantażować polityków, a nie politycy wyborców.

Czemu pana zdaniem mają służyć plotki na temat przedterminowych wyborów w marcu?

To na pewno jakaś próba sprowokowania PiS, ale mam nadzieję, że prezes się na nią nie nabierze. Już raz, w 2007 r., mieliśmy podobny scenariusz, w którym rzekome tajne sondaże



**Z Leszkiem Żebrowskim,
autorem książek historycznych
rozmawia Wojciech Wybranowski**

Rozwiązanie 5. Brygady Wileńskiej AK na zdjęciu z września 1945 r., prezentowanym na wystawie „Oddziały Łupaszki” REPROD. ŁASKI DIFFUSION/EAST NEWS



Europa nie została zdekomunizowana

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Na wniosek IPN sąd wydał europejski nakaz aresztowania wobec Stefana Michnika, przyrodniego brata Adama Michnika. Wierzy pan w to, że Szwedzi wydadzą go Polsce?

LESZEK ŻEBROWSKI: Nie wierzę, bo nie ma ku temu żadnych podstaw. Stefan Michnik uzyskał w Szwecji status... uchodźcy politycznego, prześladowanego przez władze komunistyczne, podobnie jak Włodzimierz Brus i Helena Wolińska w Wielkiej Brytanii. Dla nas to absurd, ale taka była rzeczywistość tamtych czasów. Ten stan utrzymuje się do dziś. W dodatku Polska jest dla przeciętnego Szweda, ale również dla władz tego kraju państwem niedemokratycznym, prześladowającym swych dawnych i obecnych obywateli. Opinię publiczną kształtują w Szwecji, podobnie jak u nas, mass media. A one wszystko wiedzą lepiej. Skomplikowany system prawny UE jest tak skonstruowany, że zawsze

sprawcy powinni ponieść określone konsekwencje. Nic takiego nie nastąpiło. Trudno ścigać poza granicami kraju zbrodniarzy sądowych, jeśli w obecnej Polsce nie zostali oni rozliczeni, a niektórzy jeszcze żyją pośród nas i mają się bardzo dobrze. Argument zaś o zbrodniach ludobójstwa nie trafia w Europie i szerzej – w świecie państw demokratycznych – na podatny grunt, to określenie jest bowiem nieformalnie zastrzeżone tylko wobec zbrodni wojennych i okupacyjnych III Rzeszy Niemieckiej.

Rzeczywiście, nie udało się do tej pory doprowadzić do wydania Polsce żadnego z komunistycznych zbrodniarzy, którzy znaleźli bezpieczny azyl za granicą. Dwukrotnie odrzucano wniosek o ekstradycję Heleny Wolińskiej, upadł też wniosek o wydanie Polsce Szlomo Morela. Może to jednak kwestia słabości państwa polskiego?

Słabość obecnego państwa polskiego ma znaczenie, oczywiście. Jeśli

współpracownika sowieckiego wywiadu wojskowego. Wojskowe Prokuratury Rejonowe i Wojskowe Sądy Rejonowe sporządzały akty oskarżenia i wydawały wyroki, w tym bardzo liczne wyroki śmierci, które od samego początku były nieważne. Struktury te nie miały bowiem prawa do zaistnienia i działania, ich wyroki po 1989 r. były masowo unieważniane, polskie państwo zostało zmuszone do wypłaty odszkodowań.

Notabene żenująco niskiej wysokości...

Jednak to my wszyscy ponieśliśmy te koszty, a nie zbrodniarze, żaden z nich nie został bowiem skazany za popełnione zbrodnie sądowe, ich majątki nie zostały skonfiskowane. Zagranica miała i ma zatem znakomity pretekst, aby zbrodniarzy komunistycznych z Polski Ludowej chronić przed... represjami w obecnej Polsce. Z drugiej strony ważna jest świadomość europejskich elit politycznych, prawnych, naukowych, medialnych. Dla nich fakt działalności określonych ludzi, którym my przypisujemy zbrodnie (nie tylko sądowe) w organizacjach komunistycznych, w tym w aparacie terroru, nie jest żadnym problemem.

W Europie nie tylko symbole komunistyczne, lecz także partie i organizacje jawnie głoszące pochwały komunizmu są lepiej traktowane i chronione niż antykomuniści

znajdą się odpowiednie kruczki prawne, aby coś uzyskać lub do czegoś nie dopuścić. To elephantiasis prawnicza, gdzie o wszystkim decydują odpowiednie formułki, a nie dążenie do elementarnej sprawiedliwości.

Podobny wniosek został już złożony kilka lat wcześniej i odrzucony przez Szwedów. Teraz jednak śledczy nieco inaczej go uzasadniają. Wskazują w nim, że popełnione przez Stefana Michnika czyny miały charakter zbrodni ludobójstwa.

To nie jest sprawa argumentacji, ale ochrony, nie tylko medialnej, zbrodniarzy komunistycznych w sferze prawnej UE, w tym Szwecji. Europa została formalnie zdenazyfikowana, ale nie zdekomunizowana. Tam nie tylko symbole komunistyczne, lecz także partie i organizacje jawnie głoszące pochwały komunizmu są lepiej traktowane i chronione niż antykomuniści. Stefan Michnik jest zbrodniarzem sądowym, orzekał w sprawach, gdzie zapadały wyroki śmierci i były one wykonywane. Po 1989 r. zostały one uznane za nieważne. Życia to ofiarom nie przywracało, ale

III RP nie odcięła się zdecydowanie od Polski Ludowej, jeśli cały system prawno-ustrojowy, instytucje i obsady kadrowe komunistycznego państwa w sposób bardzo łagodny przeszedł do III RP, funkcjonując w niej bez żadnych konsekwencji, to jak można domagać się rozliczeń niektórych zbrodniarzy komunistycznych, którzy znaleźli się za granicą? Pamiętajmy, że III RP wypłacała im świadczenia emerytalne i rentowe! Czy państwo polskie dokonało formalnej dekomunizacji, uznając PPR-PZPR za struktury nielegalne, powołane, nadzorowane i kierowane przez Związek Sowiecki? Nie. Czy państwo polskie uznało aparat terroru za formację zbrodniczą? Nie. Czy prokuratura wojskowa i sądownictwo wojskowe, w tym osławione Wojskowe Sądy Rejonowe, zostały uznane za struktury nielegalne? Wszak były one powołane niezgodnie nawet z komunistycznym, ówczesnym „prawem” – nie ustawami, ale rozkazami sowieckiego namiestnika wojskowego Michała Żymierskiego (przypominam: w II RP zdegradowanego do stopnia szeregowca i wydalonego z WP), następnie

Na zarzut, że Polska nie ściga skutecznie tych, którzy prześladowali eneszetowców z akowców, w medialnym mainstreamie bardzo często pada odpowiedź, że żołnierze wyklęci często mieli jakoby dopuszczać się zbrodni na bezbronnej ludności. I padają przykłady tzw. mordu w Borowie, niektórzy przypisują też NSZ tzw. zbrodnię na Żydach w Ludmiłowie.

Nie było żadnego mordu pod Borowem – to była likwidacja bandyckiej, rabunkowej grupy działającej w lasach krańskich, kierowanej przez przedwojennego bandziora, podporządkowanej nominalnie Gwardii Ludowej. Grupa ta nie prowadziła żadnych działań przeciwko Niemcom, co więc robiła w lesie? Po ich ujęciu przez oddziały NSZ, dowodzone przez mjr. Leonarda Zub-Zdanowicza „Zęba”, odbył się sąd polowy. Ci, którym udowodniono winę, m.in. na podstawie zeznań okolicznych mieszkańców, zostali rozstrzelani. Uznani za niewinnych – zostali zwolnieni. Propaganda komunistyczna od początku określiła to jako... „drugi Katyń”! Bezcelność komunistów i ich epigonów nie zna granic. Eneszetowcom po wojnie, już w Polsce Ludowej, przypisywano też zbrodnie komunistów, popełnianie

podczas okupacji niemieckiej na Żydach. Tak było m.in. ze zbrodniami dokonanymi przez zgrupowanie GL Grzegorza Korczyńskiego na Lubelszczyźnie. Akowcy i eneszetowcy, miesiącami dręczeni w śledztwach, przyznawali się do czynów przez siebie niepopołnionych.

A jednak postawy niektórych żołnierzy wyklętych mogą budzić wątpliwości. Choćby kpt. Romualda Rajsa, którego – zdaniem niektórych historyków opierających się na materiałach śledztwa IPN – obciążają mordy na ludności białoruskiej, czy kpt. Józefa Kurasia ps. Ogień.

Wszystkie tego typu zarzuty muszą być cierpliwie i starannie badane i wyjaśniane. Jak na razie mamy do czynienia bardziej z propagandą niż z udowodnionymi czynami. Brygada NZW, dowodzona przez kpt. Romualda Rajsa „Burego”, operowała m.in. na terenie zamieszkanym przez prawosławną ludność białoruską. W szeregach NZW, w tym brygadzie, było wielu żołnierzy wyznania prawosławnego, narodowości białoruskiej. Ówczesne podziały nie przebiegały bowiem między wyznaniem i narodowością. Kryterium oceny był stosunek do Polski i jej niepodległości. Tam, gdzie działała agentura NKWD oraz UB i było poparcie dla komuny, tam były represje na większą skalę wobec Polaków niż Białorusinów. Tam, gdzie była choćby neutralność wobec podziemia niepodległościowego, tam żadnych represji nie było. A historia Józefa Kurasia „Ognia” jest jedną z najbardziej zakłamanych historii żołnierzy wyklętych. W celu zohydzenia go komuniści spreparowali nawet jego osobiste zapiski (w kilku wersjach), zwane popularnie „Dziennikami”. Oryginalnej ich wersji jednak do dziś nie odnaleziono, jest bardzo prawdopodobne, że zostały bezpowrotnie zniszczone. Do dziś służą one jako podstawa do oskarżania go, bez odpowiedniej weryfikacji. Tam, gdzie jeszcze można sprawdzić i zweryfikować ówczesne wydarzenia, okazuje się, że miały one inny przebieg niż znany z propagandy. Jak z tym wszystkim walczyć po kilkudziesięciu latach?

Procesy rehabilitacyjne żołnierzy NSZ czy AK toczą się latami. Wyrok peerelowskiego sądu wydany na ptk. Andrzeja Kiszkę ps. Dąb, żołnierza AK i NZW, unieważniony został dopiero w grudniu tego roku, rok po śmierci Kiszki, choć on sam ubiegał się o to od początku lat 90. Z czego to wynika?

Te sprawy to oczywisty skandal, ale są one konsekwencją uznania ciągłości politycznej i prawnej III RP z PRL. Po 1918 r. instytucje prawne II RP nie ciągały po sądach weteranów powstania styczniowego, aby udowadniaли swą niewinność! Jeśli walczyli z carskim wojskiem, likwidowali carskich żandarmów i urzędników, to nie byli zbrodniarzami i buntownikami, choć tak oceniały carskie sądy. W III RP to skazani komunistycznymi wyrokami żołnierze WP i cywili uczestnicy powstania antykomunistycznego musieli udowadniać swą niewinność. Byłem wielokrotnie świadkiem, jak oni lub – jeśli nie przeżyli tamtej epoki – ich rodziny byli upokarzani na salach sądowych. Gdyby III RP uznała tamte wyroki za nieważne z mocy prawa (skoro prokuratury wojskowe i sądy wojskowe nie miały podstaw do zaistnienia i działania), nie byłoby tego typu spraw. A niektóre ciągnęły się nawet ponad 20 lat! I nie wszystkie zostały do dziś zakończone, co wydaje się po prostu absurdem, ale tak jest.

Nie ma pan poczucia dyskomfortu, przejeżdżając w Warszawie ul. Armii Ludowej?

Na tego rodzaju nazewnictwo i szereg – pomniki, tablice – uczulony byłem od zawsze. To zasługa mego śp. ojca, oficera ZWZ-AK i następnie więźnia politycznego. Pamiętam, że od dziecka starał się wszystko mi wyjaśniać, tłumaczyć. Ja tę wiedzę przenosiłem następnie do szkoły, dzieląc się nią z kolegami. Bywały z tego powodu kłopoty, ale można to było przetrzymać. Armia Ludowa, wcześniej Gwardia Ludowa, była agenturalnym narzędziem Związku Sowieckiego służącym zniewoleniu Polski. Dostarczała istotnych informacji o Polskim Państwie Podziemnym, w tym personalnych, a nawet stosowała najbardziej niegodziwe metody, denuncjując polskich niepodległościowców do Gestapo. Były również wspólne akcje funkcjonariuszy AL, NKWD i funkcjonariuszy bezpieczeństwa III Rzeszy Niemieckiej w Warszawie przeciwko polskim organizacjom konspiracyjnym, jak choćby 17 lutego 1944 r. na ul. Pożnańskiej 37 przeciwko Delegaturze Rządu na Kraj. Dzisiaj dysponujemy wystarczającą liczbą dowodów, aby sowieckie formacje „zdekomunizować” nie tylko w przestrzeni publicznej, lecz także w propagowaniu polskiej historii. Niestety, symbioza postkomunistów

z częścią elit solidarnościowych po 1989 r. zaszła tak daleko, że wojenni i powojenni komuniści, niezależnie od swojej haniebnej działalności, zyskali bardzo możnych protektorów. Pamiętam próby podejmowane przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego, aby w stolicy znieść aleję Armii Ludowej. On wiedział, że historia AL w powstaniu warszawskim jest całkowicie zakłamana. Jednak nie tylko nie znalazł wśród swych kolegów z ówczesnej Unii Demokratycznej (Unii Wolności) zrozumienia, ale wręcz spotkał się ze zdecydowanym oporem. Gdy wręczyłem mu trzy tomy dokumentów źródłowych zawartych w książce „Tajne oblicze GL-AL i PPR” w opracowaniu Marka J. Chodakiewicza, Piotra Gontarczyka i moim, cieszył się jak dziecko, myśląc, że pójdzie mu łatwiej. Nic z tego, w dodatku zrozumiał, że nie o prawdę w tym wszystkim chodzi. Stwierdził, że formacja budująca III RP w znacznym stopniu wywodzi się z komunistycznych „elit” i nie pozwolił ona wyrwać sobie spod nóg swego fundamentu ideowo-politycznego.

Pytam, bo zdaniem obecnego prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego Armia Ludowa „wykrwawiała się” w boju o wyzwolenie Warszawy...

AL w powstaniu warszawskim nawet w świetle jej własnych dokumentów chluby Warszawie nie przynosi, wprost przeciwnie. Miażdżąca jest również ocena tej formacji dokonana przez dowódcę powstania, gen. Antoniego Chruściela „Montera”, z 1 października 1944 r., gdy działania zbrojne jeszcze trwały.

Mamy tu do czynienia z ewidentnie złą wolą i jednocześnie bezgraniczną ignorancją obecnego prezydenta Warszawy i szerzej: jego zaplecza politycznego. Zła wola polega na tym, że gdyby to np. PiS forsował utrzymanie komunistycznego nazewnictwa i związanej z tym symboliki, to PO byłaby natychmiast przeciw...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Leszek Żebrowski – ekonomista, autor książek historycznych, publicysta historyczny, działacz społeczny.

Jego ojciec brał udział w kampanii wrześniowej, był oficerem ZWZ i AK, był więziony w okresie stalinowskim.



Podczas Wigilii bez Granic polskie rodziny zapraszają do siebie cudzoziemców pracujących i mieszkających w Polsce. FOT. INSTYTUT MYŚLI SCHUMANA

TOMASZ CUKIERNIK: Co to jest Wigilia bez Granic?

PROF. ZBIGNIEW KRYSIAK: Parady Schumana zdeformowały wiedzę o Robertcie Schumanie, a nasz Instytut Myśli Schumana działa w kierunku tego, by pokazać prawdziwego Schumana, jego wartość i potencjał do tego, by powrócić do jego idei Europy. W związku z tym realizujemy takie dzieła jak Wigilia bez Granic, w ramach którego pokazujemy istotę budowania relacji. Polega to na tym, że polskie rodziny zapraszają do swojego domu na Wigilię cudzoziemców mieszkających i pracujących w Polsce. To tworzy bardzo dobry wizerunek Polski. Pokazuje osobom praktycznie z całego świata naszą tradycję, historię, ale także naszą wiarę i źródła chrześcijańskie. A na tym zależało Schuma-



Z prof. Zbigniewem Krysiakiem,
prezesem Instytutu Myśli Schumana
rozmawia Tomasz Cukiernik

Schuman zdradzony



nowi. W ten sposób możemy budować właściwy model integracji cudzoziemców w kraju. Na przykład we Francji czy w Niemczech są to getta, które już dzisiaj eksplodują, i konsekwencje istnienia takich miejsc będą przerażające. Już teraz przeradzają się w bardzo agresywne strefy no-go. Francuzi czy Niemcy nie wyciągają do imigrantów ręki, żeby budować relacje, aby imigranci zaczęli utożsamiać się z krajem pobytu. To jest zadanie nie tylko instytutu, lecz także całego rządu, samorządów, szkół i uniwersytetów. W ten sposób wracamy do I Rzeczypospolitej, kiedy przez niemal 400 lat istniała wspólnota narodów. To ma prowadzić do długoterminowego celu, żeby cudzoziemcy mieszkający, pracujący lub studiujący w Polsce poczuli się Polakami. Przyszłość Europy

i świata jest taka, że nieunikniona jest konwergencja, tzn. przemieszczanie się ludzi, skala migracji jest coraz większa. Trzeba pracować nad tym, by działało się to w sposób cywilizowany. Muzułmanie komentują, że mają respekt dla Polaków, bo tutaj znajdują wiarę w Boga.

Jaka była idea Schumana?

Schuman, prawnik, znakomity finansista, premier, minister spraw zagranicznych i minister finansów Francji, teraz wynoszony na ołtarze, rozwinął koncepcję Jedność-Solidarność-Pokój. Po pojednaniu się Francji z Niemcami jako wyraz solidarności powołano Wspólnotę Węgla i Stali. Szerszym wymiarem była Europejska Wspólnota Gospodarcza, którą Schuman tworzył w 1957 r., wykorzystując

traktaty rzymskie. W dalszym etapie wspólnota miała obejmować coraz to nowsze obszary społeczne. Od początku jednak ideą Schumana i praktyką, którą realizował, było tworzenie wspólnoty narodów Europy.

Na czym ona polegała?

Była to wspólnota ducha wyrastająca z korzeni chrześcijańskich. Jednocześnie w ramach poszczególnych wspólnot narodowych Schuman mówił o nowej koncepcji społecznej, w której są dwa autorytety, dwie władze: duchowna i cywilna, które mają ze sobą współpracować. Mówił, że żadna z tych władz nie powinna stać nad człowiekiem, czyli rządzić nim, lecz obie mają mu służyć. Tak jak Jezus pokazuje, że jest Panem przez służbę. W tej koncepcji nie ma miejsca na oddzielenie państwa od Kościoła, czyli to, co mamy w tej chwili w różnych systemach, nawet w Polsce. Według koncepcji Schumana to jest nielogiczne, bo człowiek to jedność duszy z ciałem. Co więcej, Schuman mówił o demokracji jako o demokracji chrześcijańskiej. Twierdził, że demokracja albo będzie chrześcijańska, albo nie będzie jej wcale.

Czy powstanie Unii Europejskiej mieści się w koncepcji Schumana?

W jego słowniku nie było czegoś takiego jak Unia Europejska w kontekście unifikacji, gdyż jest to kierunek superpaństwa, a Schuman w jednej z wypowiedzi zadeklarował, że „nie chcemy superpaństwa”. Uważał bowiem, że superpaństwo to uniform, który redukuje i niszczy różnorodność i tożsamość narodów, a jednocześnie tę wartość, która może być wkładem danego narodu do europejskiej wspólnoty. Tymczasem ustalenie nazwy „Unia Europejska”, oraz zapisy w traktacie z Maastricht wskazują, że było to dążenie włoskiego komunisty Altiera Spinello i innych do realizacji superpaństwa. To będzie tą piętą achillesową, czynnikiem, który doprowadzi do poważnych problemów. Schuman przestrzegał przed tym, mówiąc, że najważniejsze są nie instytucje, nie ekonomia, tylko fundament wspólnotowych relacji.

To dążenie do superpaństwa manifestuje się też przez to, że dominują aspekty ekonomiczne. Coraz rzadziej widać solidarność, a wręcz jej nie ma, bo jest dominacja Niemiec i Francji skupiająca

■ się głównie na gospodarce i ich własnych interesach. Od strony gospodarczej Schuman widział cały obszar europejski, który staje się kooperującym ze sobą układem przedsiębiorstw, oczywiście na zasadach wolności gospodarczej, ale też solidarności gospodarczej. Dążenie do superpaństwa jest systemem znanym nam z komunizmu, czyli systemem podporządkowania oraz narzucania, pewnej dominacji jednych nad drugimi i z tym mamy do czynienia z powodu odejścia od koncepcji Schumana.

Czym różni się porzucona koncepcja Europy Schumana od de facto realizowanej obecnie koncepcji Spinellogo?

Chociaż Spinelli umarł w 1986 r., to traktat z Maastricht jest dziełem jego i jego apostołów. To komunista jeszcze bardziej agresywny niż Lenin czy Marks. Już na początku mówił, że chrześcijaństwo jest przeszkodą na drodze do realizacji superpaństwa, które można porównać do Związku Sowieckiego, gdzie funkcjonował Komitet Centralny. W ZSRS komunizm wyrastał z feudalizmu, w przypadku zaś Zachodu lewica wyrosła z buntu przeciwko kapitalizmowi. Praca Spinellogo skutkowałą pojawieniem się lewicowych ideologii, które ujawniły się w przejmowaniu przez lewicowych posiadaczy kapitału różnych biznesów. Co paradoksalne, mamy do czynienia z kapitalistyczną lewicą.

Spinelli działał podobnie do Lenina – tworzył wroga, a wrogiem było chrześcijaństwo, które nie pozwala na zabijanie dzieci, nie dopuszcza par homoseksualnych. Pisał wprost, że w procesie realizacji superpaństwa dopuszczalne jest nawet tłumienie rozruchów w poszczególnych krajach, a w przypadku, gdy lokalna policja lub wojsko nie będą w stanie załatwić tych spraw, będzie używana wspólna policja czy armia „europejska”.

Po wojnie Spinelli widział, że w trybie rewolucyjnym nie dojdzie do zwycięstwa komunizmu w Europie Zachodniej, bo ruchy komunistyczne i strajki były tłumione.

Koncepcja Spinellogo polega na „pokojoym” tworzeniu „Związku Sowieckiego” z superwładzą w Brukseli, na przejściu władzy poprzez siłę kapitałową, ale nie w procesach walki zbrojnej, rewolucyjnej, tylko ewolucyjnej, bardziej jednak niebezpiecznej,

co widzimy z perspektywy tego, że w Brukseli jest ok. 16 tys. różnych firm lobbujących na rzecz interesów kapitałowych. Sama Rosja podobno wydaje 4 mld dol. na lobbings wokół Brukseli. Widać, co robi Soros – wydaje kilkadziesiąt miliardów na różne programy. Wokół praw człowieka jest cała masa ludzi Sorosa, finansowanych przez kapitał będący w rękach lewicowych, których nazwałbym apostołami Spinellogo. W obecnej sytuacji mamy do czynienia z czymś, co jest świadomym działaniem. Juncker kłania się Marksowi, co pokazuje, że jest jasny kierunek realizacji określonej ideologii. Nie można być naiwnym i wierzyć w to,

Przekształcanie Unii Europejskiej w model superpaństwa jest gorsze niż ZSRS

że z eurokratami można prowadzić dialog na temat najlepszych rozwiązań, bo po drugiej stronie stoi ktoś, kto ma zaplanowany kierunek działania i realizacji ideologicznych celów Altiera Spinellogo.

Jak i kiedy siły jednoczące Europę porzuciły chrześcijańską wizję Schumana na rzecz komunistycznej wizji Spinellogo?

To działo się od końca lat 70., kiedy mówiło się o rewolucji moralnej, seksualnej, o buntach młodzieży, o różnych przełomowych elementach, które wynikały z tego, że Europa w miarę powoli się odrestaurowała, skończyła się pamięć o trudach i pojawiła się większa otwartość ludzi na mniejsze czy większe egoizmy i próżności cywilizacyjne. W tym momencie pojawiła się aktywność ludzi Spinellogo. Pod tą zastoną dymną Spinelli budował całą swoją sieć przyszłych biurokratów w Brukseli. I już w 1978 r. przygotował konstytucję. Chciał stworzyć państwo europejskie, żeby powstał pewien przymus prawny, który by tworzył mechanizmy do dalszej eskalacji układu państwa. Pomysł się nie udał – wtedy konstytucja została odrzucona, ale poszedł w kierunku traktatu z Maastricht. Jednocześnie do chadecji przeniknęło wielu ludzi, którzy tylko z nazwy byli chadekami.

Czy UE to jest taki współczesny ZSRS?

Obecna sytuacja jest zdecydowanie groźniejsza, bo stosowane są znacznie bardziej wyrafinowane metody działania, które jednocześnie są bardzo agresywne. Przekształcanie UE w model superpaństwa jest gorsze niż ZSRS. Zarówno w Związku Sowieckim, jak i w Polsce władza była utrzymywana siłą, a życie ludzi i ich działania były związane z tęsknotą, żeby wyjść z takiego systemu. Tamten system był jaśniejszy, bo było wiadomo, kto jest po której stronie barykady. W modelu superpaństwa UE mamy eliminację identyfikacji narodowej, tworzenie uniformu, likwidację patriotyzmu i chrześcijaństwa. Trybunał Sprawiedliwości UE nie został wprowadzony, żeby sprawiedliwie sądzić, lecz jest instrumentem realizacji traktatu z Maastricht. To tak jak sądy za PRL pracowały na rzecz określonej ideologii. Schuman podkreślał, że nie możemy stać obojętni, musimy się sprzeciwić ze względu na odpowiedzialność wobec naszych dzieci i duszy naszego narodu.

Czy jest szansa, by UE zawróciła z drogi Spinellogo i weszła z powrotem na drogę Schumana?

Instytut Myśli Schumana proponuje stworzenie frakcji Schumana w PE. Żeby zmieniać funkcjonowanie tych instytucji w Europie i zawrócić do Schumana, trzeba mieć wpływ na kształtowanie przepisów i obsadę władz w instytucjach w Brukseli. Wraz z pewną grupą europosłów z Holandii, Francji, Chorwacji i Węgier odbyliśmy już pierwsze spotkania, podczas których dyskutowano na ten temat. Chodzi o to, że w niektórych frakcjach są osoby, które hołdują ideom Schumana. Naliczyliśmy ok. 250 takich osób. Gdyby do tego doprowadzić, to grupa Schumana byłaby największą frakcją w PE. UE trzeba zmieniać w kierunku wspólnoty narodów poprzez naśladowanie Schumana, a nie uciekać od tematu poprzez wyjście z niej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Zbigniew Krysiak – prezes Instytutu Myśli Schumana, ekonomista ze Szkoły Głównej Handlowej.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polski prezydent USA

13 maja 1981 r. na placu Świętego Piotra w Rzymie turecki zamachowiec Ali Ağca otworzył ogień w stronę Jana Pawła II. Jedna z kul zraniła polskiego papieża w brzuch, inna w rękę. Ciężko ranny Ojciec Święty przeszedł skomplikowaną operację. Na całe szczęście przeżył.

Nieco wcześniej – bo 30 marca 1981 r. – doszło do podobnego zamachu w Waszyngtonie. Wówczas ogień otworzył amerykański zamachowiec John Hinckley. Jego celem był prezydent Ronald Reagan. Kula utkwiała w klatce piersiowej przywódcy USA. Całe szczęście lekarzom udało się uratować jego życie.

To niejedyna zaskakująca zbieżność w biografiach tych dwóch wielkich ludzi XX w. Jak pisze w swojej ciekawej książce Paul Kengor, polski papież i amerykański prezydent byli do siebie niezwykle podobni. A co najważniejsze, łączył ich wspólny cel – dążenie do obalenia bezbożnego systemu komunistycznego.

Polskich czytelników książki Kengora z pewnością najbardziej zainteresują jej obszerne fragmenty dotyczące naszego kraju. Okazuje się, że Ronald Reagan miał wielką słabość do Polski. Nakazał potajemnie przekazywać pomoc dla solidarnościowego

podziemia, wielokrotnie wyrażał poparcie dla polskich „bojowników o wolność”.

W kwietniu 1981 r. – dochodząc do siebie po zamachu – Reagan intensywnie przygotowywał się do obchodów... 190. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja! Z tej okazji prezydent wydał nawet do Polaków specjalną proklamację.

„Amerykanie mają dług wdzięczności wobec Polaków i nigdy nie zapomną mężnego narodu polskiego i jego bohaterskiej walki. Nikt nie zdoła złamać ducha narodu polskiego” – mówił z kolei po wprowadzeniu stanu wojennego.

Regan mówił o Polakach tak często – pisze Kengor – że postronny obserwator mógłby pomyśleć, że sam prezydent jest z pochodzenia Polakiem. Kreml też tak czuł. »Można odnieść wrażenie, że niebawem Reagan zacznie mówić płynnie po polsku!« – poskarżył się autor artykułu w »Izwiestijach«. Publiczne poparcie prezydenta dla Polaki napawało otuchą polskie

serca od Gdańska po Watykan. Czyż można się dziwić, że Karol Wojtyła i Reagan zadziergnęli takie więzi?”

Ależ świat się zmienił przez ostatnie kilka dekad! Trudno się spodziewać, żeby podobna przyjaźń mogła zawiązać się między Donaldem Trumpem a Franciszkiem. ©©



★★★★★
PAUL KENGOR
„PAPIEŻ
I PREZYDENT”
BELLONA 2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kabaret i ekran

Gwiazdy filmu okresu międzywojennego wywodziły się najczęściej ze sceny dramatycznej lub z zespołów kabaretowych. Niestety, ówczesni filmowcy nie zawsze potrafili znaleźć dla nich odpowiednie role przed kamerą i szczególnie początki bywały trudne. Juliusz Gardan, realizując komedię „10% dla mnie” (premiera

dwa razy. W tym samym roku na ekranach pojawiła się komedia „Co mój mąż robi w nocy”, gdzie wreszcie gwiazda Mankiewiczówny zabłysła pełnym blaskiem. A piosenka „Odrobinę szczęścia w miłości” do dzisiaj nie straciła swojego uroku. Co więcej, zna ją chyba każdy Polak. Później kolejne udane filmy i pani Tola do dzisiaj uważana jest za jedną z największych gwiazd polskiego kina. Nie miała tego szczęścia Zula Pogorzelska, albowiem reżyserzy i producenci nie potrafili właściwie wykorzystać jej talentu.

Pojawiła się w kilku obrazach, ale właściwie tylko w „Bezimiennych bohaterach” dostała odpowiednią dla siebie rolę. W innych produkcjach była źle obsadzana, „ucharakteryzowana znów na czupiradło”, bez żadnej sensownej kwestii do wypowiedzenia. Krytycy rwali sobie włosy z głów, pytając, dlaczego „Pogorzelska gra zawsze same kruchty i koczkodany?”. W efekcie zmarnowano jej filmowe możliwości i właściwie trudno obecnie wyobrazić sobie, jakim była zjawiskiem.

Podobnie zresztą stało się z Hanką Ordonówną. Wprawdzie miała na swoim koncie bardzo udane filmowe piosenki, jednak niewielkie możliwości ówczesnej techniki oraz dziwne zabiegi producentów spowodowały, że na ekranie nigdy nie oddano jej osobowości. Pozostają zatem tylko opinie świadków, ludzi, którzy na własne oczy widzieli gwiazdy naszej estrady i osobiście widzieli reakcje publiczności... ©©

Piosenka „Odrobinę szczęścia w miłości” do dzisiaj nie straciła swojego uroku

7 stycznia 1933 r.), w roli byłej śpiewaczki operowej Zosi Grzybkówny obsadził Tolę Mankiewiczównę. Był to jej debiut filmowy, który okazał się całkiem udany, szczególnie że przed kamerą zaśpiewała dwa szlagiery. Gorzej było natomiast z drugim filmem, Michał Waszyński obsadził bowiem Mankiewiczównę w roli dyrygentki w „Paradzie rezerwistów”, a co gorsza – nie przeznaczył dla niej żadnej piosenki. Na domiar złego „w zbliżeniach oszpecono ją tak, jak tylko nasi operatorzy potrafią”. Film zaginął i nie można się przekonać, czy krytycy mieli rację, ale na zachowanych fotosach Mankiewiczówna w mundurze prezentuje się faktycznie koszmarnie...

Recenzje były jednak ogólnie dość pozytywne, a Waszyński był zbyt doświadczonym reżyserem, aby popełniać ten sam błąd

Ukraińska wyszywanka



Wystawa „Ukraina i Polska – sto lat sąsiedztwa” na kijowskim Kreszczatiku FOT. PIOTR SEMKA

Stawianie pomników Stepanowi Banderze, idealizowanie UPA, niechęć do uznania masakr na Wołyniu za ludobójstwo i spory wokół Cmentarza Orłąt – te kwestie budzą największy niepokój w Polsce, gdy pojawia się temat ukraińskiej polityki historycznej.

Jednak aby wyjaśnić, jak skomplikowana, pełna improwizacji oraz sprzeczności jest dzisiaj oficjalna pamięć Ukrainy, trzeba do jej opisu znacznie więcej światłocieni.

W czasie niedawnej wizyty w Kijowie odwiedziłem trzy różne wystawy. Każda z nich pokazywała jakiś trend w świadomości zbiorowej Ukraińców. I pokazuje, jak różnorodne są wizje Polski i Polaków w oczach naszych sąsiadów.

KRESZCHATIK, CZYLI „WIĘCEJ ŁĄCZY, NIŻ DZIELI”

„Ukraina i Polska – sto lat sąsiedztwa” – tak nazywa się plenerowa wystawa prezentowana na rogu Kreszczatika i Majdanu Niezależności.

To najbardziej ruchliwy trakt spacerowo-zakupowy Kijowa – coś jak warszawska Marszałkowska skrzyżowana z Krakowskim Przedmieściem. Na czele



Piotr Semka

Polityka historyczna Ukrainy jest pełna sprzeczności. To poszukiwanie po omacku jakiegoś historycznego konsensusu z Polską przy jednoczesnym wybielaniu UPA. To budzi z jednej strony nadzieję, z drugiej strony – sprzeciw

zespołu opracowującego ekspozycję stanął Wołodmyr Wjatrowycz, szef ukraińskiego IPN. Wystawę otwierał z kolei Pawło Rozenko, wicepremier Ukrainy. Plakat ekspozycji na stronie IPN pokazywał Józefa Piłsudskiego i Symona Petlurę salutujących razem swoim żołnierzom z okien pociągu. „O wiele więcej Polaków i Ukraińców zawsze łączyło, niż dzieliło” – podkreślał na otwarciu ekspozycji wicepremier Rozenko.

„Ta wystawa [...] pokazuje, jak w wielu przypadkach procesy historyczne na Ukrainie i w Polsce były równoległe w ciągu ostatnich stu lat. I sprawia, że możemy się zadumać nad tym, czym powinny być w przyszłości. Zostawmy naszą przeszłość historykom i starajmy się budować nasze

relacje na tym, co może przynieść maksymalne korzyści naszym narodom w dzisiejszych czasach” – te słowa ukraińskiego wicepremiera definiowały polityczne przesłanie rządu w Kijowie.

Na 20 dużych, półtorametrowych tablicach porównywano losy obu narodów w XX w. Dlaczego tylko sto lat? W tym samym 1918 r. Ukraińcy i Polacy proklamowali niepodległość własnego państwa (nasi sąsiedzi nawet dwukrotnie: w Kijowie 22 stycznia i we Lwowie 1 listopada tegoż roku).

Z tykadami o chęci porozumienia z Warszawą kontrastował brak polskich dyplomatów i gości z Warszawy. Stosunki Instytutu Pamięci Narodowej w Kijowie ze

swym odpowiednikiem w Warszawie są zamrożone od stycznia 2018 r., od chwili przegłosowania ustawy o IPN. Wołodymyr Wjatrowycz stawia sprawę jasno: „Do czasu zmiany ustawy o IPN w wątku ukraińskim współpraca w ogóle nie jest możliwa”. Ekspozycja mająca być ukłonem wobec Polski mimo zamrożenia dialogu historyków obu państw? Dziwne, ale tak właśnie jest.

Wystawa dla widza z Polski ma jedną zaletę – pokazuje w skondensowanej formie myślenie ukraińskich historyków o Polsce w ostatnich stu latach. Pierwsze sześć rozdziałów ekspozycji może budzić u widza z Polski zainteresowanie.

Ukraińscy autorzy ciekawie tłumaczą, jak w różny sposób w XIX w. obie nacje patrzyły na cele narodowego odrodzenia. Według nich Polacy chcieli przywrócenia państwa rozdartego przez zaborców w granicach z 1772 r. Ukraińcy bardziej myśleli w kategorii emancypacji etnosu – jego przyszłe granice wyznaczać miały tereny zamieszkane przez lud ukraiński. A te autorzy zakreślają daleko na zachód – po Chełmszczyznę i Podlasie. Wystawa pomija wspólną, przedrozbiorową Rzeczpospolitą jako pozytywny punkt odniesienia. Co nie znaczy, że w tekstach komentarzy nie można zauważyć ukraińskiej zazdrości wobec silnej polskiej tradycji własnego państwa. Wystawa przypomina, jak w XIX w. Polacy nie dawali o swoim losie zapomnieć Europie. Najpierw walcząc u boku Napoleona, potem tworząc Księstwo Warszawskie, Królestwo Kongresowe i wreszcie wywołując powstania w latach 1831 i 1863. Ukraińcy byli w o wiele gorszej sytuacji. Należeli do narodów „spóźnionych” w rozwoju narodowych aspiracji. Nie mogli nawiązać do żadnej tradycji własnego państwa, z wyjątkiem księstwa halickiego z wieków XIII i XIV oraz wspólnot kozackich. A carska Rosja negowała istnienie osobnego narodu ukraińskiego, uznając ludność tych ziem za „Małorosjan”.

Widz z Polski łatwo zauważy w tym wiodzie pewien rys zazdrości: w I wojnie światowej Polacy mieli własnych wyższych oficerów, legiony i wpływy po obu stronach walczących koalicji. A Ukraińcy mogli liczyć tylko na Wiedeń, nie mieli zbyt wielu wykształconych oficerów, a Zachód nic nie wiedział o ich aspiracjach. Trafne są porównania między polskimi legionami u boku Austrii a galicyjskimi legionami Strzelców Siczowych z lat 1914–1918. Bardziej bulwersuje porównywanie bojowej frakcji PPS z UW i OUN. Autorzy wystawy

zdają się wskazywać Polakom: skoro wasi rewolucjoniści od Piłsudskiego w imię postulatów niepodległości dokonywali zamachów na carskich urzędników i rabowali pociągi z carskimi pieniędzmi – to nie oburzajcie się na UW i OUN, dokonujące zamachów na polskich urzędników i polityków w II RP.

Ukłonem dla idei bliskich więzi między oboma narodami są opowieści o różnych identyfikacjach narodowych w obrębie tych samych rodzin. Z sześciorga dzieci Jana Kantego i Zofii Szeptyckich jeden z synów, Andrzej, został metropolitą grekokatolickim, a inny, Stanisław, polskim generałem i ministrem spraw wojskowych w II RP. Inny przykład takich wyborów narodowych to losy Anny Walentynowicz (z domu Lubczyk). Według historyków IPN przyrodni brat po stronie matki, Andrej, za udział w konspiracji UPA miał zostać skazany przez sowiecki sąd na 15 lat Syberii.

NIEZNANA WOJNA, DOMNIEMANY SOJUSZ

Znacznie więcej zastrzeżeń polski widz musi mieć do kolejnych ośmiu części wystawy, które tłumaczą konflikty z lat 1918–1947. Irytują zupełnie ahistoryczne porównania – deklaratywne prawa dla mniejszości (w tym polskiej) w krótkotrwałych państwach ukraińskich z lat 1917–1920 i na zasadzie kontrastu brak autonomii i ucisku wobec Ukraińców w II RP. Polsce wypomina się pacyfikację wsi ukraińskich i burzenie cerkwi, przy jednoczesnym unikaniu informacji o eskalacji terroru UW i OUN w latach 20. i 30.

Trudno też przyjąć stosunkowo nową tezę ukraińskiego IPN o wojnie polsko-ukraińskiej z lat 1942–1947. Wojnie rozpoczętej według autorów ekspozycji atakami AK na wsie ukraińskie w 1942 r., co miało spowodować odwet UPA na Wołyniu i co znalazło finał w akcji „Wisła”. Raz ukraińscy historycy na wystawie uznają akcję „Wisła” za zbrodnię komunistyczną, innym razem włączają ją do sumy walk polsko-ukraińskich.

Obowiązuje garnirowany ubolewaniem dogmat o symetryzmie zbrodni – Polacy palili wsie ukraińskie, Ukraińcy palili wsie polskie. Obie strony miały swoje zbrodnie, z czego skorzystali naziści i komuniści. Nie ma nic o kolaboracji Ukraińców z III Rzeszą.

Na zasadzie kontrastu wojnie polsko-ukraińskiej z lat 1918–1919 oraz konfliktom z lat 1942–1944 przeciwstawione jest współdziałanie Symona Petlury

i Józefa Piłsudskiego w 1920 r. i taktyczna współpraca AK i UP z lat 1945–1946. Tej ostatniej poświęcono osobną tablicę pod nazwą „Sojusznicy”.

Morał tych wywodów można streścić tak – gdyby tylko Polacy w 1918 r. i w latach II wojny uznali tereny zamieszkane przez Ukraińców za bazę ich państwa, to razem zwalczylibyśmy bolszewizm, a potem nazizm.

Ostatnie sześć rozdziałów wystawy przypomina podobieństwa losów obu narodów jako ofiar III Rzeszy i ZSRS oraz przykładów współpracy antykomunistów z obu narodów. Ukraińcy jako ofiary wielkiego głodu z lat 1932–1933, wielkiego terroru lat 1936–1939 i zsyłek z lat 1939–1941, a z drugiej strony polskie ofiary operacji polskiej NKWD z 1937 r. i deportacji w głąb Sowietów po 17 września 1939 r.

Masakry Ukraińców z lat wielkiej czystki i masakra w Katyniu. Polacy i Ukraińcy jako ofiary hitlerowskiego terroru, a potem komunistycznej bezpieki. W charakterze paraleli zderzono dwie symboliczne postacie: Witolda Pileckiego i Wiry Franki – wnuczki ukraińskiego poety Iwana Franki – ofiar katowni gestapo i sowieckich łagrów. Podobny los dzielą też Polacy, którzy musieli w 1945 r. opuścić rodzinny Lwów, i Ukraińcy z Bieszczad wywożeni na sowiecką stronę lub do zachodniej Polski. Kolejne tablice to następne duety – emigracyjny zwolennik pojednania polsko-ukraińskiego Bohdan Osadczuk i Jerzy Giedroyc, ukraiński Ruch i polska Solidarność. W Polsce to tematy dość znane, ale w Kijowie nie. A uliczna wystawa dociera do wszystkich, nie tylko do tych, którzy odwiedzają muzea.

Gdy wydaje się już, że wystawa zmierzza ku jakiemuś polubownemu zakończeniu – ostatnia plansza jednostronnie opisuje schłodzenie dialogu z ostatnich dwóch lat. I znów irytujące uproszczenia. Mamy tu nostalgiczne wspomnienie dobrej epoki dialogu historycznego prezydentów Aleksandra Kwaśniewskiego i Leonida Kuczmy, tezę o fatalnym wpływie Kresowian na usztywnienie stanowiska Polski i wzmianka o filmie „Wołyń” jako „produkcji instrumentalnie utrwalającej w zbiorowej świadomości Polaków negatywne stereotypy na temat Ukraińców”.

Wszystko to opatrzone komentarzem, by przyjąć po obu stronach zasadę „przebaczymy i o przebaczenie prosimy” i by

„dbać o to, by historia nie utrudniała wspólnej przyszłości”.

HEROIZACJA UPOWCÓW, HOŁD DLA VINCENZA

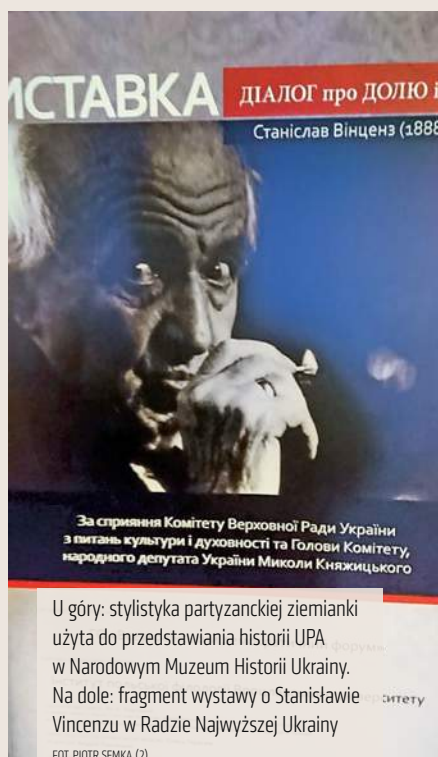
O ile wystawa „Sto lat sąsiedztwa” próbuje zmagać się z niektórymi problemami wzajemnego sąsiedztwa, o tyle ekspozycja „UPA – bojownicy o państwo ukraińskie” w Narodowym Muzeum Historii Ukrainy przypomina szkolną czytanke. Wymienia kolejnych komendantów UPA, jej strukturę i w 90 proc. skupia się na latach 1944–1950, walkach upowców z NKWD na Lwowszczyźnie i Zakarpaciu. O masakrach Polaków na Wołyniu i walkach z AK ani słowa. Ekspонатów niewiele – zdobywcze pepesze, powielacze, maszyny do pisania, gazetki upowskie, modele ziemianek i kryjówek. Plakaty podziemne, ulotki i zardzewiałe bańki na mleko wykopane po latach z archiwum oddziałów. Prezentowane ulotki i karykatury przedstawiają jako wrogów tylko Stalina i Hitlera. Ulotek antypolskich nie widać.

W tym samym czasie w gmachu Rady Najwyższej Ukrainy, w przedsionku sali plenarnej, wystawa „Dialog o duszy i losie” o życiu i twórczości Stanisława Vincenza (1888–1971) – polskiego pisarza, humanisty, piewcy Huculszczyzny – z okazji 130. rocznicy jego urodzin. Piękne fotogramy Hucułów z lat 30., cytaty z dzieł Vincenza i wydarzenia z jego życia. Wystawę przygotowały wspólnie Komisja Kultury Rady Najwyższej Ukrainy, fundacja DemForum i Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Dobrym duchem wystawy był Mykoła Kniażycy – deputowany z Frontu Narodowego, partii prezydenta Petra Poroszenki. Wystawa ma ruszyć w trasę po całej Ukrainie i w końcu trafić do Słobody Rungurskiej – miejsca narodzin Vincenza.

POSZUKIWANIA PO OMACKU

Trzy wystawy – dwie szukające jakiegoś historycznego modus vivendi z Polską; trzecia o UPA, uciekająca od wątków polskich na rzecz gloryfikacji powojennej walki z Sowietami.

Po ich obejrzeniu można pojąć, jak arbitralna i utylitarna jest ukraińska polityka pamięci. Ma swoją gradację potrzeb. Najpierw szuka wzorców bohaterów walki z Rosją Putina dla armii i społeczeństwa Ukrainy, dopiero potem szuka jakiegoś dialogu z Polską, a wreszcie – ale dopiero na trzeciej pozycji – nie potrafi się wyzbyć resentymentów z lat II RP.



Pozytywem wystawy jest to, że mówi sporo o sowieckich zbrodniach wobec Polaków, np. Operacji Polskiej NKWD. Ale przesadnie podkreśla ona podobieństwo losów narodów niby »okupowanych przez Cesarstwo Rosyjskie« albo niby podjuszonych przez ZSRR i Niemcy do »symetrycznych« mordów”. Adamski wskazał, że twórcy wystawy, chociaż starali się odejść od nacjonalistycznej wykładni historii Ukrainy w stylu „hard”, wyłożyli ją z punktu widzenia umiarkowanego nacjonalizmu. „Doceniam postępek, ale jako historyk mógłbym napisać obszerną polemikę z wieloma tezami »tradycyjnego schematu ukraińskiej historii«”.

To poszukiwanie po omacku jakiegoś historycznego consensusu z Polską budzi mieszane uczucia – z jednej strony nadzieję, z drugiej strony irytację i sprzeciw. Dopiero po powrocie do Polski znalazłem w sieci opinie lwowskich narodowców, krytykujących otwarcie wystawy 1 listopada, czyli w setną rocznicę wybuchu walk polsko-ukraińskich w 1918 r. „Dlaczego w Kijowie nie otwarto tego dnia ekspozycji o lwowskim »Listopadowym czynie« Strzelców Siczowych?” – pytano na forach dyskusyjnych. „Dlaczego symbolem ekspozycji było zdjęcie Piłsudskiego i Petlury – tego samego polityka, który zdradził Ukraińców z Galicji za cenę polskiej pomocy w zdobyciu Kijowa?”

Polacy z kolei wygumkowują zbrodni UPA nie rozumieją i nie zaakceptują. I nie są sami. Ogłoszenie roku 2019 rokiem Stepana Bandery z okazji 110-lecia jego urodzin przez obwód lwowski już wywołało protesty ambasadora Izraela na Ukrainie i Światowego Kongresu Żydów.

Na razie warto interesować się, jak Ukraińcy myślą, jak próbują kleić swoją zbiorową świadomość i dlaczego robią to tak, a nie inaczej. I dyskutować już na naszym podwórku, co w ich myśleniu możemy zaakceptować, a czego nie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

„UKRAINA I POLSKA – STO LAT SĄSIEDZTWA” – plenerowa wystawa w Kijowie czynna była do 31 grudnia 2018 r.

„BOJOWNICY ZA PAŃSTWO UKRAIŃSKIE” – czasowa wystawa o dziejach UPA w setną rocznicę urodzin Romana Szuchewycza do obejrzenia jest w Narodowym Muzeum Historii Ukrainy w Kijowie.

„DIALOG O DUSZY I LOSIE” – wystawa o życiu Stanisława Vincenza będzie ekspozowana w kolejnych miastach Ukrainy.



Księga VII „Rada”. Ilustracja do „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza z publikacji jubileuszowej. H. Francka Synowie 1934. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Jacek Komuda

Ostatni zajazd na Litwie opisany w „Panu Tadeuszu” pokazuje z historyczną dokładnością przebieg szlacheckiego napadu na włości znienawidzonego wroga

Adam Mickiewicz, poeta i – co gorzsza – romantyk, doskonale oddaje atmosferę zbrojnego konfliktu dwóch panów braci. Rozpoczyna się od tak błahej przyczyny jak spór o ruiny zamku, po którym następują zwołanie pospolitego ruszenia januszów „szaraczków” z zaścianku w Dobrzyniu, zdobycie Soplicowa, wreszcie pijaństwo i uwolnienie więźniów. Poza końcową interwencją „bratniej” armii rosyjskiej podobny przebieg miały zajazdy na Litwie i w Koronie, zarówno na dalekiej Ukrainie, jak i na swojskich Kujawach.

DŁUGIE ŚCIEŻKI WOŹNYCH

Zajazd był w prawie staropolskim formą wykonania wyroku, polegającą na zajęciu siłą przez stronę wygraną dóbr ziemskich lub nieruchomości: folwarków, wiosek, dworów, miasteczek, pól, lasów, stawów, budynków gospodarczych, takich jak browary, kuźnie czy zwykłe domy. Zgodnie z prawem wykonywali je starostowie grodowi lub ich urzędnicy. W praktyce rzadko kto się do nich odwoływał. Niemal wszystkie zajazdy, których dokumentacja zachowała się w księgach sądowych, określić należy jako nielegalne – wykonywane albo bez podstawy prawnej, albo zaraz po uzyskaniu dekretu sądowego, ale bez udziału starosty. Tymczasem zajazd bez wyroku karany był banicją lub infamią, surowo zakazany przez konstytucje sejmowe z lat 1685 i 1768.

Cóż jednak z tego, skoro procedura odzyskania nieruchomości zasądzonych wyrokiem była przewlekła? Najpierw sąd ogłaszał dekret intromisji – czyli przyznania spornych dóbr stronie wygrywającej proces. Jeśli intromisja, nawet wielokrotnie, nie skutkowała, to zasądzano rumację – zapowiedź usunięcia przegranych za pomocą siły. Jednak nie był to jeszcze koniec. W przypadku oporu trzecim stopniem postępowania sądowego była banicja – rozumiana jako wypędzenie z dóbr.

Zajazdy: z dekretem i szablą na sąsiada

■ Dopiero jeśli nie odniosła skutku, sąd ogłaszał egzekucję.

Procedury trwały długo – wszak każdy kolejny dekret był „wydreptany” przez woźnego, który musiał doręczyć je skazanym i przy okazji był narażony na przykre konsekwencje swej pracy. „Na intromisję – pisze Władysław Łoziński – udawał się woźny ze swoimi dwoma szlacheckimi asystentami i oczywiście powracał z kwitkiem, bo zasądzony się wzbraniał”. Często dochodziło do awantur i bójek. Kiedy w 1670 r. niejaki Zaklika chciał „intromitować się” do Uherców w Bieszczadach, szlachcianka Jasienicka z czterema córkami – Baską, Haską, Zośką i Halszką „bardzo tęgiej urody” – wypadły z dworu, a dziewczki z kijami uderzyły na przybyłych urzędników, dotkliwie pobiły Zaklikę, woźnego i jego dwu asystentów szlacheckich, po czym sromotnie wyгнаły ich ze wsi.

Trudno się zatem dziwić, że nigdy nie czekano do egzekucji, ale już po uzyskaniu dekretu rumacji zwoływano czeladź, uzbrajano chłopów, po czym wykonywano zajazd z szablą w jednym, a wyrokiem w drugim ręku. Chociaż był niezgodny z prawem, to mało kto się tym przejmował. Jeśli trafiły się ofiary, to procesowano się dalej, zawierano ugody, wypłacano okupy. Jak podaje Dominik Golec, który badał zajazdy na Kujawach, te wykonywane legalnie praktycznie się nie zdarzały.

GARDŁOWE I HONOROWE SPRAWY

Przyczyną zajazdów były często, jak wspominałem, spory sądowe o ziemię i nieruchomości. Wiele z nich jednak zaczynało się od pospolitej obrazę, pijackich burd, zdrady, znieważenia służby lub wywołanych zostało przez chłopów, za których odpowiadał potem pan. Do tego dochodziły spory o granice, browary, wycinanie drzew w lesie. Jak podaje Dominik Golec, w 1717 r. Bartłomiej Sielski i Marcin Pstrągowski najechali Wysocin Morzyckiego, aby odebrać z niego pieniądze i... zbiegłą żonę. Innym razem zajazd urządzano, aby zająć włości pozostałe po zmarłym, zanim położą na nich rękę inni spadkobiercy. Tak uczynił Jan Władysław Poczobut Odlanicki, który pisze: „Karłowyszczynę, Małyszki, Tarasowicze ze wszystkimi wioskami objawwszy w intromisję, mocnom się ufundował, obwarowawszy dwór nowym szlakiem, kul i prochu przysposobiłem na przybycie

tych łakomych na cudze gości. I gdy przybyli w dni kilka, dałem, im rury wystawiwszy, [prochu] powąchać”.

Zajeżdżano się, aby usunąć z zamków i urzędów ludzi, którzy nieprawnie na nich siedzieli. Zajeżdżał Jan Sobieski, przyszły król Rzeczypospolitej, kiedy Jan Kazimierz nadał mu w 1660 r. starostwo stryjskie. Okazało się bowiem, że zasiadała na nim Koniecpolska – wdowa po poprzednim staroście – i nie chciała ustąpić. Sobieski nie czekał nawet na pogrzeb – zajeżdżał ją z 300 konnymi. Koniecpolska wytoczyła mu proces i uzyskała wyrok skazujący na zwrot dóbr i odszkodowanie, jednak – jak pisze Łoziński – „Sobieski pozostał na starostwie, a wyrok na papierze”.

W zajazdach brały też udział rodziny najezdników, ich służba, krewni, przyjaciele i żony

Zajazdy, w których brały udział różne rody magnackie, przeradzały się w prywatne wojny – takie jak Radziwiłłów i Potockich z wojewodziną Golską czy Zdzisława Zamoyskiego, kasztelana czernihowskiego z Gryzeldą Zamoyską o spadek po Janie Sobiepanie Zamoyskim. Albo w polityczną awanturę Hieronima Radziejowskiego z żoną Elżbietą o pałac w Warszawie, w czasie której pobity i znieważony podkanclerzy wycofał się do Radziejowic pod Warszawą, po czym – tak jak hrabia w „Panu Tadeuszu” – skrzyknął po zaściankach szlachtę, aby zemścić się na żonie i jej bracie.

CHŁOP POLSKI W WALCE Z SĄSIADAMI

Kmieć i zagrodnik polski, rzekomo gniewiony kolonialnym butem Sarmatów i traktowany jak niewolnik, był czynnym i głównym uczestnikiem wszelakich szlacheckich awantur. Co więcej, sam nieraz je prowokował. W 1659 r. 30 chłopów z Witowa zajeżdża las należący do Mikołaja Ostrowskiego. W 1700 r. Maciej Gąsiorowski napada na wdowę, Mariannę Mniewską, wspólnie ze starostą radziejowskim Świątosławem Osińskim, ze szlachtą, chłopami oraz – uwaga – mieszczanami z Radziejowa, którzy biorą

udział w zajeździe pod dowództwem burmistrza – Walentego Pseldowicza. Innym przykładem z Kujaw jest awantura Marcina Szczkowskiego, który zabraniał Pawłowi Grabskiemu z Bogusławic wyrabiać piwo. Ponieważ bez piwa żyć się nie da, Grabski warzył je nocą, przy strażach. Szczkowski jednak obserwował browar, a potem dokonał zajazdu na dom jednego z poddanych przeciwnika na czele partii chłopskiej uzbrojonej w kije i kłonicę.

W kolejnej awanturze Grabskich z Pawłem Charbickim – tym razem o podzieloną na pół wieś Bogusławice – podjudzeni przez tego ostatniego chłopci przychodzili do karczmy sąsiadów, pili piwo i nie płacili, bili gości oraz niszczyli sprzęty. Pewnego razu wpadli do karczmy uzbrojeni w broń palną i zabawili się jak Kmicicowa kompania – wystrzelali okna, drzwi, potłukli naczynia i sprzęty, po czym uszli, zabierając beczkę piwa. Później zajeżdżali dwór i wystrzelali okna w budynkach. Kilka dni po tym Charbicki na czele chłopów dokonał zajazdu na dwór i browar, chciał też – jak głosi skarga – zabić Grabskiego i jego żonę.

Tuż po potopie szwedzkim chłopci niejakiemu Iwańskiego napadają na Jadwigę Nieszczewską. W tym celu przebierają się w stroje cudzoziemskich żołnierzy, udając szwedzkich najemników i „zmyślwszy sobie mowę niemiecką”. Bracia Rosińcy z Teleśnicy Oszwarowej w Bieszczadach zaprowadzają we wsi wojskowe porządki, a wieśniacy stają razem z nimi do obrony wioski, kiedy w 1616 r. uderza na nią Jan Bal, chcąc zrównać z ziemią to wilcze gniazdo.

Poza nimi korzystano z pomocy drobnej szlachty, zawodowych wojskowych, rębajłów i najemników. Jednym z nich był Jacek Dydyński z Niewistki w dolinie Sanu, który wynajmował się szlachcie do załatwiania gardłowych i honorowych spraw. Dydyński zwany Jackiem nad Jackami, był lisowczyk, służył „Diabłem” Stadnickim, Stanisławowi Krasickiemu, a potem książętom Sanguszkom, procesujących się zawzięcie o dobra pozostałe po Jerzym Krasickim. Udział w zajazdach i bójkach nie przeszkodził mu w byciu szczerym patriotą – zginął w 1649 r. w bitwie pod Zborowem, w obronie króla i Rzeczypospolitej.

Na wschodzie kraju powszechny był udział w zajazdach Kozaków, Tatarów, sabatów, czyli Szeklerów z Siedmiogrodu, Wołochów i Mołdawian. Starosta Marcin Krasicki dokonywał przy ich pomocy

urzędowych egzekucji, np. na Marianie Zielińskim, który pisze: „Prawie o północy nasał na dwór w Rolowie sługi swe, a z nimi Tatarów Hassana, Sołumacha i Dusaja i inszych 70 ludzi, którzy z okrzykiem tatarskim i strzelaniem drzwi do dworu dobywać poczęli”.

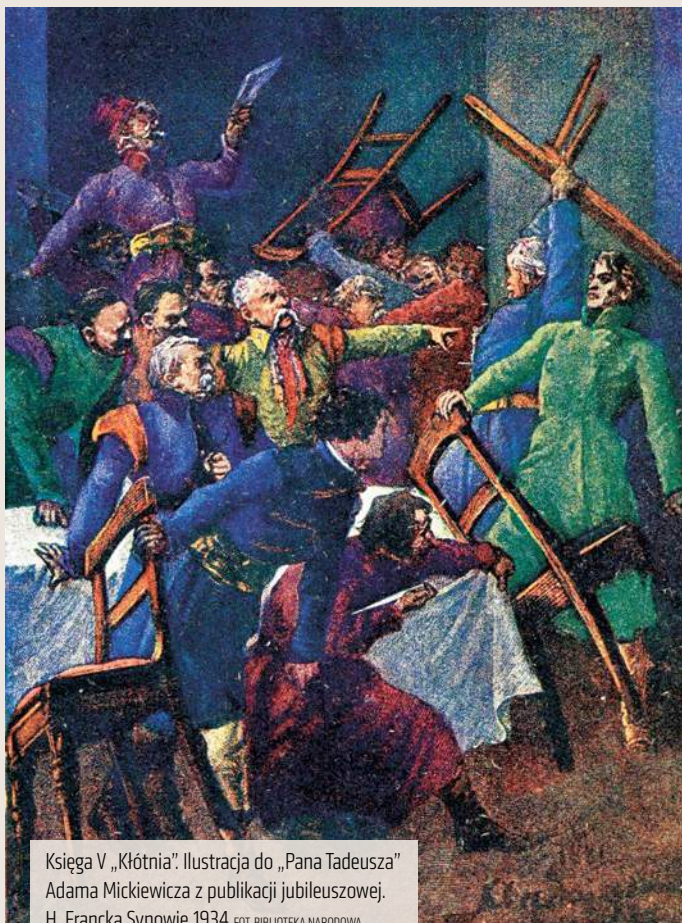
W zajazdach brały też udział rodziny najezdników, ich służba, krewni, przyjaciele i żony. W czasie zajazdu w 1659 r. małżonka Wojciecha Ostrowskiego, niezła wilczyca, choć tym razem kujawska, a nie kresowa, poturbowała Krystynę Liniecką, a jej służącą Annę „poczęła bić, a panią – ukąsiła w palec i wyrwała jej włosy”. Zajazdy przeprowadzały Anna Łahodowska i Teofila Chmielecka – żona sławnego zagończyka, a potem wdowa po nim.

PODE DWÓR! DRZWI ROZWALIĆ TOPORAMI!

Większość najazdów rozgrywała się według podobnego schematu, który doskonale pokazuje zajazd kujawski

z 1657 r. Dokonany został przez starostę radziejewskiego i niejakiego Tolibowskiego, a celem stały się Osięciny należące do Boruckiego. Przyczyną były trudne dziś do zrozumienia urazy, podlane solidną porcją miodu i piwa. Starosta miał pretensję do Jarnowskiego, że odjechał z jego chorągwi, do napastników dołączył też chorąży brzeski Grabski, który z kolei chciał mścić się za krzywdę sługi wyrządzoną przez Boruckiego.

Zajezdniczy posłali najpierw do Osięciny szpiega, a sami popili tego w karczmie w Ustroniu. Uzbroiwszy się w rusznice i bandolety, ruszyli na Boruckiego. Gdy drugi ze szpiegów doniósł, że szlachcic szykuje się do wyjazdu, starosta kazał czeladzi wpaść na podwórze i zabrać stojące tam konie. Następnie sam rzucił się do ataku z 30 pachołkami. Napastnicy zranili sługę Boruckiego, Andrzeja Puchalskiego, innych „wysztzelali z podwórza, konie od nich poodbierali, z sukien pozezwończyli, zbili, stłukli”. Starosta rzucił się oczywiście na swego wroga – Krzysztofa Jarnowskiego – po czym, jak podają księgi cytowane przez Dominika Golca: „połapiwszy za łeb,



Księga V „Kłótnia”. Ilustracja do „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza z publikacji jubileuszowej.

H. Francka Synowie 1934. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

biel, płazował, tłukł i insi w rękę, w niego pomocnicy pobili, posinili [...] bandoletami zbili, stłukli”.

Borucki uratowany został przez matkę, która osłoniła go własnym ciałem, dzięki czemu zdołał uciec i zabarykadować się we dworze. Na miejsce przybył też Stefan Jarnowski, cześnik dobrzyński, który próbował mediacji, ale zbiegł do domu, otrzymawszy ranę w rękę.

Zajezdniczy ruszyli do szturmowania, strzelając do drzwi i okien. Obrońcy odpowiadali ogniem i zranili starostę, co powiększyło wściekłość oblegających. Na rozkaz Tolibowskiego próbowano podpalić dwór; ogień zgaszono jednak, kiedy przybył ks. Sarnowski, wezwany do wypowiedziania rannych. Dopiero kiedy wezwano na pomoc oddział wojska, udało się podpalić zabudowania, a Borucki i jego poplecznicy musieli wyjść, zdając się na łaskę napastników. Natychmiast zostali pobici, choć „ksiądz pleban od śmieci upraszał, samego sobą zaszczycając (osłaniając)”. Starosta nie pozwolił Boruckiemu się wypowiedzieć i kazał go rozstrzelać. Na szczęście Stefan Jarnowski ofiarował żołnierzom 10 tys.

dukatów za jego życie, więc zajezdniczy pojechali do Jaranowic, aby policzyć pieniądze i przy okazji popić. W nocy Boruckiemu i jego kompanom udało się uciec – ukrył ich w kościele ksiądz ze wsi Pawce.

GUZY, SIŃCE I TRUPY

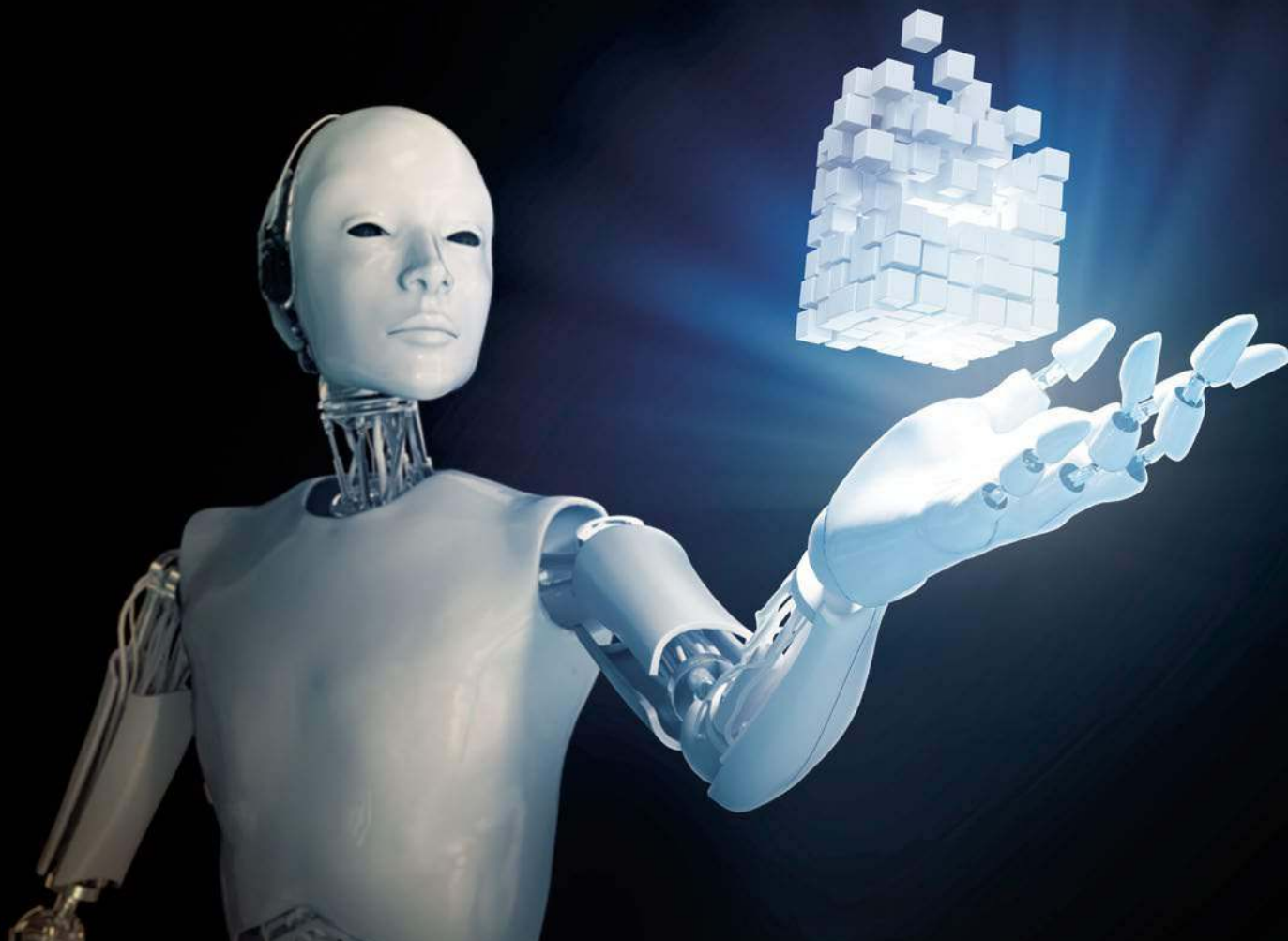
Czytając dawne księgi grodzkie, można odnieść wrażenie, że niektóre zajazdy były formami brutalnej, sarmackiej zabawy, dla zabicia nudy, pokazania sprawności bojowej i dania ujścia rozpierającej szlachciców fantazji. Większość jednak powodowana była długotrwałością procesu sądowego i słabością egzekucji prawa. Szybciej było – mając w ręku dekret rumacji – samego wyrugować przeciwnika z dóbr, niż czekać latami na egzekucję.

Czy te awantury były krwawe? Chociaż wydaje się dziwne, ale... nie! Według statystyk sporządzonych przez Dominika Golca w odniesieniu do Kujaw na każde 10 lat, w XVII i XVIII w., przypadało aż 39 zajazdów. Tymczasem ginęło

w nich „zaledwie”... sześciu ludzi – najczęściej spośród czeladzi i chłopów. Przy czym najwięcej zabójstw przypada na lata 1645–1654 (19) i samą końcówkę XVI w. (10). Zajazdy nigdy nie kończyły się krwawą rzezią. Zwycięzcy, kiedy już dokonali zemsty, kazali bić, zeliżyć, a czasem torturować przeciwników. Często straszono ich, że będą ścięci, rozstrzelani. Zazwyczaj jednak po tym wszystkim pozwalano im uciec lub puszczano ich wolno.

Wspomniany Marian Zieliński, uprowadzony z dworu w Rolowie, ucieka w nocy z Brześcian, dokąd zawieźli go ludzie starosty Krasickiego. Stanisława Rosińskiego, schwytanego żywcem w Teleśnicy Oszwarowej, napastnicy zabierają do Daszówki, skąd udaje mu się zbiec, gdy służba i hajducy Jana Bala upijają się w czasie uczty po zwycięstwie. Podobnie uchodzi w nocy wspomniany Borucki. Nawet krwawy i okrutny Stanisław Stadnicki puszczają na wolność schwytanego w czasie zajazdu na Sośnicę Konstantego Korniaкта, kiedy ten darowuje mu dawne długi i rezygnuje z wszelakich innych pretensji.

Ludzkość 2.0



FOY ANDRZEJ STOK



Jacek Przybylski

Jest już w smartfonach, komputerach i domach. Rok 2019 ma być jednak okresem wyjątkowo dynamicznego rozwoju sztucznej inteligencji.

Algorytmy mogą zastąpić kierowców, prawników, prezenterów, a także lekarzy czy ministrów. Czy będą stanowić dla nas realne zagrożenie?

O sztucznej inteligencji (SI) mówi się od 1955 r., ale długo kojarzyła się ona głównie z filmami science fiction. Tymczasem sztuczna inteligencja staje się coraz bardziej wszechobecna i powoli zaczyna rewolucjonizować takie dziedziny jak: biometria, cyberbezpieczeństwo, ochrona zdrowia czy transport.

MASZYNOWE ROZMOWY

Maszyny już nie tylko rozumieją to, co widzą, lecz także potrafią samodzielnie wyciągać z tego wnioski. I chociaż zamiast mózgu SI używa specjalnych programów komputerowych, nazywanych algorytmami,

mi, dzień w dzień analizuje ogromne ilości informacji i wpływa na życie ludzi. Komputery wykonują już zadania, które wcześniej zarezerwowane były dla zwierząt lub ludzi, a dzięki „głębokiemu uczeniu” się maszyn – bez nadzoru człowieka – na niektórych polach radzą już sobie one o wiele lepiej niż ludzie. Od lat asystenci głosowi w smartfonach mogą zapisywać dla nas nadchodzące wydarzenia w kalendarzu, sprawdzić pogodę czy wyszukiwać informacje w Internecie. Mój własny smartfon szybko nauczył się imienia żony, wystarczy więc, że powiem: „Call my wife”, a telefon małżonki już dzwoni (najprawdopodobniej w 2019 r. w rozmowach z asystentami

będzie już można używać języka polskiego). Google Duplex, czyli zaprezentowany w 2018 r. elektroniczny asystent, może już także zadzwonić do wybranej przez nas restauracji czy hotelu w USA i w naszym imieniu zarezerwować stół lub nocleg. O podobną usługę można też poprosić Siri. Duplex może również umówić nas do fryzjera. Sztuczna inteligencja radzi sobie z tym zadaniem na tyle dobrze, że prawdziwi ludzie są przekonani, iż rozmawiają z człowiekiem, a nie z maszyną. Aby nie wprawić ludzi w zakłopotanie, twórcy asystentów zmodyfikowali je tak, aby już na początku rozmowy zdradzili, że jednak są maszynami. Duplex może też raz na zawsze rozwiązać problem natrętnych telemarketerów. Asystenta można bowiem poprosić o odebranie naszego telefonu i wypytanie dzwoniącego o cel rozmowy. Jeśli to telemarketer, to maszyna spławi go bez naszego udziału.

To jednak nie wszystko. Korzystając z najnowszej funkcji „routines” u asystenta Google, wystarczy rano powiedzieć: „Hey, Google – dzień dobry”, aby w inteligentnym domu zapaliło się światło, ulubiona stacja radiowa zaczęła grać, a w ekspresie zaczęła się parzyć poranna kawa. Wybiegając do pracy, wystarczy zaś rzucić krótko: „OK, Google – wychodzę”, a wszystkie światła same zgasną, a alarm zostanie automatycznie uzbroniony. Ta usługa w Polsce jeszcze nie działa. Nad Wisłą sztuczna inteligencja jest już jednak wykorzystywana do rozpoznawania twarzy przez urządzenia, które można kupić do obsługi „inteligentnego domu”. Dzięki niej kamera IP potrafi błędnie rozpoznać, kiedy koło domu kręci się potencjalny włamywacz i trzeba zawiadomić właściciela, a kiedy na podwórko wchodzi któryś z domowników i nie ma co zwracać nam głowy.

To dzięki sztucznej inteligencji nasza twarz dziś z powodzeniem zastępuje kod do smartfona lub komputera. Niedługo tradycyjne dowody tożsamości staną się zaś niepotrzebne, a wychodząc ze sklepu, nie będziemy musieli stawać w kolejce i wyciągać karty kredytowej, bo specjalne skanery rozpoznają naszą twarz i automatycznie ściągają odpowiednią kwotę za zakupy. Dane biometryczne mogą być też wykorzystywane do personalizacji reklam.

INTELIGENTNA DYPLMACJA

W rozwój sztucznej inteligencji od lat z powodzeniem inwestują najwięksi amerykańscy giganci, tacy jak Google, Facebook czy Amazon. Do 2030 r. świa-

towym liderem w dziedzinie sztucznej inteligencji chcą jednak zostać Chiny. Intelligentne algorytmy już od kilku miesięcy wspomagają prace chińskiego resortu spraw zagranicznych, dokonując oceny ryzyka zagranicznych projektów i szacując prawdopodobieństwo takich wydarzeń jak zamachy stanu czy ataki terrorystyczne. Jeden z systemów opracowany przez Chińską Akademię Nauk, aby znaleźć odpowiedzi na problemy współczesnej dyplomacji, przeszukuje ogromne ilości danych – od zapisu rozmów podczas przyjęć u ambasadorów do zdjęć satelitarnych. Algorytmy mają duże szanse na sukces. Dyplomacja przypomina bowiem partię szachów, a przecież komputery dają mata



najlepszym ludziom już od ponad dwóch dekad (pierwszy raz stworzony przez IBM Deep Blue pokonał Garriego Kasparowa w 1997 r.). Ludzie przegrali też z maszynami rozgrywkę w starożytnej grze planszowej Go, która długo stanowiła dla sztucznej inteligencji twardy orzech do zgryzienia. W 2016 r. program komputerowy AlphaGo zwyciężył z legendarnym mistrzem Lee Sedol, który po ponad trzech godzinach gry musiał się poddać.

W przyszłości pozbawiona emocji sztuczna inteligencja ma zastąpić szefów dyplomacji czy ministrów obrony. Bez strachu, współczucia czy empatii łatwiej jest bowiem podejmować trafne decyzje. Już dziś sztuczna inteligencja ułatwia władzom w Pekinie kontrolę obywateli. To właśnie algorytmy w połączeniu z setkami milionów kamer ułatwiają inwigilację i błyskawiczne karanie drobnych przewinień – od ściągania na szkolnych testach do przechodzenia w niedozwolonych miejscach. Chińczycy poszli jednak krok dalej i od 2017 r. realizują projekt kojarzony dotychczas jedynie z filmami science fiction. Program Cloud Walk, wykorzystując technologię rozpoznawania twarzy, dostęp do publicznych kamer oraz ogromną bazę

danych, jest w stanie zawiadomić policję o tym, że ktoś dopiero szykuje się do popełnienia przestępstwa. Jak działa taki system? Na przykład, jeśli ktoś w jednym sklepie kupuje nóż, a w innym młotek i siekiere, jest już bacznie obserwowany. A jeśli do tego często odwiedza zatłoczone miejsca przesiadkowe lub sklepy z bronią, jest natychmiast oznaczany. Zastosowane algorytmy są tak zaawansowane, że potrafią poprawnie zidentyfikować potencjalnego przestępcę, nawet wtedy, gdy często zmienia styl ubierania lub zakrywa twarz czapką lub maską. Sceny znane z „Raportu mniejszości” już niedługo mogą być więc powszechne nie tylko w Państwie Środka. Sztuczna inteligencja służy oczywiście również do inwigilacji opozycjonistów. W należącej do rządu chińskiej Xinhua News Agency dziennik telewizyjny już potrafi poprowadzić sztuczna inteligencja, a dokładniej – wykreowany przez nią prezydent telewizyjny. Nigdy się nie męczy, a przede wszystkim zawsze będzie lojalny wobec partii.

ZAMIAST PRAWNIKÓW I KIEROWNIKÓW

Rewolucja trwa i SI zaczyna już pożerać etaty w różnych krajach świata. Z ubiegłorocznego raportu PwC wynika, że ponad połowa polskich prezesów wskazuje sztuczna inteligencję jako priorytet inwestycyjny w perspektywie trzech lat. 65 proc. pracowników uważa z kolei, że sztuczna inteligencja może uwolnić pracowników z konieczności wykonywania prostych, powtarzalnych czynności.

Już dziś inteligentne algorytmy wykonują najprostsze, powtarzane czynności w kancelariach prawnych. To jednak dopiero początek. W 2018 r. podczas testu przeprowadzonego przez opartą na algorytmach platformę LawGeex w porozumieniu z profesorami prawa Uniwersytetu Stanforda, Duke University School of Law i Uniwersytetu Południowej Kalifornii, w którym wzięło udział 20 prawników, sztuczna inteligencja okazała się o wiele skuteczniejsza i sprawniejsza w interpretowaniu różnego rodzaju dokumentów. Zadanie polegało na analizie pięciu umów o zachowaniu poufności i identyfikacji 30 kwestii prawnych. Ludzie prawnicy osiągnęli średnio wynik 85 proc., a rozwiązanie zadania zajmowało im średnio 92 minuty. Sztuczna inteligencja była zarówno dokładniejsza (średnio osiągnęła 95 proc. punktów), jak i nieporównywalnie szybsza (postawione zadanie udało jej

się rozwiązać w ciągu 26 sekund). I choć dobrzy, doświadczeni prawnicy nadal będą potrzebni – z ich usług będzie się jednak opłacało skorzystać jedynie w przypadku spraw najważniejszych lub mocno nietypowych – to udoskonalone algorytmy z powodzeniem będą w stanie zastąpić 80–90 proc. prawników.

Z przeprowadzonego w zeszłym roku eksperymentu w Chinach wynika, że algorytmy okazały się też skuteczniejsze od ludzi w diagnozowaniu chorób neurologicznych. Podczas testu maszynom udało się trafnie zdiagnozować 25, a ludziom tylko 19 z 30 przypadków. Sztuczna inteligencja trafniej potrafi też przewidzieć ryzyko zawału serca czy udaru. Coraz lepiej radzą sobie również roboty chirurgiczne (potrafią nałożyć szwy bardziej równomiernie niż wielu lekarzy). Sztuczna inteligencja może też zastąpić wielu agentów nieruchomości czy speców od rekrutacji. Według serwisu Willrobotstakeymjob.com wśród

kierowcy, lecz także nie ma w niej w ogóle kabiny dla człowieka. Vera już pracuje: przewozi naczepy w fabryce ciężarówek w szwedzkim Göteborgu. Zanim kierowcy przestaną być zupełnie potrzebni, minie jeszcze zapewne kilka albo kilkanaście lat. Eksperti przekonują jednak, że warto się spieszyć, bo zastosowanie sztucznej inteligencji może zmniejszyć liczbę śmiertelnych ofiar na drogach o ok. 90 proc. Roczne koszty eksploatacji ciężarówki zmniejszą się zaś o ok. jedną trzecią.

SZTUCZNA SZTUKA

„Portret Edmonda Belamy’ego” – taki tytuł nosi mroczny obraz wygenerowany przez sieć neuronową klasy GAN (Generative Adversarial Network). Artyści i informatycy tworzący paryski kolektyw o nazwie Obvious – której oficjalne motto brzmi: „Kreatywność jest nie tylko dla ludzi” – nauczyli algorytm malarstwa na podstawie 15 tys. obrazów stworzonych

oni trafią do podręczników historii sztuki. Niewykluczone więc, że jedną z podstawowych rzeczy, od których trzeba zaczynać naukę sztucznej inteligencji, jest to, iż świat bardzo rzadko bywa sprawiedliwy.

Malowanie obrazów to jedynie część możliwości sztucznej inteligencji. Firma NVIDIA, jeden z liderów na rynku kart graficznych, opracowała program, który potrafi doskonale rekonstruować uszkodzone obrazy, nawet jeżeli braki w obrazie są bardzo rozległe. NVIDIA stworzyła również algorytm, który korzystając jednocześnie z dwóch sieci neuronowych, potrafi m.in. wygenerować zdjęcia... nieistniejących celebrytów. Takie ultrarealistyczne fotografie nieistniejących ludzi mogą być wykorzystywane nie tylko w grach, lecz także np. w kampaniach reklamowych. Dzięki obciążeniu gigantycznej gaży dla modelek i modeli wyprodukowanie reklamy z ładną twarzą w roli głównej może być o wiele tańsze niż dotychczas. Sztuczna inteligencja może być również wykorzystywana do wykrywania manipulacji fotograficznych, które są trudne do zauważenia za pomocą ludzkiego oka.

ZAGROŻENIE DLA GATUNKU?

Moda na sztuczną inteligencję potrwa jeszcze wiele lat. Potem stanie się ona tak powszechna, że ludzkość przyzwyczai się do niej tak jak do Internetu czy elektryczności. Nowa rewolucja przemysłowa niesie jednak ze sobą nieznane dotąd zagrożenia. Co się bowiem stanie, gdy sztuczna inteligencja przewyższy poziomem rozumowania nie tylko możliwości pojedynczego człowieka, lecz także całej ludzkości? Według Billa Gatesa, choć sztuczna inteligencja początkowo może przynosić korzyści, to za kilkadziesiąt lat stałe samoudoskonalająca się SI może rozwinąć się na tyle mocno, iż będzie stanowić zagrożenie. Do grona znanych sceptyków należał również genialny astrofizyk prof. Stephen Hawking. Przed śmiercią ostrzegał, że moment, w którym uzyskamy ostateczną formę sztucznej inteligencji – samodzielną, samoświadomą, nigdy się niemęczącą – będzie najgorszym w historii ludzkości. W wywiadzie, którego Hawking udzielił BBC, stwierdził nawet, że zbyt ni rozwój SI może oznaczać koniec ludzkiej rasy. Być może uratuje nas wprowadzenie do algorytmów kodeksu etycznego. Bo na zwykłą wdzięczność za powołanie do życia w przypadku maszyn raczej nie można liczyć.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wywiady i raporty cytowane w tym artykule odnalazła sztuczna inteligencja (Siri).



W autonomicznej ciężarówce Volvo nie ma już miejsca dla kierowcy. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zawodów najbardziej zagrożonych przez automatyzację są też osoby wprowadzające informacje do baz danych, specjaliści ds. logistyki, telemarketerzy, doradcy podatkowi oraz pracownicy banków. O swoją posadę najmniej muszą się bać m.in. terapeuci, audiolodzy, protetycy oraz chirurdzy.

Algorytmy wyeliminują również z rynku pracy wielu zawodowych kierowców. Samochody uzbrojone w radary, czujniki, detektory, a przede wszystkim sztuczną inteligencję, dzięki której potrafią samodzielnie poruszać się po drogach, są już gotowe, a ich producenci czekają głównie na odpowiednie zmiany w prawie. Autonomiczne ciężarówki już jeżdżą po portach czy dużych terenach przemysłowych, a w technologicznym wyścigu biorą udział najwięksi światowi giganci, tacy jak Daimler, Tesla czy Volvo. Ten ostatni producent w zeszłym roku pokazał już Verę – ciężarówkę, która nie tylko nie potrzebuje

od XIV do XX w. Dzieło podpisane jest fragmentem kodu algorytmu, który je namalował: „Min G max D x [log (D(x))] + z [log(1-D (G(z)))]”. Jesienią 2018 r. dzieło to zostało sprzedane podczas licytacji w prestiżowym nowojorskim domu aukcyjnym Christie’s. Anonimowy kupiec zapłacił za nie astronomiczną kwotę 432,5 tys. dol., czyli równowartość ponad 1,6 mln zł. Nie obyło się bez kontrowersji. Pretensje do dzieła zgłosił bowiem Robbie Barrat, który już wcześniej prowadził pracę nad wykorzystaniem algorytmu w dziełach sztuki i udostępnił publicznie zarówno jego kod źródłowy, jak i bazę danych, którą potem wykorzystali Francuzi.

Członkowie grupy Obvious przyznali, że inspirowali się pracami Barrata, i oficjalnie mu podziękowali, przekonując jednak, że do udostępnionego publicznie algorytmu wprowadzili wiele istotnych poprawek. Francuzi zainkasowali więc fortunę i to



NIE CHCE, ALE MUSI?

Angelina Jolie do tej pory znana była głównie z tego, że jest aktorką, której wielka kariera zaczęła się od zagrania dziewczyny z komputerowej gry „Tomb Raider”. No, może jeszcze ze związku z Bradem Pittem. Teraz jest też już m.in. wysłannikiem ONZ ds. uchodźców. A będzie być może i politykiem. W BBC Today pytano ją o możliwą karierę polityczną, na co odpowiedziała: „Zawsze mówię, że pójde tam, gdzie jestem potrzebna”, czyli amerykańską wersją Wałęsowego: „Nie chcem, ale muszę”.

FOT. PALACE LE / REYSHUTTERSTOCK / EAST NEWS

FEMINISTYCZNY NIEWYPAŁ

W Kalifornii feministki co roku ruszają w Marsz Kobiet. W tym roku także go planowały. Musiały go jednak odwołać. Powód? Ponieważ marsz nie spełniał „obowiązkowego kryterium rasowego” – miało w nim pójść za dużo białych kobiet. Tak zresztą było do tej pory co roku, ale teraz okazało się to poważną przeszkodą. Parytet musi być. Nawet na feministycznym maszerowaniu.

POLICJA Z MAPAMI GOOGLE

W Australii policjanci szukali zaginionego 46-latkę z kartką wydrukowaną z Google Maps. Podejrzewano, że mężczyzna może znajdować się na terenie posiadłości swojego partnera, ale ponieważ mapa z Google była niedokładna, to

funkcjonariusze przeszukali tylko część posiadłości. Dopiero kolejni właściciele posiadłości dwa lata później znaleźli szczątki poszukiwanego człowieka. Australijska policja przeprosiła, a jej władze nakazały funkcjonariuszom korzystanie w przyszłości z innych, dokładniejszych narzędzi lokalizacji.

MISTRZOWIE ŚLEDZTWA

Po niedawnym chaosie na lotnisku Gatwick wywołanym przez drony brytyjska policja z Sussex najpierw zatrzymała, przeszukała i ujawniła dane pary, która okazała się nie mieć żadnego związku z tym incydentem. A potem odnaleziono w pobliżu lotniska resztki drona. Badano zachowane na nim odciski palców. Okazało się, że to dron, który... prawdopodobnie należał do policji i był wcześniej używany w śledztwie. ©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Plastik i fajerwerki

Co łączy plastikowe sztuce z fajerwerkami? Pozornie niewiele. A jednak w istocie całkiem dużo: w obu sytuacjach mamy do czynienia ze sprawami, w których kolejny raz dał o sobie znać ekoszmiergel. Znow zobaczyliśmy, że jeśli chce się dziś wzbudzić u części ludzi całkowicie bezrozumne, za to bardzo gwałtowne emocje, wystarczy sięgnąć po jakiś temat ekologiczny. Najlepiej taki, w którym można by zagrać obrazkiem słodkiego, cierpiącego zwierzątka.

Tak jest w przypadku zarówno planów UE, żeby wyeliminować plastikowe produkty jednorazowego użytku, które można zastąpić produktami z materiałów „ekologicznych”, jak i uruchomionej przez Rafała Trzaskowskiego hysterii wokół noworocznych sylwestrowych fajerwerków. W pierwszym przypadku ludziom zaserwowano

poruszające obrazki zawałonego plastikiem oceanu z unieruchomionymi na środku śmietnika żółtami czy delfinami. W drugim – symbolem był zgnębiony, przerażony piesek. Większość, częstowana tymi widoczkami, reaguje jak kiedyś na zdjęcie martwego chłopca na tureckiej plaży, które uruchomiło bezmyślne emocje w sprawie imigracji, podczas gdy stojąca za obrazem prawdziwa historia okazała się mocno niewygodna dla entuzjastów otwartych drzwi.

Dzisiaj nikt nie pyta europosłów, którzy głosowali za zakazem plastiku, jakie będzie przełożenie tej regulacji na ilość plastikowych śmieci w oceanach czy gdziekolwiek. Nikt tego nie przeanalizował, nikt nie zbadał, jaki jest tu udział krajów UE. Nikt się nie zastanowił, kto za tym zakazem lobbował i czy przypadkiem UE nie realizuje właśnie strategii

biznesowej jakiegoś koncernu, robiącego sztuce z kartonu. Swoją drogą – co na to fani ekologii, tacy jak Kinga Rusin? Niby plastiku nie będzie, ale ile drzew trzeba będzie ściąć w zamian!

Fajerwerki to ten sam mechanizm. Psy, które przez wieki hodowano między innymi do polowań i które w kulturze popularnej nie bez powodu wciąż pojawiają się jako zwierzęcy bohaterowie, nagle okazują się strachliwymi stworzonkami, które trzeba za wszelką cenę chronić od huków. Jerzy Owsiański, który od kilkunastu lat co styczeń nawalał sztucznymi ogniami, ile wlezie, nagle pojął, że tak nie wolno, i też już nie będzie. Jaja, panie, jak berety!

Jest to wszystko tak ewidentnie idiotyczne, że byłoby zabawne, gdyby nie to, że z tych emocji wynikają konkretne zakazy i nakazy, a tłum się cieszy. ©

JAN WÓJCİK: Izrael, podobnie jak Polska, nie podpisał Światowego Paktu w sprawie Migracji ONZ. Jakie są powody tej decyzji?

YONATAN JAKUBOWICZ: Skutecznie lobbowaliśmy, aby Izrael nie podpisywał paktu, ponieważ wiele jego artykułów jest bardzo kłopotliwych dla krajów, które chcą zachować możliwość kontrolowania swoich granic i prowadzenia własnej polityki migracyjnej. Uważamy, że pakt jest bardzo progresywny, jeśli chodzi o prawa do zjednoczenia rodzin migrantów oraz migracji z powodu zmian klimatycznych oraz w kwestii rządowych „interwencji” w to, jak prasa informuje o imigracji. Dotychczas mieliśmy Powszechną Deklarację Praw Człowieka, Konwencję Genewską ds. Uchodźców i Konwencje dotyczące prawa pracy, ale nie mieliśmy jeszcze praw migracji czy imigranta. I chociaż pakt nie jest umową oficjalnie wiążącą, wiemy, jak to zwykle działa w prawie międzynarodowym. Uważam, że pakt najpierw przejdzie w rodzaj miękkiego prawa, a następnie stanie się normą międzynarodową.

Wiedzieliśmy, że nasz rząd nie opowie się za podpisaniem umowy, ale uważaliśmy też, iż jest to ważna kwestia, żeby premier zapowiedział wycofanie się Izraela. Liczyliśmy, że inne kraje, które były jeszcze niezdecydowane, zauważą, iż rośnie liczba państw, które nie akceptują zasad paktu.

Czy Izrael jest krajem docelowym migracji?

Z wyjątkiem migracji z diaspory żydowskiej, która opiera się na prawie powrotu, a także na innych liberalnych prawach pozwalających na łączenie rodzin, nawet jeśli nie żyją w formalnych związkach, Izrael ma tymczasową migrację ekonomiczną. Migranci zostają na pięć lat, pracując głównie w rolnictwie, budownictwie i pielęgniarstwie. Pocho- dzą głównie z Azji i Europy Wschodniej. Ponadto mamy dużo nielegalnej imigracji. Chodzi tu głównie o zagranicznych pracowników, którzy nie wyjeżdżają, kiedy wygaśnie im wiza, lub turystów, którzy pozostają po wygaśnięciu wize turystycznej. Wciąż mamy do pewnego stopnia nielegalną migrację z Afryki. Izrael, oprócz hiszpańskich enklaw w Maroku, jest jedynym krajem OECD, który ma lądową granicę z Afryką. W latach 2010–2012 Izrael był spośród krajów OECD właściwie najczęstszym krajem docelowym dla nieregularnych migrantów z Afryki.



Z Yonatanem Jakubowiczem,
dyrektorem zarządzającym
Izraelskiego Centrum Polityki
Imigracyjnej
rozmawia Jan Wójcik



Prawo lepsze niż mur

Czy Izrael, z bezrobociem poniżej 4 proc., nie jest jednak krajem, który potrzebuje migrantów zarobkowych?

Popyt na rynku pracy jest tym, co przyciąga imigrantów, a inni próbują zostać mimo wygaśnięcia wize. Są również migranci, którzy złożyli wnioski o azyl – otrzymują oni wizę tymczasową, która pozwala im pracować już od pierwszego dnia pobytu. Mamy obecnie wielu cudzoziemców, którzy przyjechali na wizie turystycznej i teraz składają wnioski o azyl. Rozpatrzenie wniosku o azyl zajmuje kilka lat, a w tym czasie migranci mogą pracować.

Uważam, że najlepsze rozwiązanie to tymczasowi imigranci, którzy przyjeżdżają, pracują, mogą wysłać trochę pieniędzy rodzinom, a kiedy pozwolenie na pobyt się kończy, wracają do ojczyzny. To sytuacja win-win. Jednak problem dotyczy tych, którzy pozostają dłużej, często mają dzieci, ich pozwolenia są

przedłużane, a wreszcie otrzymują prawo pobytu lub obywatelstwo. Kiedy uzyskają oficjalny status i nie są już tymczasowymi legalnymi migrantami, w większości przypadków kosztują państwo więcej, niż wynoszą płacone przez nich podatki. Ogólnie mówiąc, nawet jeśli potrzebujemy pracowników do konkretnych prac, to trzeba pamiętać, że Izrael ma najwyższy wskaźnik urodzeń wśród krajów zachodnich: 3,3 dziecka na kobietę. Dla porównania: w niektórych krajach zachodnich jest to 1,5. Izrael zatem tym się od nich różni, że nie potrzebuje dużej migracji, żeby utrzymać swój system emerytalny.

Jaka jest przyczyna tak wysokiej liczby urodzeń?

Populacja Izraela składa się w 75 proc. z Żydów, w 20 proc. z muzułmanów i w 5 proc. z przedstawicieli innych religii. Wskaźnik dzietności był wysoki wśród



kwietniu 2012 r. przybywało miesięcznie ok. 2–3 tys. migrantów, co dla małego kraju oznacza bardzo duży napływ. Kiedy jednak Izrael ustanowił dla migrantów obowiązkowe centrum detencji przez trzy lata, ich liczba spadła z 3 tys. do kilkuset w ciągu dwóch miesięcy, by potem sięgnąć niemal zera. To było prawie pół roku przed ukończeniem ogrodzenia na granicy. Większość ludzi przypisuje sukces ogrodzeniu, ale faktycznie zostało ono ukończone później. Statystyki pokazują, że to nie płot jest źródłem sukcesu, i nie wierzę, że jakiekolwiek ogrodzenie może całkowicie zatrzymać ludzi. Jeśli spojrzymy na mapę, to się okaże, że z Egiptu można bezpieczniej dostać się przez morze do Izraela niż do Europy, ale nikt tego nie próbuje z powodu tzw. prawa antyinfiltracyjnego, jak je nazywają przeciwnicy regulowania imigracji.

Izrael był krytykowany za politykę antyimigracyjną, np. za odsyłanie emigrantów do Erytrei.

W przeciwieństwie do wielu innych krajów Izrael nigdy nie deportował nikogo przymusowo do Erytrei lub Sudanu, od kiedy ci ludzie zaczęli przyjeżdżać w 2004 r. Szwecja i Niemcy deportowały do Erytrei nawet do roku 2009. Izrael jest jedynym krajem, który nie może deportować nikogo do Sudanu, mimo że Sudańczycy są tutaj drugą co do wielkości grupą migracyjną. Izrael nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych z Sudanem i uważa się, że posiadanie izraelskiej pieczętki w paszporcie jest tam uważane za przestępstwo. W efekcie migranci ekonomiczni automatycznie stają się „sur place” uchodźcami. Jednak uzyskaliśmy też informacje, że Sudańczycy mimo wszystko wracają do swojego kraju. Kiedy wprowadziliśmy ustawę o ośrodku detencyjnym, wielu z nich powróciło do siebie przez kraje afrykańskie.

W odniesieniu do Erytrei chodzi o to, że mają oni obowiązkową długą służbę wojskową, ale wiemy od Brytyjczyków i Duńczyków, iż imigranci, którzy zapłacą 2 proc. podatku w ambasadzie, nie będą prześladowani w Erytrei po powrocie. Ponadto rząd Erytrei i inne kraje afrykańskie nie współpracują z Izraelem w sprawie repatriacji, ponieważ ogromna część ich PKB pochodzi z przekazów pieniężnych od imigrantów. W rzeczywistości migracja leży w interesie tych rządów. Wierzymy, że ogromna większość imigrantów może wrócić do siebie, ale nie możemy wyrzucić ich siłą. Są więc dwa problemy:

pierwszy jest taki, że nie wiemy, kto jest prawdziwym uchodźcą, a po drugie, kiedy już to wiemy, ewentualna repatriacja jest trudna i kosztowna, a rząd kraju pochodzenia jednocześnie nie współpracuje. Ten idealny model, gdzie możemy jasno zidentyfikować, kto jest uchodźcą, a kto imigrantem ekonomicznym i powinien być zawrócony na granicy, nie działa nigdzie na świecie. Moje stanowisko jest takie, że potrzebne jest centrum detencji, które jest znacznie lepszym rozwiązaniem od płotu na granicy, ponieważ ratuje ludzkie życie i zapewnia podstawowe potrzeby, a jednocześnie zmniejsza czynnik przyciągający migrantów ekonomicznych.

Twierdzi pan, że lepiej, żeby rządy dostosowały krajowe prawo i interpretację prawa międzynarodowego do swoich potrzeb, zamiast płacić, tak jak Włochy, milicji libijskiej za pewnego rodzaju outsourcing łamania praw człowieka poza swoim terytorium?

Ten system jest hipokryzją. Unia Europejska twierdzi, że ustanowi górny limit sześciu miesięcy dla przetrzymywania imigrantów w ośrodkach zamkniętych, ale jednocześnie współpracuje z gangami w Libii lub ze strażą przybrzeżną, która jest faktycznie kontrolowana przez milicję. W procesie chartumskim, mającym na celu powstrzymanie migracji z Rogu Afryki, UE faktycznie szkoli w Sudanie szybkie siły wsparcia, które są powiązane z sudańskimi Dżandżawidami, odpowiedzialnymi częściowo za czystki etniczne w Darfurze. W rzeczywistości UE mówi każdemu, kto przybywa na nasze terytorium, coś takiego: obowiązuje nas bardzo rygorystyczne i nierealistyczne prawo humanitarne, ale użyjemy bardzo ostrej i niehumanitarnej taktyki, aby powstrzymać migrantów przed przybyciem do nas. To o wiele mniej humanitarne odpowiedź. Byłoby lepiej, gdyby UE nieznacznie zmieniła swoją politykę, a unijne standardy detencji i tak będą znacznie lepsze niż zatrzymywanie migrantów przez milicję w Libii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

mużulmanek. Jednak w ostatnich latach liczba urodzeń wśród mużulmanek się zmniejszyła, poza utrzymującą się wysoką liczbą urodzeń wśród Beduinów wynoszącą ok. siedmiorga dzieci na kobietę. Z kolei wśród kobiet żydowskich nieznacznie wzrosła, więc obecnie wynosi ok. 3,3 wśród obu populacji, nie licząc wspomnianej niewielkiej społeczności Beduinów. Przyczynami spadku wskaźnika urodzeń wśród mużulmanów są edukacja i wzrost gospodarczy, jednak nie ma wystarczających wyjaśnień dla faktu, że wzrosła liczba urodzeń wśród Żydów.

Czy ma to związek z systemem opieki społecznej?

Izrael miał bardzo hojny system zasiłków na dzieci, na co naciskały ultraortodoksyjne rodziny, które często mają liczne potomstwo. Netanjahu ukrócił ten system, jednak dzietność wśród żydowskich kobiet nie spadła, a nawet wzrosła wśród tych niereligijnych. Dzisiaj nie ma rzeczywistych, znaczących korzyści ekonomicznych związanych z posiadaniem dzieci, i jest to fenomen głównie kulturowy.

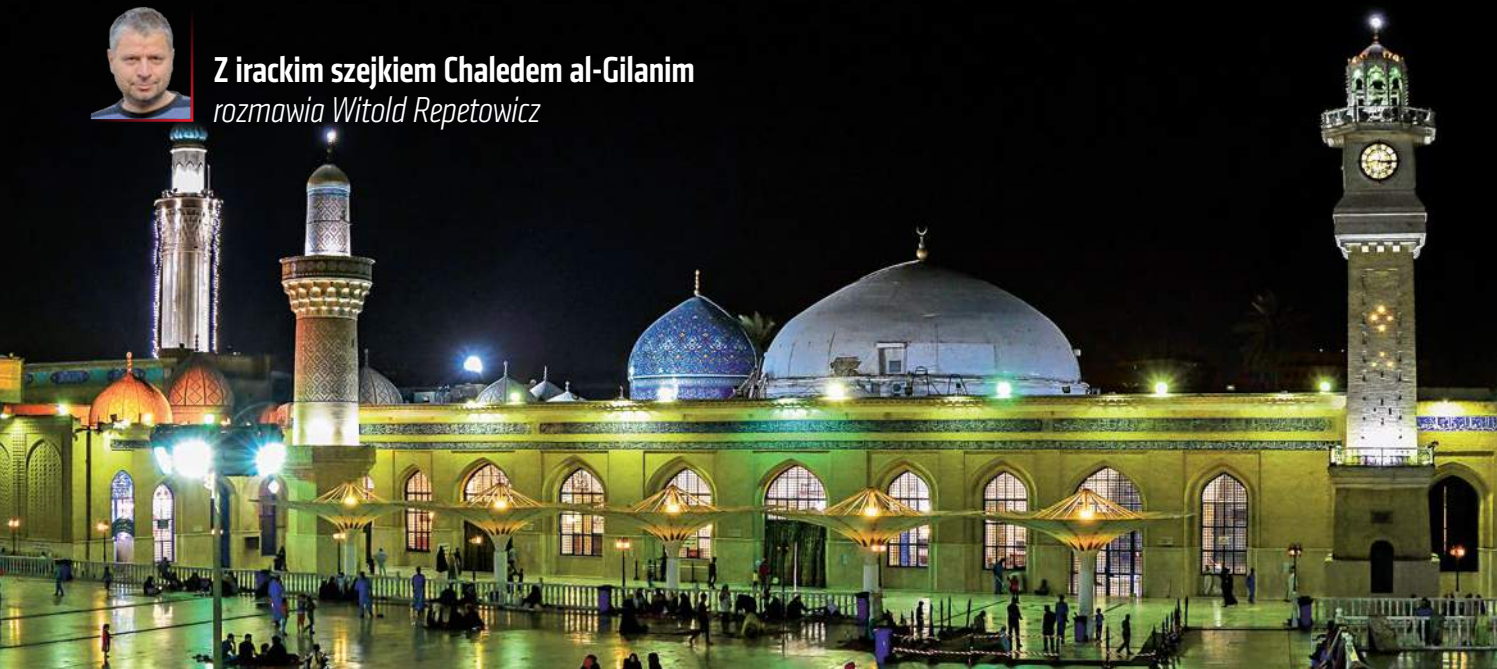
Czy można powiedzieć, że Izrael miał kryzys migracyjny i jakie środki zastosował, aby mu podołać?

Jeżeli popatrzymy na kraje takie jak Sudan czy Erytrea, to Izrael przyjął we wspomnianych latach 2010–2012 trzykrotnie więcej imigrantów niż cała Unia Europejska. W lutym, marcu,

Yonatan Jakubowicz – dyrektor zarządzający Izraelskiego Centrum Polityki Imigracyjnej, niezależnego think tanku, którego celem jest promowanie odpowiedzialnej polityki imigracyjnej. Doradca biurom premiera Izraela, ministerstwa sprawiedliwości i wewnętrznych w kwestiach przeciwdziałania nielegalnej migracji do Izraela. Wcześniej pracował jako strategiczny doradca dla izraelskich organizacji pozarządowych i redaktor dziennika „Jerusalem Post”.



Z irackim szejkiem Chaledem al-Gilanim
rozmawia Witold Repetowicz



Europa będzie wkrótce islamska

WITOLD REPETOWICZ: Jaka jest popularność w Iraku ekstremistycznych ideologii islamskich takich jak wahabizm, salafizm czy Bractwo Muzułmańskie?

SZEJK CHALED ABDELKADER AL-GILANI: Nie ulega wątpliwości, że Irak jest krajem islamskim, choć inne religie są, były i będą tu obecne, i my to respektujemy. Te radykalne ideologie są sprzeczne z tym, w co wierzymy, i dlatego tylko garstka ludzi w Iraku to popiera. W Iraku zawsze dominował sufizm. Po upadku Saddama wielu ludzi ze starego reżimu straciło pracę i nie miało z czego żyć. Przyszli do nich wahabici i powiedzieli: „Pomożemy wam, jeśli będziecie z nami”. Nie mieli z czego utrzymać swoich rodzin, więc się zgodzili.

Jednak przecież to jeszcze za Saddama zaczęła się kampania islamizacyjna w Iraku?

Tylko w niewielkim stopniu. Fakt, Saddam zaczął wsadzać do więzienia np. za nieislamski ubiór i nakazał, by wszyscy studiowali Koran. Jednak nauczanie oparte było na sufickiej interpretacji, całkowicie sprzecznej z tymi radykalnymi ideologiami. Zasadą sufizmu jest otwartość umysłu i walka językiem, a nie zabijaniem.

A jak wygląda religijność Irakijczyków obecnie?
Za kilkanaście lat nie będzie tu ani szyitów, ani sunnitów. Irakijczycy będą

mużulmanami tylko z nazwy. Już teraz nie znają swojej religii. To вина mediów, które realizują plan kulturowego zniszczenia naszego kraju. Plan ten powstał za granicą. Tak samo zniszczono w końcu XIX w. imperium osmańskie. Za sułtana Abdülhamida obce zwyczaje zaczęli wprowadzać Turcy, którzy wykształcili się w Europie. To doprowadziło do upadku imperium. I to samo realizowane jest teraz u nas.

Na ulicach Bagdadu można zauważyć gwałtowny wzrost liczby sklepów i barów z alkoholem. Czy uważa pan to za problem? Alkohol jest przecież zakazany w islamie.

Demokracja, otwarty kraj (śmiech). To sprawa rządu. W Iraku porządny ojciec powinien nauczyć swego syna, że alkohol jest haram, zakazany. Jednak teraz ludzie podążają za modą, która przychodzi od was, z Zachodu, i propagowana jest ona przez media, Internet. Kiedyś było nie do pomyślenia, by na południu Iraku kobieta pojawiła się na ulicy bez chusty albo żeby w Ramadi, stolicy prowincji Anbar, były sklepy z alkoholem. Teraz są. A jeszcze większym problemem są narkotyki.

Powiedział pan, że idea „państwa islamskiego” też przyszła z zewnątrz. Jednak przecież to jest arabski pomysł, stworzony przez Egipcjanina Saída Kutbę.

Irak nigdy nie będzie „państwem islamskim”, za to Europa jak najbardziej. Muzułmanie emigrują do Europy i mają tam po pięćoro dzieci. A wy ile macie? Jedno, może dwoje. Dysponujemy analizą, z której wynika, że do 2050 r. w Europie zostanie wprowadzone prawo islamskie. I to samo dotyczy języka. Jaki język dominuje teraz w Dubaju? Urdu! Dlaczego? Przez migrantów ekonomicznych. A wy się już lepiej zacznijcie uczyć arabskiego (śmiech). Zachód realizuje plan kulturowej destrukcji naszej kultury i religii tu, w Iraku, ale za to Europa wkrótce będzie islamska. Mój brat jest imamem w Manchesterze i ma tam 200 tys. ludzi.

Mówi pan, że religijność w Iraku spada, ale przecież w zachodnich mediach mówi się o religijnej wojnie, którą toczą w Iraku szyici i sunnici.

Gilani to wielka sunnicka rodzina, ale moja siostra wyszła za członka najważniejszego szyickiego rodu z Diwaniji. Wszystkie te opowieści o wrogości sunnicko-szyickiej w Iraku to bzdury i to też jest część planu zniszczenia Iraku. To USA i Iran próbują u nas rozbudzać właśnie szyicko-sunnickie.

A Al-Haszed asz-Szaabi (zdominowane przez szyitów oddziały ochotnicze, walczące z Państwem Islamskim) jest problemem dla sunnitów?



Meczet i mauzoleum szejka Abdelkadera al-Gilaniego w Bagdadzie. FOT. WIKIPEDIA

Wasze media podają tylko złe informacje o Iraku i dlatego twierdzą, że szyici w Al-Haszed asz-Szaabi prześladowają sunnitów. Prawda jest taka, że Al-Haszed asz-Szaabi robi tu dobrą robotę, w jego szeregach są nie tylko szyici, lecz także sunnici i Kurdowie. Nie powinni być jednak podzieleni na grupy związane z różnymi partiami, tylko mieć jednego lidera. To zresztą problem całego Iraku, brakuje silnego lidera.

Takiego jak Saddam?

Saddam i partia Baas to już przeszłość, zamknięta karta. Problemem Irakijczyków jest jednak to, że nie akceptują jednego lidera, chyba że – tak jak Saddam – pokaże im swą siłę. Gdy mój pradziadek Abd al-Rahman został pierwszym premierem Iraku po I wojnie światowej, to wszyscy go popierali: szyici, sunnici, Kurdowie, chrześcijanie, Żydzi, a on sam dobierał sobie ministrów. Obecny premier Adil Abd al-Mahdi to dobry człowiek, ale nie może skompletować rządu, bo mamy teraz w Iraku demokrację, kilkadziesiąt partii i każda ma swojego lidera, który ciągnie w swoją stronę i ma uzbrojonych ludzi na ulicy. Poza tym Amerykanie sprowadzili nam po 2003 r. pełno niewyedykowanych osób, które nie skończyły nawet szkoły średniej, ale dorwały się do władzy i zaczęły niszczyć ten kraj. Premier powinien mieć wolną rękę w doborze swoich ministrów, a potem, powiedzmy po roku, być rozliczany z efektów swoich rządów.

Czy teraz, po pokonaniu Państwa Islamskiego, Irak ma szansę na stabilizację?

To jest jak z upgrade'owaniem iPhone'ów, nowszy model zastępuje starszy. Państwo Islamskie zastąpiło Al-Kaidę i teraz czekamy na nowszy, doskonalszy model. Naszym problemem jest to, że inne kraje w regionie nie chcą, by Irak stanął na nogi. Bo to my kiedyś przewodziliśmy krajom Zatoki. Większość inteligencji arabskiej na emigracji to Irakijczycy. My jesteśmy kolebką języka arabskiego. Mamy ropę, mamy wodę, jesteśmy silnymi ludźmi o wielkim sercu, bo jest w nim nasza religia, i to się innym nie podoba. Chcą nas zniszczyć i robią to skutecznie. Jako pierwsi w świecie arabskim mieliśmy lotnisko, a teraz wygląda ono jak jakieś regionalne. Jesteśmy naftową potęgą, a mamy tylko kilka rafinerii. W dodatku wiele naszych pól naftowych i gazowych jest zamkniętych, choć chętnych do robienia inwestycji nie brak i stworzyłoby to wiele miejsc pracy, na których brak narzekają Irakijczycy, zwłaszcza młodzież. Jak wyglądają nasze domy handlowe w porównaniu z takim Dubajem? A przecież kilkadziesiąt lat temu ówczesny emir Dubaju, gdy przyjechał do Iraku, mówił, że chciałby mieć choć jedną taką ulicę jak w Bagdadzie.

Mówi pan o świecie arabskim, ale w Iraku mieszkają również grupy etniczne mówiące innymi językami, a w konstytucji zapisane jest, że są dwa języki urzędowe – arabski i kurdyjski.

Trudno zrozumieć Irak i to nie tylko teraz, ale od 7 tys. lat. Do czasów Proroka [Mahometa – przyp. red.] nie byliśmy krajem arabskim. Abraham pochodził stąd i nie mówił po arabsku, tylko po babilońsku. Arabskość nadeszła z islamem. Jednak jesteśmy przede wszystkim Irakijczykami i dotyczy to wszystkich religii: muzułmanów, chrześcijan, żydów. I do niedawna wszyscy mówili po arabsku, choć mają też swoje języki. Dopiero teraz to się zmieniło.

Wspominał pan o irackich Żydach, których już tu nie ma, bo zostali oni zmuszeni do opuszczenia Iraku.

Kilka rodzin pozostało i niektórych znam, i mam z nimi bardzo dobre relacje.



Chaled Abdelkader al-Gilani – iracki szejka, obecna głowa rodu Al-Gilani, do którego należało wielu wysokich rangą dostojników imperium osmańskiego. Pradziadek szejka Chaleda, Abd al-Rahman al-Gilani, był pierwszym irackim premierem po I wojnie światowej. Protoplastą rodu jest szejka Abdelkader al-Gilani, XII-wieczny muzułmański uczony, mistyk i teolog, którego mauzoleum jest dziś jednym z najważniejszych meczetów w Bagdadzie. Szejka Abdelkader był też założycielem sufickiego bractwa Al-Kadirija.

Nigdy u nas nie było problemu między Żydami i muzułmanami czy Arabami. Iracy Żydzi zawsze byli przede wszystkim Irakijczykami, a dopiero potem Żydami. Nawet teraz można spotkać wśród nich osoby mówiące takim pięknym językiem arabskim sprzed pół wieku, że łąza się w oku kręci. Zmuszenie ich do opuszczenia Iraku w latach 1948 i 1952 miało katastrofalne konsekwencje dla gospodarki Iraku, bo to byli przedsiębiorcy, ludzie biznesu. I to był spisek. Chodziło o to, żeby nie mieli gdzie pójść i przez to skłonić ich do budowy własnego państwa. Jednak nawet teraz, nawet w Izraelu, wielu z nich wciąż czuje więź z Irakiem.

Przedstawicielka innej grupy religijnej, jazydów, która była w niewoli seksualnej Państwa Islamskiego, dostała niedawno Pokojową Nagrodę Nobla. Czy Irakijczycy są z tego powodu dumni?

Oczywiście, to bardzo ważne dla całego Iraku.

Upadek Saddama zaczął się od najazdu na Kuwejt. Saddam twierdził, że to część Iraku. Co pan o tym sądzi?

Mam dokumenty z początku XX w., z których jednoznacznie wynika, że Kuwejt w czasach imperium osmańskiego należał do irackiej prowincji Basry. Teraz jednak to zamknięty temat. Jesteśmy odrębnymi państwami i tak już zostanie.

Jest pan strażnikiem grobowca swojego przodka Abdelkadera al-Gilaniego, który jest patronem sufickiego bractwa Al-Kadirija. Jakie związki z Al-Kadiriją ma czeczeński prezydent Ramzan Kadyrow.

Nazwisko Kadyrow pochodzi od imienia szejka Abdelkadera. Za czasów Saddama mieliśmy z Kadyrowami kontakty i bardzo dużo Czeczenów przyjeżdżało do Bagdadu, by oddać pokłon szejkowi Abdelkaderowi. Teraz te kontakty są utrudnione, ale wiem, że Ramzan Kadyrow jest religijnie oddany szejkowi Abdelkaderowi.

Pana zdaniem Kadyrow jest liderem religijnym? Tak, oczywiście.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Niemieckie przejęcie



Łukasz Zboralski

Niemiecka gospodarka otwiera się na Ukraińców, ale tych wykwalifikowanych. Wielu w Polsce odetchnęło. Czy słusznie?

Niemcy, którzy polityką „otwartych granic” ściągnęli do siebie wielu młodych ludzi, z których potencjalnie jednak będą mieli inną ścieżkę. Postanowili sięgnąć po pracowników z Ukrainy.

To budziło w Polsce wiadome obawy, bo to głównie ukraińscy pracownicy łatają niedobory na naszym rynku pracy. Boom rozpoczął się w 2014 r. I do dziś co roku trend tylko się pogłębia. Skala jest już ogromna. W 2017 r. pracowało w Polsce już ok. 900 tys. Ukraińców – tak wskazał raport z badania „Obywatele Ukrainy pracujący w Polsce” przeprowadzonego na zlecenie Departamentu Ekonomicznego NBP. Tylko w trzech kwartałach tamtego roku imigranci przekazali na Ukrainę ponad 8,6 mld zł zarobionych w Polsce.

Inne szacunki (m.in. raport Work Service) mówią, że w ubiegłym roku było już nad Wisłą ponad milion imigrantów z Ukrainy. Co więcej – 84 proc. Ukraińców deklaruje, że poleciłoby pracę w Polsce swoim znajomym lub rodzinie. Zdecydowana większość z nich chciałaby tu zostać na dłużej, na 2–3 lata.

Po ogłoszeniu szczegółów projektu uzgodnionego przez niemiecki rząd wielu w Polsce, także w prasie, odetchnęło z ulgą. Wszyscy sugerują, że Niemcy postawili wiele barier i w związku z tym Ukraińcy z Polski się nie ruszą. To chyba jednak optymizm mocno na wyrost.

Niemieckie przepisy rzeczywiście nie oznaczają zupełnie łatwego otwarcia granic dla pragnących pracować Ukraińców. Jednak będą też ułatwienia. Projekt ustawy zakłada, że do Niemiec będą mogli przyjechać nie tylko ci Ukraińcy, którzy mają już zorganizowane miejsce zatrudnienia, ale także poszukujący pracy. Będą mogli spędzić na poszukiwaniach zajęcia nawet pół roku. Są oczywiście warunki – będzie należało wykazać się znajomością języka oraz dysponować środkami pozwalającymi na utrzymanie się podczas poszukiwania pracy.

Już wcześniej do Niemiec do pracy mogli jechać ludzie legitymujący się wyż-

szym wykształceniem. Teraz będą mogli tam pracować także Ukraińcy, którzy mają wykształcenie zawodowe i legitymują się znajomością języka. Widać więc, że niemiecki rząd stawia na konkretnych fachowców.

Nowe przepisy muszą jeszcze przejść całą legislacyjną ścieżkę. „Dziennik” ustalił już w niemieckim resorcie pracy i spraw socjalnych, że zmiany w prawie najszybciej mogą wejść w życie od 1 stycznia 2020 r. Polska ma więc czas, by się do tego przygotować. Czy musi?

Warto sprawdzić w danych, bo takie już w Polsce mamy, czy powszechne przekonanie o tym, iż nie grozi nam odływ ukraińskich pracowników do Niemiec, ma rzeczywiście solidne podstawy.

CO ICH TU TRZYMA?

Wśród argumentów może być to, że Ukraińcom do Polski bliżej niż do Niemiec, i to że łatwiej też porozumieć się im z mówiącymi po polsku niż po niemiecku. Argument językowy jest dość łatwy do obalenia – wystarczy przypomnieć sobie, jak w czasach PRL polscy pracownicy znajdowali zajęcie i potrafili się odnaleźć nie tylko w Niemczech, choć wielu z nich nie posługiwało się dobrze językiem obcym. A jak szybko uczyli się

KTO WYGRA WOJNĘ O PRACOWNIKÓW Z UKRAINY

języka najnowszy polscy emigranci, którzy w ostatniej dekadzie pojechali szukać swojego szczęścia w Wielkiej Brytanii?

Drugi argument – o bliskości Polski graniczącej z Ukrainą – też może okazać się chwiejny, gdy sprawdzić w raporcie „Postawy obywateli Ukrainy wobec polskiego rynku pracy” (opublikowanym przez Work Service w sierpniu ubiegłego roku), co tak naprawdę przyciąga Ukraińców do Polski. Bliskość własnego kraju jest jednym z najmniej ważnych argumentów. Zaledwie 9 proc. Ukraińców pytanych o powód przyjazdu podało „Niewielką odległość od domu”. Kluczowe są... pieniądze. 76 proc. przyznaje, że przyjechało do Polski, bo są tu wyższe zarobki. A jeszcze 21 proc. bierze pod uwagę lepsze u nas warunki socjalne. Podoba im się też (37 proc.) wyższy standard życia niż w ich ojczyźnie.

Jak w takim kontekście wygląda oferta pracy na rynku niemieckim? Skoro Ukraińcy jadą za granicę głównie po to, by więcej zarobić – i zarabiają u nas 3–5 razy więcej niż w ojczyźnie – to czy nie będą chcieli zarabiać jeszcze średnio trzy razy więcej?

Raport Work Service sięgnął zresztą głębiej i w badaniu zapytano Ukraińców pracujących w Polsce, jak zachowali się po zmianie polityki migracyjnej w Niemczech. Wyjazd za Odrę zdecydowanie odrzuca zaledwie 6 proc. z nich. Kolejnych 22 proc. twierdzi, że „raczej nie” wyjedzie. Za to blisko 60 proc. jest gotowych spakować walizki i pojechać do Niemiec.

PROSTE PRACE I SPECJALIŚCI

Dużo zmieniło się też od początku ukraińskiego imigracyjnego boomu pracowniczego w 2014 r. Wtedy Ukraińcy zapewniali głównie pola polskich rolników. Ponad połowa oświadczeń o zamiarze zatrudnienia pracownika z Ukrainy dotyczyła sektora rolniczego. To się jednak zmieniło. Już w 2016 r. udział sektora rolniczego spadł do 25,6 proc. Ukraińcy, którzy najczęściej docierali na Mazowsze i do Warszawy, zaczęli też rozpraszać się po kraju i podejmować prace w mniejszych miejscowościach. Sięgają po nich zakłady z rozmaitych branż – budowlanej, motoryzacyjnej, meblarskiej.

Mija już kilka lat, od kiedy ukraińscy pracownicy nie tylko pracują w wielkich zakładach, lecz także byli przez pracodawców dokształceni do zawodu. Mają

też już kilkuletnie doświadczenie. Trudno uznać, że nie rośnie grupa wykwalifikowanych. Być może nadal część osób zaczyna od pracy w rolnictwie – ale dziś widać już, że trafiają tam zdecydowanie najgorzej wykształceni Ukraińcy z niewielkich miejscowości.

Czy właśnie nie po tych, wykształconych i przyuczonych w fabrykach i zakładach na terenie Polski, będą chcieli sięgnąć pracodawcy z Niemiec, którym już dziś brakuje ponad milion pracowników?

Raport dla NBP, który objął tylko aglomerację warszawską oraz lubelską, pokazał, że wśród migrantów z Ukrainy dominują ludzie młodzi i w średnim wieku. Średnia wieku w Lublinie sięgała 21,8 roku, a w stolicy – 38,7. Oczywiście uwzględniono też studentów, ale i oni podejmują pracę w Polsce. W aglomeracji warszawskiej pracuje połowa ukraińskich żaków, a w Lublinie – co piąty.

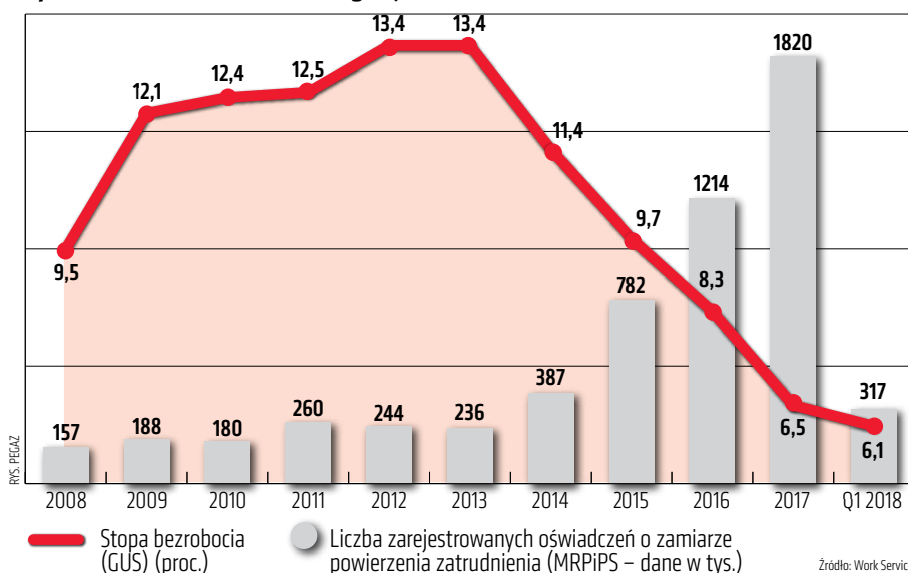
Wiadomo, że większość imigrantów (ok. 73 proc. w Warszawie i blisko 66 proc. w Lublinie) wykonuje proste prace, zwykle poniżej swoich kwalifikacji. Jednak co piąty Ukraińiec zatrudniony w aglomeracji warszawskiej był zatrudniony jako wykwalifikowany rzemieślnik lub robotnik (21,8 proc.). W Lublinie obraz jest jeszcze inny. Tam oprócz wykwalifikowanych robotników (12,1 proc.) na rynku jest też sporo specjalistów, takich jak lekarze czy prawnicy (12,1 proc.). Ponad połowa studentów na Lubelszczyźnie deklarowała pracę w charakterze specjalisty.

Bardzo ostrożne szacunki wskazują, że Polskę na rzecz pracy w Niemczech opuścić może co piąty Ukraińiec. Wszystko wskazuje na to, że będą to najlepiej wykształceni ludzie i fachowcy w swoich branżach. To – po drenażu polskich wykwalifikowanych pracowników – kolejna niedobra wiadomość dla naszej gospodarki, która ma w końcu stawać się „innovacyjna”.

Dodatkowy problem to to, że nawet Ukraińcy nie do końca zapewniali wakaty w firmach w Polsce. Te szukały już pracowników dalej, np. w Indiach. Stowarzyszenie Transport i Logistyka Polska, zrzeszające firmy transportowe, kilkanaście dni temu zaapelowało do wiceministra infrastruktury Marka Chodkiewicza o zawarcie dwustronnych umów o wzajemnym uznawaniu praw jazdy między Polską a krajami Azji Południowo-Wschodniej. W ten sposób transportowcy chcieliby szybciej zatrudniać pracowników, bo Ukraińcy, których za kierownicami przybyło bardzo wielu, nie wystarczają.

Na razie nie możemy płacowo konkurować z Niemcami. Mamy jednak w ręku inne narzędzia – można Ukraińcom, których migracja nie jest dla nas kulturowo groźna, ułatwić dłuższe pobyty, których oczekują. Można też wykonać jeszcze wiele ruchów, które pozwolą firmom płacić polskim pracownikom więcej. I sami pracodawcy też powinni to zrozumieć, że dzieląc się lepiej z pracownikami, dbają o własny interes. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Spadek bezrobocia i wzrost imigracji



Latwo i słusznie można zarzucić PiS fatalny tryb procedowania ustawy dotyczącej bardzo skomplikowanego i częściowo regulowanego rynku. Prawo mające zapobiec podwyżkom cen energii przyjęto na chybiłkę, z poprawkami nanoszonymi w ostatniej chwili, z posłami nierozumiejącymi, nad czym głośnią, i prezydentem, który „zapoznał się” z ustawą w ciągu kilkunastu godzin. Tyle że w tej sprawie wina za gigantyczne zaniedbania, lekkomyślność i koniunkturalizm rozkłada się na oba główne obozy i sięga czasów tak politycznie zamierzających jak ratyfikacja przez Polskę traktatu lizbońskiego.

Nie ma chyba ośrodka analitycznego, który uznałby przyjęte przez rządzących rozwiązanie za dobre. „12-stronicowa autopoprawka sankcjonująca jedną z największych interwencji państwa w rynek energii trafiła do posłów na kilka chwil przed głosowaniem. Ustawa z założenia mająca chronić nas przed drastycznymi podwyżkami cen energii, w rzeczywistości

rok firmy energetyczne i wszyscy odbiorcy będą w dużo gorszej sytuacji. Podwyżki i ewentualny zwrot pomocy publicznej mogą być bardzo dotkliwe, a w energetyce zapanuje kompletny chaos”.

„Nowa Konfederacja” w swojej analizie stwierdza: „[...] ponownie wszystkim siłom politycznym obecnym na parlamentarnej scenie zabrakło odwagi, aby szczerze wskazać przyczyny zachodzących zjawisk w branży energetycznej oraz wspólnie wdrożyć działania mające na celu niedopuszczenie do podobnych sytuacji w przyszłości. Wszystkie rządy, w większym lub mniejszym stopniu, odpowiadają za brak niezbędnych inwestycji w branżę energetyczną. Od kilkunastu lat nasz kraj nie jest w stanie wybudować nawet jednej elektrowni atomowej, mimo że każdy z kolejnych rządów wpisuje tego typu inwestycję w swoją strategię”.

JAK TO SIĘ STAŁO

Prześledzenie procesu, który doprowadził nas do obecnego etapu, jest bardzo

w 2004 r. Faktem jest również, że gdy pakiet energetyczno-klimatyczny, którego częścią jest mechanizm handlu prawami do emisji CO₂ (EU-ETS), był negocjowany, rządziła Platforma – był to rok 2008. Na skrajnie dla nas niekorzystny mechanizm zgodził się ostatecznie Donald Tusk. Tyle że godził się na niego również ówczesny prezydent Lech Kaczyński, który w wywiadzie dla „Dziennika” w 2008 r. mówił tak: „Moja polityka dawała rezultaty, ale wielu się nie podobała. Musiała się nie podobać, bo my robiliśmy to, co w naszym interesie. Ale czy ja w UE nie byłem solidarny? Przecież zgodziłem się na przykład na politykę klimatyczną z punktu widzenia Polski ryzykowną. To był mój gest w stosunku do pani kanclerz Angeli Merkel. Niestety nie zawsze mogliśmy liczyć na podobne gesty pod naszym adresem”.

Pod prąd



Łukasz Warzecha

Problem wzrostu cen energii to gigantyczne zaniedbania sięgające czasów ratyfikacji traktatu lizbońskiego

stanowi groźny precedens – przesuwając Polskę od gospodarki rynkowej w stronę centralnego sterowania. Trzy dni przed sesją w Sejmie to nie jest wystarczający czas na przeprowadzenie fundamentalnych zmian w polityce energetycznej państwa [...]” – czytamy w stanowisku Warszawskiego Enterprise Institute.

Ekspert portalu Wysokie Napięcie przestrzega: „Przepychając ustawę o dotowaniu energii elektrycznej, rząd postawił wszystko na jedną kartę. Jeśli przegra, to za

trudne. W zależności od sympatii politycznych jako winni wskazywani są politycy PO lub PiS. Żongluje się konkluzjami ze spotkań Rady Europejskiej w ciągu co najmniej ostatniej dekady, rezolucjami Parlamentu Europejskiego i stanowiskami Komisji Europejskiej.

Faktem jest, że pierwsze rozmowy o polityce klimatyczno-energetycznej UE, której skutki właśnie odczuwamy, zaczęły się kilkanaście lat temu, a tempa nabrały wkrótce po przystąpieniu Polski do UE

Lech Kaczyński wiedział zatem doskonale, że unijna polityka klimatyczna już w swojej pierwotnej postaci stanowiła dla nas wielkie ryzyko, a mimo to je podjął. W tej samej rozmowie prezydent stwierdzał, że podpisanie w tamtym momencie traktatu lizbońskiego, na którego postanowienia zgodził się już wcześniej, jest bezprzedmiotowe. Zdecydował się na to jednak w październiku 2009 r. Traktat lizboński potężnie ograniczył polskie pole manewru w kluczowych dla nas kwestiach. W tym w sprawie polityki energetycznej UE.

Kryzys z cenami prądu można było przewidzieć już dawno, bo godząc się na pakiet energetyczno-klimatyczny, powinniśmy byli rozumieć, że jego początkowe



postanowienia będą stopniowo zaostrzane, a ceny pozwoleń na emisję CO₂ będą rosnąć. Tyle że w tamtym czasie, gdy mechanizm był uzgadniany, zadziałała dojrztliwość polskiej polityki, tak samo jak w przypadku traktatu lizbońskiego. Broniąc swojej decyzji o jego podpisaniu, prezydent Kaczyński argumentował, że do czasu, gdy w marcu 2017 r. wygaśnie tymczasowy mechanizm z Joany (pozwalający nam wciąż blokować niektóre decyzje na zasadach z traktatu nicejskiego), wiele może się jeszcze w UE wydarzyć. Jak dziś widzimy, częściowo się mylił: wydarzyło się faktycznie wiele, ale na naszą niekorzyść, i brakuje dawnego nicejskiego sposobu liczenia głosów. Identyfikując się z pakietem energetyczno-klimatycznym: rządząca Platforma chwaliła się tym, że wynegocjowała dużą pulę darmowych uprawnień do emisji CO₂ dla Polski na lata 2013–2020, czyli – z punktu widzenia czteroletniego cyklu wyborczego – na czas niesamowicie odległy. Problem w tym, że ta pula właśnie się kończy.

Handel uprawnieniami podlega typowo spekulacyjnym wahaniom, ceny uprawnień potrafią rosnąć lub spadać w zależności od deklaracji polityków. Co gorsza, Polsce w lutym 2018 r. nie udało się zablokować reformy systemu EU-ETS, przewidującej ograniczenie liczby uprawnień o 2,2 proc. na rok, począwszy od 2021 r. Nie było to zresztą jedyne niekorzystne dla nas podjęte wówczas postanowienie. Polskę reprezentował na Radzie UE minister Tchoźzewski, który mimo ewidentnej porażki jeszcze w październiku twierdził, że żadnych lub prawie żadnych wzrostów cen prądu nie będzie.

INDOLENCJA I INFRASTRUKTURA

Na obecny stan rzeczy złożyło się kilka czynników. Po pierwsze – polityka klimatyczna UE. Jakkolwiek krytycznie byśmy ją oceniali, została wdrożona, a jej założenia i dążenia poszczególnych państw członkowskich były doskonale rozpoznane. Poza początkowymi ustępstwami na naszą rzecz nie udało nam się w żadnym momencie zablokować jej ewolucji w coraz bardziej niekorzystnym dla nas kierunku. Chociaż jako państwo wykonaliśmy relatywnie ogromną pracę nad ograniczeniem poziomu emisji CO₂ od 1989 r., to każdy kraj UE patrzył jak zwykle tylko na własny interes. Proces stopniowego zaostrzania norm przypominał walec i powstaje pytanie, czy jakakolwiek polska siła polityczna byłaby w stanie mu się przeciwstawić.

Po drugie – dramatyczny stan polskiej infrastruktury energetycznej, wymagający od firm energetycznych ogromnych nakładów nawet nie na jej modernizację, ale po prostu utrzymanie w stanie użyteczności. Szacunki mówią, że przedsiębiorstwa energetyczne do 2030 r. powinny wydać na inwestycje aż 240 mld zł! Dla porównania – zeszłoroczny budżet zakładał 355 mld zł dochodu. Tymczasem obecny rząd w ramach dopieszczania górników nałożył na barki firm produkujących prąd utrzymanie nierentownych kopalń.

Po trzecie – całkowita indolencja poprzedniej władzy, ale też obecnej, w kwestii zmiany polskiego miksu energetycznego, w którym nadal 80 proc. stanowi energia z węgla. Jego cena też oczywiście ma znaczenie dla cen prądu. Konsekwencje są jasne: skoro UE karze za emitowanie CO₂, to żeby wyjść z tej pułapki – czy nam się to podoba, czy nie – musimy mieć jak najwięcej energii ze źródeł niskoemisyjnych (niekoniecznie odnawialnych). Zwłaszcza że do 2030 r. udział węgla w naszej energetyce ma być zmniejszony do 50 proc.

Tymczasem energetyka odnawialna ma w Polsce umiarkowane perspektywy. Panele słoneczne nie będą efektywne ze względu na klimat i wciąż raczkującą technologię magazynowania energii. Farmy wiatrowe na lądzie były przez PiS ostro zwalczane, a ich efektywność także pozostawia wiele do życzenia w zestawieniu z konwencjonalnymi elektrowniami. Zresztą dla stabilności systemu konieczne jest, aby odnawialne źródła energii miały backup, czyli tradycyjne źródła rezerwowe, niekoniecznie oparte przecież na węglu, ale mogące wytworzyć prąd „po naciśnięciu guzika”. Odpowiedź jest zatem oczywista: już dawno temu powinna być się w Polsce zacząć budowa przynajmniej jednej elektrowni jądrowej. Platforma nie zrobiła nic w tym celu przez osiem lat – poza powołaniem spółki z sówicie wynagradzanymi stanowiskami. PiS nie zrobił nic od 2015 r. do dziś. Spółka zresztą działa nadal. Nawet gdybyśmy zaczęli konkretne działania od jutra, elektrownia nie będzie gotowa na rok 2030.

Przegłosowana przez Sejm ustawa, wbrew medialnym twierdzeniom, nie zatrzymuje wzrostu cen prądu, a jedynie przesuwa koszt tego wzrostu na budżet państwa. Z obniżką akcyzy na prąd (nie wiadomo, czy w planach jest utrzymanie niskiego jej poziomu dłużej niż przez rok wyborczy) nie łączy się przecież żadne ograniczenie wydatków państwa. Przeciwnie – ta sama ustawa przewidu-

je ich zwiększenie poprzez utworzenie funduszu, który ma wyrównać firmom energetycznym straty, jakie te poniosą w wyniku renegotjacji już zawartych umów, w wyniku których klienci mieliby zapłacić za prąd więcej niż w 2018 r. To zresztą najbardziej wątpliwy punkt planu. Po pierwsze – pomoc dla firm zostanie prawdopodobnie zakwestionowana przez Komisję Europejską jako niedozwolona pomoc publiczna. Po drugie – nie bardzo wiadomo, w jakim trybie ustawa w swoich artykułach 5 i 6 zobowiązuje firmy do zmiany już podpisanych umów. Przecież mówimy o spółkach, owszem, z udziałem Skarbu Państwa, ale ich akcje są też w rękach innych podmiotów, a prezesi zarządów Taurona czy Energi mają kierować swoimi firmami zgodnie z rynkową logiką, choć ograniczoną przez kontrolną rolę Urzędu Regulacji Energetyki. Tymczasem ustawa ni mniej, ni więcej, ale bezpośrednio wymusza, i to z mocą wsteczną, obniżki cen w już zawartych umowach. To posunięcie bezprecedensowe.

Błyskawiczna akcja legislacyjna nie została niestety zgrana z prezentacją żadnej spójnej strategii. Tymczasem fakty są nieublagane. Polska nie jest w stanie w krótkim okresie zmienić polityki energetyczno-klimatycznej UE. Jesteśmy w naszej fascynacji węglem odosobnieni – choć jakieś widoki na przyszłość daje nam być może kryzys Energiewende (przemiany energetycznej) w Niemczech, wciąż korzystających z węgla, głównie brunatnego. Musimy zatem przyjąć, że nasz prąd po prostu musi więcej kosztować. Dobrą drogą do skompensowania wzrostu cen jest faktycznie obniżka podatków, jakimi jest obłożony, ale musiałyby ona być skoordynowana z obniżką wydatków państwa – a tego rząd PiS nie planuje. Zarazem absolutną koniecznością jest jak najszybsze przedstawienie planu zmniejszenia udziału węgla w polskim miksie, choćby przez możliwie szybkie opracowanie koncepcji budowy farm wiatrowych na Bałtyku czy budowę elektrowni gazowych.

Droższego prądu nie unikniemy, ale tym ważniejsze jest teraz, żeby zamiast panicznych, doraźnych ruchów opracować mądry plan, którego ewentualni następcy nie zmienią tylko dlatego, że przygotowali go poprzednicy z innej opcji. Gdyby PiS pokazał, że jest w stanie taką pracę wykonać, byłby to prawdziwy pomnik roztropnej polityki. Czasu już właściwie nie mamy.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Niemcy znowu nas ograły?

Niewykluczone, że już w 2019 r. Polska będzie mogła się szczycić jeszcze niższą stopą bezrobocia niż osiągnięta w i tak już rekordowym pod tym względem 2018 r. Czyli będzie jeszcze więcej wolnych, czekających na chętnych z kwalifikacjami miejsc pracy niż osób szukających zajęcia – i to nawet gdyby znakomite tempo wzrostu naszej gospodarki wyhamowało.

A wszystko przez to, że Niemcy właśnie przyjęły przepisy, które znacznie ułatwiają przybyzsom spoza Unii Europejskiej przyjazd do ich państwa w celach zarobkowych. A więc także znajdowanie posad Ukraińcom, których pewnie około miliona pracuje dziś w Polsce – jedni legalnie, inni na czarno. I z których ponad połowa już deklaruje, że rozważa rzucenie pracy w Polsce i szukanie lepiej płatnej za naszą zachodnią granicą. Co to będzie oznaczało dla Polski, jeśli nie uda się ich czymś skusić i u nas zatrzymać, nie trzeba chyba wyjaśniać, skoro firmy już teraz bezskutecznie poszukują wielu pracowników.

Czyli rząd Niemiec kolejny raz wsparł własną gospodarkę kosztem polskiej. Wszelako czyż nie od tego jest rząd Niemiec, by wspierać gospodarkę Niemiec? Tak jak rząd Polski jest od tego, by wspierać gospodarkę Polski. Co zatem powinien – i to dawno temu – uczynić, jeśli poważnie traktuje choćby prognozy Rządowej Rady Ludnościowej, która uznała, że warunkiem utrzymania obecnego tempa wzrostu gospodarczego jest przyjęcie do

2050 r. przez Polskę 5 mln imigrantów zarobkowych? Rzecz jasna imigrantów bliskich nam kulturowo, gotowych ciężko pracować, a także asymilować się w naszej ojczyźnie.

Dwa lata temu na Forum Ekonomicznym w Krynicy, podczas panelu na ten temat, jego gospodarz – Związek Przedsiębiorców i Pracodawców – w swej rekomendacji postulował, by „jak najszybciej zalegalizować pobyt wszystkich Ukraińców, Wietnamczyków i Białorusinów przebywających w danym czasie na terytorium Polski, poprzez automatyczne przyznanie im prawa stałego pobytu”. Sugerując, że rozwiązanie to – wzorowane na „ustawie reaganowskiej z 1982 r., legalizującej pobyt Polaków znajdujących się wówczas w USA” – powinno zostać przyjęte niezwłocznie. A „wymienione nacje powinny być preferowane ze względu na swoją pracowitość i bezproblemową asymilację”.

W panelu tym – we wrześniu 2016 r. – wzięło udział dwóch urzędników rządu PiS, jeden z nich – i wtedy, i zwłaszcza dziś – bardzo wysokiej rangi. Jaki wniosek wyciągnęli z tych rad, a może i innych – bo przecież dróg do celu jest wiele, poznamy wkrótce – po owocach. Testem ich zapobiegliwości w tej kwestii będzie wybór, którego po otwarciu przez Niemcy granicy dla pracowników spoza UE dokonają „polscy” Ukraińcy, Białorusini i Wietnamczycy: Ilu z nich zechce nadal pracować i bogacić się u nas, przy okazji tworząc bogactwo Polski, a ilu wybierze Niemcy? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Innowacyjność w Polsce

Przez minioną dekadę wielokrotnie informowałem opinię publiczną o tym, że za czasów rządów PO dramatycznie pogarszała się innowacyjność w Polsce, co potwierdzały wszystkie poważne międzynarodowe rankingi i dane GUS. W latach 2006–2015 odsetek innowacyjnych firm w przemyśle spadł z 23 do 17 proc., a w usługach – z 21 do 10 proc. Polska spadła w rankingu innowacyjności Światowego Forum Ekonomicznego z 44. miejsca na 64.

Postanowiłem ponownie rzucić okiem na dane,

W rankingu innowacyjności Polska zajmuje 38. miejsce

które pozwalają ocenić, jak się miewa polska innowacyjność pod koniec 2018 r. Tym razem widać znaczącą poprawę, ale niektóre słabe punkty pozostały. W rankingu innowacyjności Światowego Forum Ekonomicznego Polska zajmuje 38. miejsce (skok z 64.), a pod względem efektywności wykorzystania innowacyjnych zasobów miejsce 42. (skok ze 110.). To wielka poprawa w tak krótkim okresie. Dane GUS na razie nie potwierdzają aż tak dużej poprawy. Co prawda, odsetek firm innowacyjnych w przemyśle wzrósł do 20 proc., a w usługach do 12 w 2017 r., ale udział sprzedaży innowa-

cyjnych produktów w przychodach firm przetwórstwa przemysłowego ciągle spada. Zatem po ośmiu latach katastrofy innowacyjności w Polsce mamy odwrócenie trendu, chociaż jeszcze nie na tyle silne, żeby można mówić o innowacyjnym przełomie.

Ranking Innowacyjności Światowego Forum Ekonomicznego daje pewne wskazówki, co jeszcze należy poprawić. Na przykład pod względem jakości instytucji badawczych jesteśmy na 18. miejscu na świecie, to olbrzymi skok z ok. 60. miejsca za czasów PO. Zdumiewające jest, że przy tak wysokiej ocenie polskiej nauki jednocześnie miejsce Polski w rankingu współpracy uczelni i biznesu w dziedzinie B+R jest coraz gorsze – 38. w 2006, 73. w 2015 i 116. – w 2018 r.

Za czasów PO były dwa główne czynniki negatywnie wpływające na innowacyjność w Polsce: rząd i uczelnie. Obecnie pozostał już tylko jeden, czyli uczelnie, które (poza chlubnymi wyjątkami) nie współpracują z biznesem w dziedzinie B+R tak skutecznie, jak robią to uczelnie w 115 innych krajach świata, mimo że jakość badań i publikacji polskich naukowców to światowa czołówka.

Pojawia się pytanie: Czy Konstytucja dla Nauki wicepremiera Gowina właściwie rozkłada akcenty między współpracą uczelni z biznesem a jakością publikacji naukowych? Czas pokaże. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: TELEWIZOR SAMSUNG 55Q7F

Atrakcyjny, minimalistyczny design, znakomita ostrość obrazu w trybie 4K, szeroki zakres barw oraz dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety telewizora Samsunga ze średniej półki.

Testowany telewizor jest niezwykle cienki (bez podstawy w najgrubszym miejscu mierzy niecałe 5 cm). 55-calowa odmiana model Q7F waży 21 kg, z czego sama podstawa waży 3,5 kg. Na szczęście stylowa, metalowa podstawa wygląda na lżejszą, niż jest, i nie zajmuje na szafce zbyt wiele miejsca. Z praktycznego i estetycznego punktu widzenia plusem tego modelu jest też moduł One Connect – od telewizora prowadzi do niego tylko jeden, niemal niewidoczny kabel (nie ma dodatkowego przewodu zasilającego), co znacząco ułatwia życie osobom chcącym powiesić telewizor na ścianie. Wieszak ścienny No-Gap pozwala z kolei powiesić telewizor tak, aby przylegał do ściany niczym obraz. Dopiero do modułu One Connect podłącza się zasilanie, a także wszelkie kable HDMI, pamięci USB etc. – całą plątaninę kabli i przewodów można więc dobrze ukryć.

Wyświetlacz o rozdzielczości 3840 x 2160. Na pochwałę zasługują niezły kontrast, widocznie lepszy niż u niektórych konkurentów, a także szeroka paleta barw. Plus koreańskim inżynierom należy się również za wysoką ostrość obrazów ruchomych oraz fantastyczną jasność w trybie HDR. Testowany model nieźle radzi sobie również z odbiciami światła, może być więc dobrym wyborem dla osób

szukających telewizora do jasnych pomieszczeń. Zapalonych graczy ucieszy z kolei niewielkie opóźnienie sygnału. Zaletami są też ogromna liczba dostępnych aplikacji oraz wiele funkcji Smart.

Jak na płaski telewizor dźwięk jest więcej niż przyzwoity. Głośniki o mocy 40W emitują wyraźny dźwięk z niezłym basem. Mimo to audiofile marzący o prawdziwym kinie domowym powinni kupić dodatkowy system nagłośnieniowy.

A wady tego modelu? Po pierwsze, najlepszą jakością cieszyć mogą się tylko ci, którzy siedzą dokładnie na wprost ekranu. Siedzący po bokach muszą pogodzić się z pogorszeniem obrazu.

Poza tym, aby uzyskać niezwykle wysoką jasność, konstruktorzy poświęcili część głębokiej czerni. Po stronie minusów można też wpisać brak nowoczesnego gniazda USB 3.0 oraz klasę energetyczną B (koszt rocznego zużycia energii przez ten model szacowany jest więc na ok. 110 zł rocznie). Dla niektórych wadą będzie też brak wsparcia dla systemu Dolby Vision.



Samsung w technologii QLED nie jest może zabójcą telewizorów w technologii OLED – charakteryzującej się doskonałą czernią oraz fantastycznymi kolorami – ale wcale takim być nie musi. Testowany model oferuje bowiem wysoką jakość obrazu i niezły stosunek ceny do jakości. 55-calowy model kosztuje obecnie ok. 5 tys. zł. ©©

Jacek Przybylski

DAJ LUDZIOM POSPAĆ

Chrapanie. Problem tak stary jak ludzkość i uciążliwy jak diabli. Przesada? To spróbujcie spędzić noc lub kilka w pokoju – dajmy na to – hostelowym w towarzystwie kilku osób, z których przynajmniej jedna całą noc wydaje chrapiąco-ryczące dźwięki. Od lat też wspomniana ludzkość szuka sposobu, by chrapanie i chrapiące wyciszyć; jedni polecają gwizdanie, inni – drapanie po plecach, jeszcze inni – antyhałasowe zatyczki, poduszki itd.

Nowością na rynku produktów typu „spij i pozwól spać” jest kolejna, piąta już wersja Snore Circle, czyli stymulatora mięśni. Gadżet umieszczany pod brodą, dzięki przewodnictwu kostnemu, dokładnym technologiom rozpoznawania dźwięków i silnym zdolnościom przeciwzakłóceńowym może precyzyjnie rozpoznać źródło dźwięku, natężenie chrapania, a następnie zacząć emitować serię silnych mikroimpulsów od 10 do 60 Hz do nerwów podbródka w celu pobudzenia i masażu mięśni gardła.

Urządzenie jest bardzo kompaktowe i lekkie. Waży zaledwie 23 g. Zamawiać można na portalu Indiegogo w cenie ok. 180 zł. Dostawa w styczniu.



PRAWIE JAK MACGYVER

Pamiętacie stary serial, emitowany w połowie lat 80., o przygodach uzdolnionego agenta służb specjalnych, który wymyślał się z różnego rodzaju pułapek i kłopotów dzięki umiejętności majsterkowania zwykłymi przedmiotami? Teraz możecie być prawie jak on.

Pięknie obrabiany maszynowo z aluminium i mosiądzu długopis Darter każdemu (no dobra, prawie każdemu) mężczyźnie się przyda. Dlaczego? Bo po rozkręceniu go otrzymujemy przydatny, miniaturowy zestaw przyborów do szycia, głównie igieł i nici. Kilka danych technicznych: Maksymalna wielkość igieł: 27 mm x średnica 0,75 mm, długość nici na szpulce – 100 cm.

Po co facetowi igły i nici? No cóż... A jak – dajmy na to – w trakcie wyjątkowo sutej kolacji podczas wyjazdowej delegacji guzik od marynarki czy spodni wybierze wolność? Albo partnerce zerwie się ramiączko od sukni? MacGyverem trzeba być w każdej sytuacji. A poza tym mamy – niestety – gender i równouprawnienie.

Długopis Darter można zamawiać na Kickstarterze w cenie ok. 50 zł za sztukę. Dostawa w czerwcu. ©©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wojciech Wybranowski

Luksus z ulicy



Joanna Bojańczyk

„Street wear” to dla magnatów od luksusu było brzydkie określenie. Moda ulicy oznaczała tandetę, dresiarzy, kiboli. Tak było do niedawna. Teraz z tych wszystkich rzeczy zrobiono artykuły luksusowe

W czasie spaceru po nowojorskim Soho we wrześniu ubiegłego roku na ulicy Lafayette zobaczyłam długą kolejkę. Nie jest to zjawisko w Ameryce całkiem typowe. Do sklepu wpuszczano po kilka osób, na sygnał dany przez selekcjonera, kiedy kilka osób wychodziło, zatem podeszłam spytać pilnującego porządku policjanta, o co tu chodzi. Policjant spojrzał zdziwiony. – To kolejka do Supreme – wyjaśnił, jakby to było całkiem oczywiste.

Być może powinno być, bo markę Supreme zna każdy nastolatek w Stanach, w Europie, a podejrzewam, że także w Polsce. Jej założyciel Anglik James Jebbia wprowadził nigdy nie postawił stopy na deskorolce, ale intuicję rynkową miał godną Steve’a Jobsa. Swoją pierwszą sklep utworzył właśnie na ulicy Lafayette w roku 1994 i zainwestował w niego skromne 12 tys. dol. Wiedział, co robi: w latach 90. skaterzy byli tym, czym dzisiaj są celebryci instagramowi – grupą wprowadzającą niszową, ale wpływającą na trendy. Kultura skate była poza mainstreamem: mniej komercyjna, raczej praktyczna. Szerokie spodnie z niskim krokiem, przeskalowane dresy, czapki z logo. Produkty Supreme miały niezłą jakość i agresywną reklamę. Czerwone logo z białymi literami atakowało nowojorskie ulice, bezczelnie naklejając się na inne reklamy. Calvin Klein wytoczył mu za to proces.

Jednak główną strategią marki było apteczne dozowanie produktów. Miały pojawiać się na krótko w niewielkiej ilości i zaraz zniknąć. Wokół marki wykreowano aurę przynależności do sekretnej organizacji, do którego trudno jest się dostać. Członkostwo w nim dawało status buntownika, antysyste-

mowca. Gwoli prawdy należy dodać, że szacunek zdobył też prawdziwy związek marki z ulicą, skate’ami, raperami, graffitiarzami, didżejami. Mieć Supreme było cool. W pewnym momencie marka stała się już na tyle komercyjna, że starsi fani, widząc w kolejkach 12-, 13-latków, zaczęli pozbywać się zdobyczy sprzed lat. T-shirty, które wtedy sprzedawano po 50 dol., na eBayu szły po 300.

Gdy działalność okrzepła, Supreme rozpoczęło wspinaczkę do wyższych półek. Zaczęła się współpraca z luksusowymi markami i artystami. Jeff Koons, Terry Richardson. W 2018 r. powstały kolekcje we współpracy z The North Face, Nike i NBA, Lacoste, Rimowa (walizki), Public Enemy, Mophie (akcesoria do telefonów), Vans, Wilson. Ceny rosły.

Supreme ma na świecie tylko 10 sklepów i wciąż umiejętnie podgrzewa apetyt na racjonowane nowości. W sklepie internetowym produkty są prezentowane, ale nie są dostępne. Trzeba mieć szczęście, polować. Koszulki z Nasem na eBayu kosztują ponad 300 dol. Bluzy z logo Supreme ok. 1 tys. dol. Stworzone we współpracy z Comme Des Garçons – 1,3 tys. dol. i więcej. Sweter we współpracy z Guccim – 24 tys. dol.! Portfelik Supreme/Louis Vuitton kosztuje 1,2 tys. dol., plecak – 8,6 tys. dol.

ELEGANCJA TO NUDA

Po 20 latach obecności na rynku i dzięki sprytnym strategiom marketingowym w roku 2017 Supreme sprzedano grupie inwestycyjnej Carlyle za miliard dolarów. Datę tę oraz całą historię awansu marki można uznać za symboliczną nie tylko dla niej samej, lecz także w ogóle dla zmieniającego się globalnego biznesu mody.



Kolejka przed londyńskim sklepem Supreme, luty 2016 r.

FOT. SHAKEYJON/ALAMY STOCK PHOTO/BEGW

Zmiana dokonuje się na naszych oczach. Jest to fuzja „street wear” – pospolitej mody – i sfery luksusu. Kiedyś, żeby się dowiedzieć, co jest modne, patrzono na kreatorów, dzisiaj to oni wychodzą na ulice, do klubów, na koncerty, żeby sprawdzić, co noszą ludzie. Już wcześniej moda sportowa wyprowadziła dresy, obuwie i stroje treningowe z boisk oraz klubów fitness na ulice. Popularny kasek przechwyciły drogie marki: Gucci, Prada, Balenciaga, Louis Vuitton, które adidas z logo zaczęły sprzedawać po kilkaset euro. Hip-hop z subkultury urósł do dominującego trendu muzycznego, wyprzedzając rock. Pociągnął za sobą całą sferę stylu życia.

Ten nowy luksus stracił elitarny charakter. Wyparł się zasad. Nie chce słyszeć o tym, co do czego pasuje, a co nie. Kokietuje najmłodszego, bogatego klienta, który o wielkich krawcach, haute couture ma mniej więcej takie pojęcie jak o wojnach punickich. Millennialsi i pokolenie Z reprezentują coraz większą i wciąż rosnącą grupę nabywców. Nazwiska dawnej elity znają tylko



ze słyszenia, ale dla nich bardziej niż elegancja liczy się logo.

Jednak dla establismentu mody „street wear” wciąż pozostaje brzydkim słowem. Kojarzy się z tandetą, masą, z dresiarzami, kibolami, ubraniami roboczymi, kurtkami moro. Klapki basenowe do białych skarpetek frotté, bejsbolówka. Nie wygląda to ładnie. Kto zechce za to dużo zapłacić?

TANIE NIE JEST CIEKAWÉ

I wtedy pojawia się człowiek o nazwisku Virgil Abloh, dyrektor kreatywny rapera Kanye Westa, męża celebrytki Kim Kardashian. Człowiek, któremu West zawdzięcza sukces swojej marki Yeeze. Abloh w 2012 r. zakłada własną markę o nazwie Off-White. Jest włoska, bo prawdziwy luksus, choćby był tylko białym T-shirtem albo džinsami, powinien być made in Italy...

Off-White to rzeczy w zasadzie zwyczajne, tyle że w cenach niezbyt zwyczajnych. T-shirt kosztuje ok. 1 tys., buty sportowe – 1,6 tys. zł. System działa zgodnie ze znaną zasadą marketingu, która mówi, że jak coś jest za tanie, to nie

wzbudza zainteresowania; dopiero jak ta sama rzecz stanie się bardzo droga, zaczyna być pożądana:

„Street wear jest kolejną fazą ewolucji mody. Można to porównać do wprowadzenia przez Yves Saint Laurenta prêt-à-porter w roku 1966” – mówi Abloh.

Salony luz podchwytyją. Ich prorokiem zostaje Abloh. Syn emigrantów z plemienia Eve z Ghany wychowany i wykształcony w Stanach, legitymujący się dyplomami architekta i inżyniera dobrych amerykańskich uczelni (także absolwent katolickiego liceum), obejmuje stanowisko dyrektora artystycznego marki Louis Vuitton. We współczesnym fashion biznesie to jedno z najwyższych stanowisk. Didżej, afroamerykański emigrant w pierwszym pokoleniu na czele najbardziej tradycyjnej mieszczańskiej marki francuskiej.

Facet ma nieprzeciętnego nosa do rynku. Rozumie, jak działają młodzi, jest ich rówieśnikiem. Żyją z nosami w smartfonach, wszystko chcą robić szybko, wszystko chcą mieć szybko. Nowych rzeczy nie kupują raz w sezonie, teraz chcą je mieć co tydzień.

W Zarze czas od produkcji do półek wynosi pięć tygodni. W tradycyjnym systemie to trwało trzy miesiące...

IMPULSE BUYER

Człowieka urodzonego około przełomu tysiącleci nie da się olśnić złotą suknią Versace. On na blichtry nie da się złapać. Jeszcze w latach 90. Gucci, Saint Laurent, Dior olśniewali luksusem. Dziś strategia się zmieniła. Biały T-shirt, poszarpane džinsy, wyszukane i drogie sportowe buty zajęły miejsce eleganckiego kostiumu.

Ostatnia dekada naznaczona jest kryzysem ekonomicznym i niestabilnością. Nowy klient, zamożny lub aspirujący do zamożnego, a przez to bardziej skłonny do prestiżowych zakupów, ma inne wymagania, niż mieli jego rodzice. Nie oczekuje, że tylko reklama mu powie, co powinien kupować. On o swoich wyborach decyduje sam. Ma tego świadomość i jest z tego dumny. Wybór ma ogromny – w każdej chwili z sieci atakują go setki, tysiące propozycji. Kobiety wyruszają na shopping, gdy mają problemy w pracy, z dziećmi, rozwodzą się. Młody klient kupuje pod wpływem emocji – to tzw. impulse buyer. Po zakupy wypycha samotność – to rozrywka, zabijanie czasu. Ambicja wypycha po produkty, na które nas nie stać, ale którymi chcemy zabytnąć. Badania prowadzone na 1,4 tys. respondentach przez amerykańską firmę sondażową IPA Databank wykazały, że kampanie reklamowe apelujące do emocji działały dwa razy bardziej skutecznie niż te, które opierały się na czynnikach racjonalnych.

Małksus – to, co widzimy w centrach handlowych, na lotniskach, na eleganckich ulicach stolic, w sklepach internetowych. Konfekcja, galanteria skórzana, okulary, biżuteria, nawet słodczyce. Luksus epoki rozwinętego kapitalizmu. Jak podaje firma konsultingowa Bain & Company, w ciągu ostatnich 20 lat liczba konsumentów tych „luksusowych” dóbr wzrosła trzykrotnie – jest ich teraz 350 mln. Szacuje się, że stanowią oni tylko od 3 do 5 proc. społeczeństwa. Jednak magnaci od luksusu i tak zacierają ręce. Do gry, w której kiedyś liczyły się tylko Europa Zachodnia i Ameryka Północna, weszły Chiny, Indie, Brazylia.

Kupujemy i odsuwamy od siebie myśl, co ta szaleńcza konsumpcja robi naszej planecie. Po nas choćby potop.



Z dziennikarką Anną Popek
rozmawia *Maria Kądzilska*

Odkrywam kobiety

MARIA KĄDZIŁSKA: Mam w ręku pani książkę „Piękna 50-tka”. Balzak odkrył kobietę 30-lletnią. Czy pani odkrywa teraz kobietę 50-lletnią?

ANNA POPEK: Odkrywam kobietę. Pięćdziesiąte urodziny z pewnością były dla mnie momentem ważnym, może nawet zwrotnym. Na samym początku książki piszę, że „poczułam niemal fizycznie, jak spada ze mnie konieczność bycia miłą i grzeczną dziewczyną”. Wydaje mi się, że 50 lat to dla kobiety dobry czas. Jest już osobą dojrzałą, zna lub poznaje swoją wartość, wie, na co ją stać. Nie musi już nikomu niczego udowadniać. Najczęściej ma już odchowane dzieci. Taka kobieta w końcu może skupić się na sobie: na pracy, na spełnianiu marzeń, na rozwoju.

To książka o zachowywaniu młodości, ale również o Annie Popek, która skończyła 50 lat. Jak teraz zatem wygląda pani idealny dzień?

Taki dzień spędzam w Gołubiu na poście warzywnym u dr Dąbrowskiej. Już od 20 lat przez 10 dni w roku tam właśnie regeneruję swoje siły. Śpię do siódmej, potem idę na trening, jem warzywa i piję zakwas buraczany. Nie jest to zatem dzień leniuchowania, a dzień wypełniania dobrych przyzwyczajeń.

Energii pani nie brakuje...

Rzeczywiście, nie. Rano przed śniadaniem wychodzę z psem, aby się dotlenić. Świeże powietrze pobudza mnie bardziej niż kawa. No i przede wszystkim bardzo

lubię pracować. Praca w telewizji, programy na żywo to dla mnie coś ekscytującego. Czasem, gdy wstaję rano, o godz. 4, to w duchu trochę narzekam, bo jestem zmęczona i niewyspana. A potem spotykam się z moimi rozmówcami i cieszę się jak dziecko.

Który z nich panią ostatnio najbardziej zainspirował?

Niedawno nagrywaliśmy wywiady sylwestrowe. Rozmawiałam m.in. z Anią Włodarczyk. Spytałam, czy trenuje w święta. Mówi mi, że zawsze w Wigilię ma trening, potem dwa dni odpoczywa i natychmiast wraca do pracy. „Jaka dyscyplina!” – komentuję. A ona na to: „Jeśli odpuszczę sobie jeden dzień w Boże Narodzenie, potem jeden dzień na Wielkanoc, potem niech zdarzy się jakaś kontuzja czy choroba i robi się już tydzień w skali roku. Dla zawodnika to bardzo dużo. A tego straconego tygodnia się nie wróci”. Popatrzyłam na nią i pomyślałam, że do takiej dyscypliny są zdolni tylko mistrzowie olimpijscy. A w końcu każdy z nas chce być mistrzem w swojej dziedzinie.

Zatem bycie młodą to bycie aktywną?

Tak. I zdyscyplinowaną. Dyscyplina prowadzi do wolności. W nauce, pracy, ale również w trosce o siebie. Jeśli wyglądamy dobrze i dobrze się czujemy, znamy się na własnej robocie, posiadamy jakieś umiejętności, warsztat pracy, to jesteśmy wolne.



FOT. KRZYSZTOF KUČEK, FOTOFILM

Możemy o sobie decydować, nie jesteśmy zależne od czyjeś dobrej woli. Znamy swoje możliwości, a przez to znamy swoją wartość. Jeśli jesteśmy dobrze zorganizowane w wielu dziedzinach, to możemy przeprowadzić najróżniejsze projekty życiowe. Nie jestem takim ideałem, ale bardzo bym chciała i wiem, do czego dążę.

Czyli pani sobie nie odpuszcza?

Nie. W małych i w dużych sprawach. Na przykład do 10. piętra wchodzę zawsze schodami. Człowiek musi podjąć decyzję, że sam sobie nie pozwoli, aby się zestarzeć. Utwierdził mnie w tym przekonaniu Witold Kieżun, powstaniec i profesor ekonomii. Kiedy był na zesłaniu w rosyjskim obozie jenieckim, przeżywali ci, którzy nie wyzbyli się codziennej dyscypliny. Dopóki zapinali pasek w spodniach, myli się rano i golili, dopóty żyli. Gubiły ich drobne ustępstwa.

Pisze pani w książce, że charakter jest widoczny na twarzy...

To teza, która znajduje potwierdzenie w życiu. Są osoby, które od razu budzą sympatię, do których jest nam łatwiej się uśmiechnąć i zagadać.

A spotykamy też takie, które odpychają swoją postawą fizyczną i życiową. Szczególnie widać to u kobiet dojrzałych, o których piszę. Gdy jest się młodym, łatwo ukrywać swój prawdziwy charakter. Potem jednak czas złości nasze rysy. To prosta sprawa – tam, gdzie częściej się te mięśnie zaginają, gdzie częściej pracują, tam pojawiają się też zmarszczki i bruzdy. W tym sensie upatruję charakteru oddanego na twarzy.

A co z medycyną estetyczną? Jest pani zwolenniczką czy przeciwniczką?

Nie rozumiem, czemu medycyna estetyczna ma taką złą prasę. Oczywiście we wszystkim trzeba zachować umiar. Podobnie jest jednak z każdym narzędziem. Nożem można zabić człowieka, ale można też pokroić chleb. Jednak w wieku 50 lat nie chodzić na takie zabiegi, to jak nie chodzić do dentysty.

Co zatem pani stosuje?

Raz na pół roku wybieram się na terapię osoczem bogatopłytkowym. Ta metoda była wcześniej stosowana do leczenia blizn, trudno gojących się ran czy uszkodzonych stawów, a teraz

przeszła do medycyny estetycznej. Podniosło się larum: „Och! Okropne! Kobiety się ostrzykują!”. Oczywiście, że się ostrzykują, jeśli działa to lepiej niż krem. Trzeba to jednak robić z umiarem. Jestem również wielkim zwolennikiem kwasów. Chcemy pobudzić skórę, aby produkowała nowe komórki. Należy zatem pozbywać się tych starych.

Już wiemy zatem, co robić, aby pozostać młodą. A czego nie robić?

Nie palić papierosów. Nie nadużywać alkoholu, spać po nocach. Poza tym, gdy patrzę na ładne, młode dziewczyny, to dziwię się im – wiele z nich nosi szare kolory. Idą pogarbione i w nieciekawych strojach. Nie myślimy o tym, jak wyglą-

Strój może służyć kobiecie jako broń. Jeśli trzeba kogoś zniszczyć, to należy się ładnie ubrać. A kobietom nie brakuje wrogów

damy. Mnie też jest wygodnie zakładać dzinsy i koszulkę, a następnie lecieć do pracy. Myślę sobie jednak, że szkoda każdego dnia na bycie byle jakim. Ten dzień już nie wróci. Tak samo jak długopis służy do pisania, tak samo strój do opisywania siebie.

Przytacza pani w książce historię Judyty i Holofernesa...

Tak. Strój może służyć kobiecie jako broń. Jeśli trzeba kogoś zniszczyć, to należy się ładnie ubrać. A kobietom nie brakuje wrogów. Jednak strojem można też zachwycić, podbić czyjeś serce. „Ubieraj się tak, jakbyś miała spotkać swego największego wroga bądź miłość swego życia” – w jakimś poradniku przeczytałam takie zdanie. Podoba mi się. Strój oddaje również wiele niuansów psychologicznych, nie można go zatem traktować nonszalancko.

Skąd pani czerpie swoją siłę?

Ja już tak mam, że chce mi się rano wstać i działać. To jest dar Boży, za który cały czas dziękuję. Lubię też mieć siłę sprawczą. Jeśli coś zrobię i osiągnę swój

cel, to satysfakcja daje mi wiele nowej energii.

Czyli kluczem do młodości jest praca?

Tak. Dopóki człowiek nie zrobi czegoś sam, dopóty nie wie, ile jest wart. To jest podstawa, aby móc zrozumieć siebie. Praca upewnia nas również w poczuciu naszej wartości. Wiemy, na co nas stać.

W książce jest również cały rozdział poświęcony savoir-vivre'owi. Czego obecnie nie przestrzegamy?

Ludzie za rzadko mówią sobie „dzień dobry”. Musi minąć bardzo dużo czasu, aby sąsiedzi zaczęli się ze sobą witać. Jeden czeka, aż drugi zacznie, a przecież to tak miło do kogoś zagadać. Trzeba podkreślić również wartość ubierania się stosownie do okazji. Nie w każdym miejscu można podkreślić swoją urodę. Podstawową umiejętnością elegancji kobiety jest dobieranie stroju do okazji. Czasem aż nie chce się wierzyć w zdjęcia niektórych gwiazd w kusych spodniczkach w kościele.

Pomimo dużej medialnej popularności nie unika pani tematu religii. W książce otwarcie przyznaje się pani do uczestnictwa w rekolekcjach...

Dlaczego pomimo? To przecież nie ma związku. Albo się wierzy, albo nie. Uczestniczyłam w rekolekcjach u dominikanów. Spotkania dotyczyły Biblii i historii Kościoła. Były fantastycznie prowadzone i rozwijające w wielu aspektach. Mocnym doświadczeniem były rekolekcje w Falenicy u jezuitów. Cztery dni milczenia. Cztery godziny dziennie medytowaliśmy. To było świetne, ale trudne! Co do wiary, to jestem przekonana, że bez niej nic bym nie osiągnęła. Przy tak wielkiej konkurencji, w czasach nieżyczliwym środowisku, to by się wszystko nie udało bez Ducha Świętego. Widocznie mam być dziennikarką i Pan Bóg ma dla mnie jakąś misję.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Anna Popiek – prezenterka i dziennikarka telewizyjna. Prowadziła wiele programów, m.in. w TVP „Kawa czy herbata?”; w TVP2 dwie edycje programu „Załóż się” i program „Takty nietakty”. Współprowadziła również poranny program „Pytanie na śniadanie”. Okazjonalnie gra w filmach, koncertuje oraz pisze książki.



ANNA POPEK
„PIĘKNA 50-TKA”
ZONA ZERO 2018

W górach bez ryzyka



FOT. TONK GOLA

Turystyka górska zyskuje na popularności. Zima jest zaś dla wielu najlepszą porą, by wybrać się w góry nie tylko po to, by podziwiać białą-błękitny pejzaż, lecz także aktywnie spędzać czas na szlakach i stokach. Jak robić to bezpiecznie?

Niemal każdego roku w sezonie zimowym ratownicy przypominają, że góry bywają nie tylko piękne, lecz także niebezpieczne. Dotyczy to nie tylko Tatr czy Karkonoszy, lecz także tych niższych gór, takich jak Beskidy, gdzie zimą występuje realne zagrożenie lawinowe, a turyści często gubią się w terenie za sprawą ekstremalnych warunków atmosferycznych, takich jak obfite opady śniegu, silny wiatr czy szybki spadek temperatury. Tylko w styczniu zeszłego roku ratownicy Grupy Karkonoskiej GOPR odnotowali 38 wypadków, w tym jeden śmiertelny. Wrażenie robią także dane dotyczące liczby interwencji. Jak podsumował ratownik Andrzej Marasek, podczas zimowych ferii 2018 r. na podtatrzańskich stokach narciarskich TOPR odnotowało 1495 wypadków narciarskich i snowboardowych, z czego ponad 1,2 tys. zdarzeń ratownicy zakwalifikowali jako ciężkie, wymagające leczenia szpitalnego i rehabilitacji.

Aby spędzić beztrudnie zimowy urlop, warto więc dobrze przygotować się do aktywnego wypoczynku: zatroszczyć się

przed wyjazdem ubezpieczenie turystyczne i poznać zbiór podstawowych reguł obowiązujących na szlakach i stokach. – Góry zimą są piękne, ale potrafią być i groźne. Turyści byłiby w pełni bezpieczni, gdyby w Tatrach zimą zamknięto większość szlaków. A przecież tego nikt nie chce. Dlatego PZU wspiera wszelkie akcje edukacyjne, które uświadamiają zagrożenia i uczą, jak ich unikać. Przeznaczamy miliony złotych z funduszu prewencyjnego na wspieranie policji, Państwowej i Ochotniczej Straży Pożarnej, GOPR, TOPR i wybranych grup WOPR. Dbając o bezpieczeństwo w górach, PZU jest również partnerem kursów lawinowych organizowanych przez Polskie Stowarzyszenie Freeskiingu i TOPR, podczas których w zeszłym sezonie narciarskim nauczyliśmy kilkaset osób, jak unikać zagrożenia lawinowego i jak radzić sobie po zejściu lawiny. W tym roku przekazemy również do pięciu grup GOPR quady z napędem gąsiennicowym, które będą wykorzystywane w akcjach ratunkowych przez cały rok. Pojazdy te znakomicie sprawdzają się w trudnym górskim terenie. Wyposażone w specjali-

styczne przyczepki pozwalają na szybkie dotarcie do poszkodowanych, udzielenie im pomocy i bezpieczny transport. Sprzęt zostanie przekazany 12 stycznia, na początku ferii zimowych w Kluszkowcach na stoku Czorsztyn-Ski – mówi Marek Baran, dyrektor Biura Komunikacji Korporacyjnej w PZU.

PLANUJEMY AKTYWNIE

Przygotowania kondycyjne do zimowej wyprawy w góry warto zacząć kilka miesięcy przed wyjazdem. Regularne treningi uwzględniające mięśnie całego ciała mają za zadanie przygotować organizm do wysiłku i pozwolą uniknąć kontuzji oraz bolesnych zakwasów. Tym, którym nie jest po drodze na siłownię, zaleca się wykonywanie ćwiczeń w domu z wykorzystaniem skakanki, hantli i piłki rehabilitacyjnej. Przed nartami sprawdzą się też treningi biegowe, rowerowe, a także pływanie na basenie. Nawyk prowadzenia gimnastyki pomocny będzie także tuż przed wejściem na stok, kiedy trzeba przeprowadzić krótką rozgrzewkę. Ważne są też odpowiednie do warunków i umiejętności sprzęt oraz ubranie, w tym specjalne buty, wiatroszczelne i wodoodporne ubrania czy bielizna termiczna. W zależności od rodzaju aktywności i terenu, po którym będziemy się poruszać, szykujemy kijki, kask, rakiety śnieżne, raki

lub raczki, czekan czy bezpieczne wiązania do nart. Warto zaopatrzyć się także w jednorazowe, chemiczne ogrzewacze, które umieszczone w rękawicach lub butach stanowią dobre źródło ciepła i mogą uchronić przed wychłodzeniem lub odmrożeniami.

W przypadku ubrań staramy się tak dobrać elementy zewnętrzne odzienia, by znajdowało się na nich jak najwięcej jaskrawych, wręcz neonowych kolorów, najlepiej w towarzystwie odblasków. Unikamy też ubierania się całkowicie na białą, dzięki czemu łatwiej zostaniemy zauważeni przez innych narciarzy. W sytuacjach awaryjnych jaskrawy strój może również zwiększyć nasze szanse na odnalezienie przez służby ratownicze. W plecaku zimowego turysty nie może zabraknąć aktualnej mapy (i najlepiej urządzenia z GPS), energetycznego jedzenia i picia (dodatkowo warto mieć napój izotoniczny oraz przynajmniej jedno opakowanie żywności liofilizowanej, która ma w zestawie własny podgrzewacz), naładowanego telefonu, zapasowego kompletu odzieży (np. bluza, skarpety, czapka, kominiarka, rękawice), latarki czołowej z zapasem baterii, zapalniczki, dokumentów oraz w pełni wyposażonej apteczki, zawierającej m.in. koc termiczny, czyli folię NRC, która w krytycznej sytuacji opóźni proces wychłodzenia organizmu. Przydatne w sytuacji awaryjnej mogą się okazać taśmy, sznurek, scyzoryk, a także turystyczna kuchenka gazowa, w której w razie osłabienia można przygotować np. gorącą czekoladę. Bardziej zaawansowani zabrają ze sobą również tzw. lawinowe ABC (detektor, sonda, łopatką).

BEZPIECZNIE NA SZLAKU

Przed zimową wyprawą szlakami pieszymi należy przede wszystkim dokładnie przestudiować mapę obszaru wędrowki oraz zaplanować trasę, uwzględniając wysokość, na którą trzeba będzie podejść. Pamiętajmy, że czas na pokonanie danego odcinka w zimowych warunkach może się wydłużyć nawet kilkukrotnie w stosunku do czasów obliczonych dla warunków letnich. Dodatkowo zimą szybko zapada zmrok, dlatego na trasę trzeba wyjść wcześniej rano i zaplanować przejście tak, aby przed zmrokiem wrócić do punktu startu lub dotrzeć do położonego na szlaku schroniska, w którym spędzimy noc. Przed wyjściem konieczne trzeba także sprawdzić aktualne komunikaty meteorologiczne. Można je znaleźć na stronach internetowych GOPR, TOPR, lokalnych schronisk i innych obiektów turystycznych. Nie wolno

wyruszać w trasę, jeżeli prognozy przewidują silny wiatr, burzę, mgłę, obfite opady śniegu czy załamanie pogody.

Ratownicy doradzają, aby nie wybierać się w góry w pojedynkę. Najlepiej zaplanować wycieczkę w małej grupie, pamiętając, że tempo wędrowki powinno być dostosowane do najsłabszego uczestnika. Wyruszając na szlak, informację o trasie wycieczki i spodziewanej godzinie powrotu zostawmy nie tylko przyjaciółm lub rodzinie, lecz także np. właścicielowi pensjonatu, w którym nocujemy, lub osobom dyżurującym w schronisku, z którego wyruszamy. Nie wkraczamy na narciarskie trasy zjazdowe, bo stwarza to ogromne niebezpieczeństwo zderzenia z poruszającym się z dużą prędkością narciarzem. Chodzić można tylko po oznakowanych szlakach. Należy przy tym zwracać uwagę na tablice ostrzegawcze ustawione przy szlakach i jeżeli sygnalizują one trudne warunki na szlaku, to trzeba bezwzględnie zawrócić. W razie zgubienia szlaku należy wrócić po własnych śladach do miejsca, gdzie ostatni raz widziane były oznaczenia. Jeśli będziemy próbowali iść dalej bez wiedzy, gdzie jesteśmy, to możemy się zgubić, w górach wysokich grozi to m.in. nagłym upadkiem z wysokości, zwłaszcza na oblodzonym szlaku.

Przystosowane do zjazdów narciarskich i snowboardowych stoki oblegane są zarówno przez początkujących, jak i profesjonalistów. Aby zapewnić beztrudni wypoczynek wszystkim amatorom białego szaleństwa, Międzynarodowa Federacja Narciarska (FIS) stworzyła Międzynarodowy Dekalog Narciarza. Podstawowa zasada: należy zachować się tak, aby nie stwarzać niebezpieczeństwa dla siebie i innych osób oraz nie powodować żadnej szkody, w tym wywołanej przez złe działanie używanego sprzętu. Panowanie nad szybkością i sposobem jazdy to drugi punkt kodeksu narciarskiego. Szybkość jazdy powinna być dostosowana do warunków pogodowych, stanu trasy, a przede wszystkim do umiejętności. Narciarz musi poruszać się tak, aby w razie konieczności móc zatrzymać się lub skręcić. FIS nakłada także na narciarzy obowiązek wolniejszego poruszania się w miejscach zatłoczonych, w okolicach wyciągów, na zakończeniu trasy lub w miejscach zmniejszenia widoczności.

Ważnym aspektem właściwego poruszania się na stoku jest wybór toru jazdy. Narciarz lub snowboardzista znajdujący się wyżej na stoku, mając lepszą widoczność, powinien wybrać tor i kierunek jazdy pozwalający uniknąć zderzenia z narcia-

rzem znajdującym się niżej (lub przed nim). Kolejne cztery punkty dekalogu odnoszą się do manewrów na stoku, takich jak wyprzedzanie, krzyżowanie torów, zatrzymywanie się i podchodzenie. Ich wspólnym mianownikiem jest szczególna ostrożność i zasada czujnej obserwacji innych uczestników trasy. Zakłada ona np. konieczność sprawdzenia, czy włączenie się narciarza do ruchu nie spowoduje utrudnienia dla kogośkolwiek z będących na trasie. Ta sama reguła obowiązuje przy każdym ruszaniu z miejsca po chwilowym zatrzymaniu. Przy tym należy unikać zatrzymywania się na stoku, a jeśli to konieczne, to robmy to wyłącznie na skraju trasy. Zabrania się zatrzymywania w miejscach niewidocznych dla jadących z góry lub zza zakrętu. Podczas wyprzedzania należy zachować bezpieczną odległość od wyprzedzanego. Przy konieczności pieszego podejścia w górę lub zejścia w dół trasy należy wybrać jej skrajny brzeg, aby nie stwarzać zagrożenia dla zjeżdżających (dla których zarówno ruch w przeciwnym kierunku, jak i wyciśnięte w śniegu ślady butów stanowią niebezpieczeństwo).

Respektowanie znaków narciarskich to kolejny obowiązek miłośników białego szaleństwa. Trasy są oznakowane kolorami w zależności od stopnia ich trudności (od najłatwiejszych do najtrudniejszych): zielonym, niebieskim, czerwonym i czarnym. Znajdują się na nich także znaki informujące o utrudnieniach lub niebezpieczeństwach, np. o lawinach czy o zamknięciu trasy. W razie wypadku każdy, kto znajduje się w pobliżu, ma obowiązek udzielenia pierwszej pomocy poszkodowanemu, a także zawiadomienia właściwych służb oraz natychmiastowego oznakowania miejsca wypadku tak, aby nie zagrażało ono innym narciarzom. Poza tym wszyscy świadkowie i poszkodowani mają obowiązek podania służbom swoich danych.

TECHNOLOGIA NA RATUNEK

Komunikaty lawinowe TOPR można sprawdzić w darmowej aplikacji O!strzegacz. Przed wyjściem na górski szlak należy wpisać w telefonie obowiązujące w górach numery telefonów ratunkowych: 985 oraz 601 100 300. Posiadacze smartfonów mogą także zainstalować bezpłatną aplikację Ratunek, która umożliwi automatyczne przesłanie SMS z lokalizacją osoby dzwoniącej i kontakt telefoniczny ze służbami ratowniczymi w Polsce. Aplikacja daje też ratownikom możliwość dostępu do wpisanych wcześniej przez użytkownika danych medycznych.



FOT. ADRIE STOCK



Z prof. dr. hab. n. med. Pawłem Krawczykiem z Katedry i Kliniki Pneumonologii, Onkologii i Alergologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie

rozmawia Katarzyna Pinkosz

Zmiana w leczeniu raka płuca

KATARZYNA PINKOSZ: Od stycznia 2019 r., dzięki zmianom na liście refundacyjnej, pacjenci z przerzutowym rakiem płuca będą mieć szansę leczenia nowymi lekami. To duża zmiana?

PROF. PAWEŁ KRAWCZYK: W 2018 r. już na majowej liście refundacyjnej pojawiły się nowe możliwości leczenia zaawan-

sowanego niedrobnokomórkowego raka płuca. Styczniowa lista refundacyjna daje możliwość zastosowania kolejnych terapii. Zmiana dotyczy przede wszystkim zastosowania immunoterapii, czyli leków odblokowujących zaślepiony przez komórki nowotworu układ odpor-

nościowy, który znów zaczyna walczyć z nowotworem. Już od kilku miesięcy w Polsce była możliwość stosowania tych leków, jednak nie u wszystkich chorych, u których było to wskazane. Pozbawiona takiego leczenia była grupa chorych na raka niepłaskonabłonkowego w przypadku pojawienia się wznowy choroby po chemioterapii I linii. U tych pacjentów, po wznowie choroby, mieliśmy możliwość zastosowania jedynie chemioterapii II linii, która nie była zbyt skuteczna. Od 1 stycznia 2019 r. mamy u nich możliwość zastosowania nowego leku: przeciwciała anty-PDL-1 – atezolizumabu. Obecnie więc wszystkie osoby chore na niedrobnokomórkowego raka płuca, które kwalifikują się do zastosowania immunoterapii, będą mogły ją otrzymać.

W czym immunoterapia różni się od chemioterapii, jeśli chodzi o skuteczność?

Gdy stosowaliśmy chemioterapię w II linii leczenia, po progresji choroby (pogorszeniu się stanu chorego mimo zastosowanego leczenia) tylko ok. 10 proc. chorych odpowiadało na

leczenie. Długość ich przeżycia nie przekraczała jednak średnio 10 miesięcy. W przypadku zastosowania immunoterapii w II linii na leczenie odpowiada dwa razy więcej pacjentów, a czas ich życia jest dwukrotnie dłuższy. Około 15–16 proc. chorych, u których zastosowano immunoterapię, może żyć pięć lat, a nawet dłużej. Nie wiemy jeszcze tak naprawdę, jak długo. Być może są oni nawet w ogóle wyleczeni z raka płuca. W przypadku stosowania klasycznej chemioterapii takich długoletnich przeżyć niemal w ogóle nie obserwowaliśmy.

Immunoterapia może więc spowodować wyleczenie chorego z przerzutowym rakiem płuca? Jeszcze do niedawna wydawało się niemożliwe, że można wyleczyć nowotwór z przerzutami...

O całkowitym wyleczeniu mówiłbym ostrożnie. Na pewno jednak można uznać, że w pewnej grupie chorych zaawansowany rak płuca stał się chorobą przewlekłą. Jeszcze kilka lat temu było to nie do pomyślenia.

Drugą grupą leków, którą będziemy mogli w Polsce stosować od stycznia 2019 r., są leki ukierunkowane molekularnie dla chorych z rakiem płuca, którzy mają zmianę w genie ALK (tzw. rearanżację genu ALK). Do tej pory u tych chorych mogliśmy zastosować nowoczesny lek dopiero wówczas, gdy po chemioterapii pojawiła się progresja choroby. Wiemy jednak, że najlepsze efekty uzyskuje się wtedy, gdy najbardziej skuteczne leczenie stosuje się od samego początku. Dlatego cieszymy się, że od stycznia będzie możliwe podanie choremu z rearanżacją genu ALK kryzotynibu już w I linii leczenia. Ten sam lek będzie też można podać chorym, u których wykryto zmianę w innym genie ROS1. Do tej pory ta grupa chorych nie była w ogóle objęta leczeniem ukierunkowanym molekularnie, które jest skuteczniejsze i mniej obciążające niż chemioterapia.

Po tych zmianach polscy chorzy będą już leczeni tak jak w krajach zachodniej Europy?

Sytuacja będzie na pewno bardzo dobra, choć jeszcze nie wzorowa. Obecnie w Europie są już zarejestrowane leki kolejnych generacji dla chorych z nieprawidłowościami w genach EGFR i ALK, niektóre z nich do stosowania już w I linii leczenia, czyli zaraz po wykryciu choroby, takie jak ozymertynib, dakomitynib, alektynib, certynib,

brygatynib. Pojawiły się też leki ukierunkowane molekularnie dla chorych z mutacją w genie BRAF: dobrze by było, żeby również w Polsce te leki stały się już dostępne.

Przybliżyliśmy się do Europy, jeśli chodzi o kompleksowe leczenie tego nowotworu?

Dostajemy możliwość zastosowania nowych leków, co bardzo cieszy. Jednak nowe leki mogą być zastosowane pod warunkiem wykonania wcześniej kompleksowej diagnostyki. Do tej pory w niektórych ośrodkach chorym nie są zlecane badania, które mogłyby zakwalifikować ich do leczenia nowoczesnymi lekami. Często w małych ośrodkach pacjenci nie mieli wykonywanych odpowiednich badań genetycznych, immunologicznych, nie mogli więc być leczeni. Tymczasem pacjent z zaawansowanym rakiem płuca, który nie jest leczony, żyje przeciętnie cztery–sześć miesięcy. Niestety, w wielu miejscach w Polsce diagnostyka przedłuża się do trzech–czterech miesięcy. Oznacza to, że pacjent może już nie kwalifikować się do leczenia innowacyjnymi terapiami. Obecnie trwają prace nad utworzeniem tzw. lung cancer units, czyli centrów doskonałości, w których będzie można szybko zdiagnozować raka płuca i wdrożyć odpowiednie leczenie. Efekty tej pracy są jeszcze niestety bardzo odległe.

Drugim problemem jest to, że NFZ do tej pory nie zapłacił niektórym szpitalom za tzw. nadwykonania w programach lekowych w latach 2017 i 2018. Wiele dyrekcji szpitali narzucało lekarzom limitowanie kwalifikowania pacjentów do programów lekowych. Mamy nadzieję, że to się zmieni od stycznia 2019 r., że ministerstwo nie tylko zgodzi się na refundację nowych leków, lecz także w ślad za tymi pozytywnymi decyzjami pojawią się dodatkowe pieniądze na realizację programów lekowych oraz na nowoczesną diagnostykę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Paweł Krawczyk – jest biologiem molekularnym, kierownikiem Pracowni Immunologii i Genetyki w Katedrze i Klinice Pneumonologii, Onkologii i Alergologii UM w Lublinie, prezesem Medycznego Klubu Turystycznego w Lublinie.

Okiem pacjentów



ELŻBIETA KOZIK, Polskie Amazonki Ruch Społeczny:

Chapeau bas! Dwa leki, które pojawiły się od

stycznia, to duży postęp w leczeniu raka płuca w Polsce. Chorzy zyskali szansę na wydłużenie życia, podniesienie jego jakości. Do tej pory mieli tylko świadomość, że w innych krajach są leki, ale w Polsce nie mieli do nich dostępu. Nie wszystkie leki są jeszcze u nas dostępne, najważniejsze jest to, że rak płuca znalazł się w kręgu zainteresowań decydentów. Ministerstwo pokazało, że zaczyna poważnie traktować sprawę kompleksowości leczenia, to znaczy, że powinny być dostępne leki dla chorych w różnych stadiach choroby: w I, II, III linii.



ANNA ŻYŁOWSKA, Stowarzyszenie Walki z Rakiem Płuca:

Bardzo ważne dwa nowe leki znalazły się na liście refundacyjnej. Rok 2018 był w ogóle dobrym rokiem dla chorych z rakiem płuca w Polsce, pojawiło się wiele nowych terapii, których nigdy wcześniej nie mieliśmy możliwości stosowania. Jednak jeszcze nie wszyscy pacjenci są właściwie zaopiekowani, jest jeszcze kilka leków, które powinny znaleźć się na listach refundacyjnych.



ALEKSANDRA RUDNICKA, Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych:

Cały ten rok to była praca nad poszerzeniem programu leczenia raka płuca, którą wraz z ekspertami i przedstawicielami ministerstwa prowadziły organizacje pacjentów, w tym Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych, Stowarzyszenie Walki z Rakiem Płuca. Wspólna praca dała bardzo dobre rezultaty. W maju weszły na listy nowe leki, a w styczniu 2019 r. na listach pojawiły się aż dwa kolejne ważne leki. Czekają następne, które już są dostępne dla pacjentów w innych krajach. Jednak wejście od stycznia tych dwóch nowych leków już bardzo zmieniło sytuację pacjentów, co bardzo cieszy. Rak płuca jest najbardziej zabójczym nowotworem w Polsce, dlatego to dobrze, że pojawiają się kolejne opcje leczenia dla polskich pacjentów.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Pilnuj głowy u Rosińskich!

Historia panów Rosińskich z Teleśnicy Oszwarowej to dziś lokalny koloryt Bieszczadów. Przedstawieni w przerażający sposób przez Józefa Hena w „Crimenie”, w rzeczywistości niewiele różnili się od innych podgórskich warchołów. Nawet obecnie ich wieś, położona nieopodal Jeziora Solińskiego, to niedostępne miejsce, a w XVII w. było to zbójckie gniazdo. Nikt, kto zatrzymał się tam na noc, nie mógł być pewien ani życia, ani zdrowia. Rosińscy – najpierw ojciec Jerzy, a potem jego synowie: Stanisław, Piotr i Jan – wnikłali się w różne awantury i niejednokrotnie nastawiali na życie gości.

Według Władysława Łozińskiego i jego „Prawem i lewem” pierwszej zbrodni dokonali w roku 1607. Zaprosili do Teleśnicy sąsiada – niejakiego Wojciecha Kroguleckiego, właściciela sąsiedniej Daszowej (dziś Daszówka). Pod pozorem przyjaźni ugościli go suto, a w trakcie wieczery rozsiekali. Zbrodnia ta oburzyła okoliczną szlachtę. Podkomorzy sanocki Piotr Bal wezwał wszystkich panów braci dla zastanowienia się, co począć dalej. Jednak nikt w Sanockiem nie myślał chyba nawet o tym, aby wystąpić zbrojnie przeciwko hultajskiej rodzinie. Rosińscy budzili przestrach, a Teleśnica była miejscem praktycznie nie do zdobycia. W dodatku właściciele zaprowadzili w Teleśnicy wojskowe porządki. Ich chłopci ćwiczeni byli w walce, uzbrojeni w kosy, siekiery, koły, a nawet w szable i rusznice. Gdy tylko ktoś próbował zajechać wieś, wystarczył odgłos dzwonów, a chwyтали za broń i spieszyli pod rozkaz dziedziców.

Łoziński nie kryje oburzenia z powodu zabójstwa Kroguleckiego. Nie wiadomo jednak, czy naprawdę należy obwiniać o nie Rosińskich. W „Regestrze złoczyńców grodu sanockiego” znajduje się zeznanie



FOT. ARCHIWUM

pewnego tołhaja, czyli rozbójnika, który twierdzi, że Krogulecki zginął na ganku dworu, kiedy napadli na niego jego kompani. Dzisiaj nie sposób stwierdzić, czy Rosińscy byli niewinni, czy też usiłowali zważyć własną winę na tołhajów. Dowodem ich zbójckiej działalności jest jednak zdarzenie z 1611 r., kiedy usiłowali pozbyć się Krzysztofa Głowy z Nowosielec i zaprosili go w gościnę. Szlachcic był jednak bardziej czujny niż Krogulecki, być może też przyjechał z liczniejszą czeladzią. W każdym razie w Teleśnicy doszło do wielkiej zwady i strzelaniny, a Głowa ledwie wyrwał się z zasadzki.

Zabójstwo Kroguleckiego dało początek wielkiej awanturze, w której wzięli udział Rosińscy. Dzisiaj można by nazwać ją wojną dwóch wilczyc – teściowej i synowej. Otóż Krogulecki pozostawił wspomnianą wieś Daszawę, którą podzielono pomiędzy wdowę po nim – Zuzannę – oraz Stanisława, najstarszego syna, ten zaś z kolei miał już żonę – Jadwigę Łysakowską. Pomiedzy kobietami doszło do takiej nienawiści, że przez długie lata procesowały się, obsyłały pozwami, nie szczędziły też dawania sobie „okazji” i utarczek we wsi. Zapewne jednym z epizodów konfliktu był zajazd na Teleśnicę w roku 1616, kiedy Jan Bal wspólnie

z synem zamordowanego Kroguleckiego – zapewne młodszym Janem – zebrali nieco szlachty i urządzili wyprawę na Rosińskich. Tam, po walce, zdobyli zbójckie gniazdo i schwytali żywcem Stanisława. Bal zabrał go ze sobą do sąsiedniej wsi – Daszówki, części wsi Daszawa, gdzie mieszkali jego znajomi, po czym oznajmił Rosińskiemu, że będzie stracony, kazał zawołać księdza, a Stanisławowi – wypowiadać się. Później przyniesiono pieniek i sprowadzono hajduka z mieczem. Rosiński musiał położyć głowę na kłocu, skończyło się jednak tylko na strachu.

Zaraz po tym Bal i Krogulecki urządzili popijawę, kazali też wytoczyć dla służby beczki miodu i wina. Było to oczywiście bardzo korzystne dla Stanisława Rosińskiego, który skorzystał z okazji i umknął, a potem jeszcze złożył protestację przeciwko Balowi. Zapewne z mściwą satysfakcją wsparł później w walce przeciwniczkę Balów – Jadwigę Krogulecką.

Tymczasem w 1628 r. Zuzanna, wdowa po Wojciechu Kroguleckim, zwerbowała przeciwko synowej zgraję lisowczyków i swawolników, po czym zajechała drugą połowę wioski, gdzie usieczono jej syna, Stanisława. Wdowa po nim – Jadwiga – wpadła w taką wściekłość, że oficjalnie zwróciła się o pomoc do Rosińskich – rzekomych zabójców jej teścia, po czym z ich wsparciem wyrzuciła ze wsi teściową. Ta jednak nie pozostała dłużna – uzyskawszy pomoc Jana i Samuela Balów, zajechała z kolei synową, usuwając ją z dziećmi z Daszawy. Jadwiga musiała wówczas szukać schronienia w Teleśnicy, ostatecznie jednak wygrała, bowiem uzyskała na teściową wyrok roku i sześciu niedziel w wieży sanockiej za zabójstwo własnego syna. Co dalej się stało z Zuzanną i czy straciła swoją połowę Daszowej – tego już akta grodzkie nie przekazują. ©

TĘSKNOTA DO LATA TADEUSZA DROZDY

Co prawda, mamy środek zimy, ale ja już myślę o lecie, a latem – wiadomo – sezon grillowy. I dla osób, które przyrządzają na grilla żeberka, skrzydełka oraz inne mięsa z kością, mam małą radę, aby przed włożeniem na ruszt przygotowali je. Dużo osób o tym zapomina i wrzuca mięso od razu na ruszt i takie mięso przy kości jest surowe. Wtedy nasze mięsne potrawy z grilla – i tradycyjnego w sezonie, i elektrycznego, nawet zimą – będą lepsze i skrócimy ich czas grillowania.

Salatka z pieczarkami

Nie trzeba czekać na wiosnę i lato, by przygotować tę sałatkę z pieczarkami. Tylko one wymagają grillowania, a ruszt nad tradycyjnym grillem w ogrodzie z powodzeniem możemy zastąpić urządzeniem elektrycznym lub odpowiednią patelnią. Taka sałatka sprawdzi się jako dodatek do mięs, ale również jako samodzielne danie.

Składniki:

- 6 dużych pieczarek
- 100 g mieszanki sałat
- 1 pomidor
- ok. 200 g sera mozzarella
- dwie łyżki oliwy z oliwek
- pół puszki kukurydzy
- 4 rzodkiewki
- pieprz, sól

Przygotowanie:

Pieczarki dokładnie myjemy, kroimy na dość długie plastry i osuszamy. Solimy lub przyprawiamy ulubioną, pikantną mieszanką przypraw i grillujemy. Dodajemy do wcześniej umytej i również osuszonej sałaty, a następnie kroimy ser i pomidora w kostkę, a rzodkiewki w cienkie plastry. Mieszm wszystkie składniki, doprawiamy solą i pieprzem do smaku, polewamy oliwą z oliwek. ©©

*oprac. raw
Tadeusz Drozda jest
satyrykiem, aktorem
i konferansjerem.*



FOT. MATEUSZ JAKOŚĆ/FAST NEWS



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zmywanie udręką ludzkości

Są dwie szkoły sprzątania po przyjęciach. Jedna: zmyć i sprzątnąć od razu wieczorem, nawet kosztem późnego pójścia spać; druga: zostawić cały bajzel i zaataковать go rano.



FOT. ADAM STOK

zajmuje więcej czasu niż umycie... Itp., itd. I tak sobie dyskutujemy, co do niczego nie prowadzi, strony pozostają przy swoich stanowiskach, jak mówią prawnicy.

Niezależnie od tego, której ze szkół hołdujemy, problem zmywania pozostaje kluczowy. I trzeba powiedzieć, że z wyjątkiem nielicznych (dewiantów), którzy to lubią, większość zmywania nienawidzi.

– Ile było u was osób? – zapytaliśmy znajomych, którzy urządzali sporych rozmiarów przyjęcie. – Na osiem zmywarek – odpowiedzieli. Policzywszy, że zmywarka przyjmuje sześć kompletów naczyń, można by wnosić, iż na przyjęciu było prawie 50 osób. Nawet zważywszy, że zmywa się także salaterki, półmiski, itp. sprzęt towarzyszący, impreza była spora.

Pytanie, czy zmywać ręcznie, czy w maszynie, podgrzewa atmosferę w rodzinach, w których karmi się więcej niż dwie-trzy osoby. Kto pozmywa, załaduje, rozładuje zmywarkę? Ten konflikt ożywia także nasz dom, gdzie raz po raz wybuchają kuchenne awantury. – Znowu puściłeś zmywarkę do połowy pustą, a resztę zmywasz ręcznie, marnując wodę – to ja do męża. On do mnie: – Po co zmywarka? Nie lepiej tych parę talerzy umyć w ręku? Samo włożenie do maszyny

nić moją pozycję w dyskusji, postanowiłam użyć twardych argumentów. Siegnęłam do internetów i okazało się, że literatura na ten temat jest obfita. Są nawet arkusze Excela, które wszystko liczą. Autor bloga Jakoszczędzacpie-niadze.pl.

przeprowadził szczegółową kalkulację obu procesów zmywania – ręcznego i maszynowego. Policzył koszty wody, energii, środków do zmywania, ludzkiej pracy, czasu, koszt i amortyzację sprzętu.

Nawet niefachowa obserwacja prowadzi do wniosku, że zmywając ręcznie, marnujemy wodę. Rachunek blogera to potwierdza. „Zmywarka zużywa około 6–7 litrów na jeden cykl – trzy razy mniej niż mycie ręczne”. Co prawda, zużywa prąd, ale jego koszt jest rekompensowany niższym zużyciem wody. Podsumowawszy całą operację: koszt zmywania ręcznego blogger obliczył na 3,39 zł, koszt pojedynczego mycia w zmywarce – na 1,61 zł. Uzyskałam zatem niewątpliwy argument na poparcie moich tez. Maszyna górą!

A jednak skoczę do kuchni i tych parę talerzyków, które zostały po śniadaniu, obtoknę w ręku... ©©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

AAA... SUPERSZYBKIE TANIO

Twórcy naddźwiękowego samochodu Bloodhound SSC, którzy zamierzali nim pobić obowiązujący od 1997 r. rekord szybkości na lądzie (1227,985 km/godz.), zdecydowali się wystawić swoje cacko na sprzedaż. Miłośnikom wielkich prędkości zabrakło bowiem pieniędzy na dokończenie projektu. Aby cieszyć się jednym w swoim rodzaju autem, wystarczy zaledwie 250 tys. funtów (równowartość 1,2 mln zł). Długi na 13 m i ważący 6,4 t czterokołowy bolid ma trzy sprzężone ze sobą silniki (w tym odrzutowy z myśliwca Eurofighter Typhoon oraz rakietowy). Dzięki łącznej mocy 135 tys. KM – według jego twórców – auto potrafi przegonić zarówno dźwięk (ok. 1225 km/godz.), jak i wystrzelony z rewolweru nabój .357 Magnum (ok. 1,5 tys. km/godz.). Cel twórców wynosił bowiem ponad 1,6 tys. km/godz. Auto wyposażono więc w trzy osobne systemy hamowania, siedem gaśnic oraz ponad pół tysiąca różnego rodzaju czujników.

Niestety, do bicia rekordu nie udało się doprowadzić, a bolid jak do tej pory najszybciej mknął zaledwie 320 km/godz.

Mimo tej drobnej wady auto jeszcze w 2018 r. znalazło bogatego nabywcę. Przedsiębiorca Ian Warhurst zamierza kontynuować projekt. Jeżeli ktoś miał akurat odłożony milion na sportowe auto, to nie musi żałować straconej okazji. Bloodhound jest bowiem dość drogi w eksploatacji. Brytyjczyk Andy Green, matematyk, kierowca rajdowy, pilot myśliwców oraz obecny rekordzista prędkości na lądzie, powiedział w rozmowie z portalem Piston Heads, że nabywca musi mieć na koncie jeszcze „parę milionów”, aby rozpedzić swoją zabawkę do prędkości maksymalnej. Średnie spalanie tej bestii szacuje się na 40 l na sekundę. A to tylko ułamek przyszłych wydatków.

AUTONOMICZNE WRACAJĄ DO USA

Dziewięć miesięcy po tragicznym wypadku, podczas którego poruszający się bez udziału kierowcy samochód śmiertelnie potrafił pieszą, na ulice kilku amerykańskich miast wróciły prototypy autonomicznych pojazdów Ubera. Na wszelki wypadek auta mają mieć w kabinie dwóch kierowców, którzy w razie potrzeby przejmą ster, pracujących maksymalnie cztery godziny dziennie. Same samochody będą się zaś poruszać z maksymalną prędkością 40 km/godz.



W marcu 2018 r. autonomiczne Volvo XC90 używane przez Ubera wykryło pieszą z rowerem na 1,3 s przed wypadkiem, ale nawet nie zaczęło hamować. Kierowca Rafaela Vasquez, która powinna była w takiej sytuacji zareagować, w chwili tragedii nie patrzyła na drogę, ponieważ oglądała na smartfonie program telewizyjny.

ODCISK PALCA ZAMIAST KLUCZYKA

Bezkluczkowy dostęp do auta i przyciski start-stop mogą niedługo przejść do historii



motoryzacji. Rozwój technologii sprawił, że południowokoreański Hyundai zaprezentował nową odmianę swojego SUV-a, który na klamce oraz w pobliżu kierownicy ma czytniki linii papilarnych. Aby otworzyć i odpalić auto, wystarczy więc dotyk palca. Co więcej, kierowca do danego odcisku palca może przypisać indywidualne ustawienia, takie jak np. ulubione stacje radiowe, pozycja kierownicy czy ulubiona temperatura. Na razie koreańskie auto z czytnikiem linii papilarnych będzie jednak dostępne jedynie na rynku chińskim.

POŻEGNANIE ZE SPALINAMI?

Europejscy producenci samochodów stanęli przed nie lada wyzwaniem. Do 2030 r. samochody mają emitować o 37,5 proc. mniej dwutlenku węgla, a do 2025 r. norma emisji spalin ma być o 15 proc. niższa niż obowiązująca od 2021 r. norma wynosząca 95 g dwutlenku węgla na 1 km. Tak wyśrubowane normy mogą sprawić, że na europejskim rynku nowych aut zostaną jedynie hybrydy oraz samochody elektryczne. Obecnie „elektryki” stanowią ok. 1,5 proc. rynku. ©

opracował Jacek Przybylski

poniedziałek - czwartek
21:00

PUNKT



Ryszard Gromadzki
PONIEDZIAŁEK, CZWARTEK



Katarzyna Gojska
WTÓREK, ŚRODA

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Wzloty i upadki

MARCIN MAKOWSKI: Rok 2018 przeszedł do historii, ale czy była to dobra historia dla Polski, Europy i USA?

MATTHEW TYRMAND: Z perspektywy „bitwy o idee” i umacniania politycznych wpływów prawicy to był dobry rok. Równocześnie kolejny raz polityczny i medialny mainstream udowodnił, że po prostu nie potrafi znosić porażek, postępując w apoplektycznej krytyce wszystkiego, co jest sprzeczne z ideologią globalizmu i liberalizmu. Wszędzie widziano nazistów, kolejny raz ogłoszono kres demokracji, uderzano poniżej pasa. Jeśli chodzi o Polskę, to tutaj zdania nie zmieniam i uważam, że najbardziej szkodliwą osobą publiczną z punktu widzenia polskich interesów zagranicznych w 2018 r. byli nie Grzegorz Schetyna, Donald Tusk czy Lech Wałęsa. Oceniając jedynie po owocach, taką rolę odgrywał Zbigniew Ziobro, odpowiedzialny m.in. za fatalną nowelizację ustawy o IPN, wywołanie paniki poloxitu przed wyborami samorządowymi, ostrą retorykę wobec Sądu Najwyższego, z której trzeba się było później wycofywać. Gdyby nie układanki wokół balansu sił Zjednoczonej Prawicy, dawno nie powinno go być w rządzie. Morawiecki natomiast udowodnił, że pomimo realnego konfliktu w obozie władzy część pożarów był w stanie ugasić – na czele z podpi-

saniem wspólnej rezolucji z Benia-minem Netanjahu. Patrząc szerzej, uważam jednak, że sukcesy Polski w tym roku znacznie przewyższyły błędy i porażki. Udało się prze-jąć realną inicjatywę i wzmocnić Trójmorze, podpisując umowę gazową z USA na następne 24 lata, redukując uzależnienie ener-getyczne od Rosji. Pomijając historię szkodliwego zachowania ambasador Georgette Mosbacher, również stosunki ze Stanami Zjednoczonymi uległy realnemu wzmocnieniu za-równo odnośnie do stałej bazy, jak i personalnych kontaktów między prezydentami.

Przechodząc do samych Stanów. Miałeś powody do zadowolenia pomimo kilku naprawdę dziwnych ruchów kadrowych Trumpa i jego kontrowersyjnego spotkania z Władimirem Putinem?

Daj spokój, jakie kontrowersyjne ruchy kadrowe? W Białym Domu panuje business as usual, a karawana jedzie do przodu. Zobacz, z czym republikanie i Donald Trump musieli się zmierzyć i z jakim rezultatem. Wygrano przecież spektakularnie bitwę o nominację sędziego do Sądu Najwyższego, przy czym Brett Kavanaugh przeszedł przez jedną z najgorszych kampanii oszczerstw, jaką widziałem. Demokraci rzucili na niego wszystkie siły, z uniwersyteckiego kujona robiąc seryjne-

go gwałciela. Zapomnieli tylko o jednym – o twardych dowodach – dlatego gdy emocje już opadły, okazało się, że zostali na lodzie, totalnie się kompromitując, a prezydent mógł mianować drugiego sędziego w swojej kadencji. Z trendów sprzyjających republikanom można wymienić jeszcze wzrost poparcia w grupie wyborców czarnoskórych i Latynosów oraz wzrost wynagrodzeń w klasie średniej. Globalistyczna umowa handlowa Nafta została zastąpiona US MCA – rozwiązaniem, które lepiej służy amerykańskim interesom. Zniesiono jednostronne obamowskie „porozumienie nuklearne” z Iranem, przeniesiono ambasadę USA do Jerozolimy, gdzie powinna być, właściwie pokonano instytucjonalną formę Państwa Islamskiego, które jest cieniem swojej dawnej potęgi, republikanie po raz pierwszy w historii zwiększyli kluczową przewagę w senacie w wyborach środka kadencji, zatrzymano również napływ nielegalnych imigrantów do USA – głównie z Meksyku.

Prawdziwa złota epoka, sukces za sukcesem...

Śmiejesz się, ale to prawda. Ameryka została również największym wydobywcą ropy naftowej – wyprzedziła kraje arabskie i Rosję. Co w zamian w kwitnącej Unii? Polityczne przeciąganie liny, chaos odnośnie do brexitu, który zakończy się najpewniej twardym wyjściem ze wspólnoty bez podpisania umowy zamiast kolejnym referendum. Ten rok kończy się tym, czym zaczęła się nasza kolumna trzy lata temu. Patrząc na politykę, „świat stoi w płomieniach”, zmienia się, ruchy prawicowe i populistyczne zyskują na siłach. I właśnie tego najbardziej obawiają się elity, których jedynym interesem jest utrzymanie status quo. To się już nie wydarzy. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



OKIEM JASTRZĘBIA

Sylwester w domu inteligenta, czyli uciekajcie!

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

To co? Mają Państwo ochotę na prawdziwy horror? Minął nam ten sylwester, przywitaliśmy nowy, 2019 rok, więc na spokojnie możemy się przyjrzeć pewnej, nie daj Boże, możliwości przyszłej. Możliwość jest taka: spę-

pensję w życiu nie kupił), siadamy, coś tam przekazujemy, witamy się z innymi nieszczęśnikami, którzy jeszcze nie wiedzą, że są nieszczęśnikami, bo to się dopiero zaczyna.

Siedzimy, by się człowiek pocieszył jakąś muzyką czy coś, ale zapada niezręczne milczenie, bo inteligent gospodarz wygłasza właśnie perorę wstępu: „Te telewizje w sylwestra to dla debili. Co to ma być? Rozrywka dla bezrozumnej tłuszczy, że my na to płacimy, zresztą sami zobaczcie”. Wszyscy w domu tego inteligenta naturalnie zgadzają się z tą jego inteligentną przemową i kiwając głowami, mantrują: „No, dla debili, no dla debili, no dla debili”. Po czym gospodarz przełącza z Filharmoników Wiedeńskich na Zenka z Zakopanego i w dom inteligenta wstrzyknięte zostaje Zenkowymi oczami zielonymi życie. Pani Mariola przy kości, która ma zakłady manicure'u i co roku nową brykę, wstaje i rytmem z Zakopanego rozkołysuje piersi. A zaręczam, że jest czym kołysać, nogi ludziom tupią, usta przybierają banana krzywiznę i wtedy inteligent przełącza z powrotem na Wiedeń i mówi: „No, mówilem, że dla debili”.

Piersi pani Marioli zastygają w wychyle po lewej stronie całkiem nienaturalnie, jej twarz zdradza, że chyba sobie gospodarz nabiał z ludzi robi, ale widzi, że nie robi, a ponieważ pani Marioli zależy na inteligencji, gdyż aspiruje, nakazuje piersiom wrócić do symetrycznego ułożenia względem ciała ponętne-go, aczkolwiek przy kości i wygłasza bez przekonania: „No, dla debili”. I cały pokój gości monotonią głosów zombi powtarza z rezygnacją: „No, dla debili, dla debili”.

Następnie rozwija się inteligent, opowiadając o konieczności na-

uczania narodu przez misję i wskazywania mu przez inteligencję, co jest wartościowe do tańca i zabawy, a co kicz, tandeta i cieszyć się przy tym nie wolno ludowi, bo on, inteligent, sobie nie życzy. I tak chrzani z 10 minut, słowo daję, a goście słuchają z otwartymi ustami (znaczy ziewają ciągle). Wtedy pan Mariusz, który nie wiadomo, jak się znalazł w domu inteligenta, bo on nawet nie ma doktoratu, angielski to zna co najwyżej na B2 i nie wiadomo, skąd ma byczy kark, zwraca się do gospodarza, będąc już ewidentnie po kilku drinach: „By pan, profesorze, na tych debili przełączył na chwilę, człowiek sobie popatrzy socjologicznie”.

Gospodarz przełącza, mówiąc: „A, chyba że socjologicznie” i wtedy wszyscy nagle wstają i płąsy dziko do Sławomira „Miłość w Zakopanem” i radość, a gospodarz wrzeszczy: „Oddajcie pilota”, ale nikt nie ma zamiaru oddawać, tłok, ścisk, popiskiwanie, nie wiadomo, kto łokciem łamie inteligentowi w tych tańcach nos, może i przypadkiem, a może to zemsta ludu za debili. Nie wiadomo.

Inteligent chce wtyczkę od telewizora wyciągnąć, ale ktoś mu na rękę nadeptuje i chyba ktoś kopie, ale nikt się nie przyzna, ktoś po policję zadzwonił, ludzie wychodzą z domówki, złorzeczając inteligencji polskiej.

Do pani Marioli jadą, ona taksówki stawia, ten biust jej się kołysze, a u niej w domu z telewizora ten piękny kicz, ta cudowna tandeta, ta słodka szmira, radość, zabawa i uciechy do samego rana. A inteligencja polska po sylwestrze? Jak zwykle, skopana, ze złamanymi nosami, wyśmiana, odrealniona, z poczuciem nabzdyczenia misją. ©©

Inteligent chce wtyczkę od telewizora wyciągnąć, ale ktoś mu na rękę nadeptuje

dzają Państwo kolejnego sylwestra w domu inteligenta. Przestrzegam: zaliczą Państwo minuty o smaku dożywocia, ale po kolei. Uruchamiamy wyobraźnię. Idziemy do inteligenta na domówkę sylwestrową, właściwie ubrani, inteligentnie, z kwiatami dla pani domu i whisky 18-letnią dla pana domu (niech ma inteligent, niech spróbuje, sam by sobie za tę inteligencją



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Jakie elity, taka odwaga

JAROSŁAW KURSKI: „Atak na Marcina Matczaka dowodzi, że władza się go boi i uważa, że jest dla niej niebezpieczny. I słusznie uważa. Błyskotliwy, charyzmatyczny, odważny obrońca demokracji i państwa prawa. Ta dyscyplinarka tylko go wzmocni. Murem za Matczakiem”.

Jeśli komuś umknęło, „błyskotliwe i odważne” zachowanie Matczaka, za które może mieć teraz problemy, to polegało ono na postraszaniu internetowego hejtera zemstą kolegów Matczaka na jego córce. „Zobaczmy, jak będziesz piszczał, gdy wróci do domu” – odgrażał się „charyzmatyczny i odważny” obrońca państwa prawa, zapowiadając, że jego koledzy z wrocławskiego uniwersytetu mogą dziewczynie skutecznie uprzykrzyć życie na uczelni, upokarzając ją na wykładach omówieniami hejterskich wpisów jej ojca. Rzeczywiście, sięganie po takie chwytki, żeby wygrać twitterową pyskówkę z hejterem, to świadectwo wielkiej odwagi i jeszcze większej charyzmy. Tak się, proszę państwa, broni państwa prawa.

A murem za Matczakiem wraz z Kurskim ustawiają się kolejni, choć nie wszyscy mają odwagę go za to tak ostentacyjnie chwalić. Woj-

ciech Sadurski próbuje na przykład udawać, że Matczak tylko przeprowadzał „eksperyment myślowy” i zapowiada, że jeśli za ów eksperyment zostanie ukarany, to on, Sadurski, nagłośni ten skandal na światowych uczelniach. Nie mogą się doczekać reakcji zachodnich profesorów prawa, gdy im Sadurski przetłumaczy wpis Matczaka, ale nie spodziewam się, że znajdzie zrozumienie u normalnych, niezaczadzonych tępą nienawiścią wykładowców. Obawiam się, że z każdej przyzwoitej zachodniej uczelni profesor straszący w Internecie uczelnią zemstą na córce adwersarza po prostu by z hukiem wyleciał. Tylko u nas może liczyć nie tylko na pobyżanie, lecz także na entuzjazm.

Nie wiem, jak się ostatecznie skończy wniosek Ziobry o dyscyplinarkę dla Matczaka, ale moje sympatie w tej sprawie rozdzielam po równo między ministra i profesora – obu pozycja przerosła, choć Matczaka jednorazowo i z mniejszymi konsekwencjami dla państwa. Patrząc jednak z rozbawieniem na moralne wzmocnienie tych, którzy sami najchętniej pousuwaliby z zawodów każdego nieprawomyślnego. Zresztą sam Matczak podpisał się pod stanowiskiem prawników

ostrzegających, że samo kandydowanie do Sądu Najwyższego może być w przyszłości powodem usunięcia ich z zawodu. Tak przecież trzeba rozumieć wyraźne ostrzeżenie: „Apelujemy do przedstawicieli środowiska prawniczego i naukowego o niebranie udziału w naborze na wolne stanowiska sędziowskie w Sądzie Najwyższym. Wzięcie udziału w tej procedurze przyczynia się do realizacji i legitymizacji działań niekonstytucyjnych. Uważamy również, że czynny współudział w łamaniu konstytucji i demontażu państwa prawa powinien być w przyszłości brany pod uwagę przy ocenie kwalifikacji etycznych do wykonywania prawniczych zawodów zaufania publicznego”.

Opozycja dość regularnie zapowiada usuwanie z zawodu prawników grzeszących udziałem w procedurach, które się opozycji nie podobają, a które przecież korzystają z domniemania konstytucyjności. Na rozpatrzenie przez Naczelną Izbę Lekarską czeka wniosek o zakaz wykonywania zawodu lekarza dla posłów PiS głoszących za dobrowolnością szczepień. Histeria wokół możliwych konsekwencji ewidentnych gróźb po adresem Bogu ducha winnej córki adwersarza trochę więc bawi. ©

PODSŁUCHANE

Odpowiedzialne zadanie

Pan sobie weźmie ten taboret spod okna, panie Adamie.

Dziękuję, panie prezesie, w pana obecności wolę stać.

Ale nie musi być na baczność. Spoczni!

Tak jest!

No więc chcemy panu w końcu dać jakieś odpowiedzialne zadanie, żeby mógł pan służyć Polsce lepiej

nawet niż dotąd. No i Zjednoczonej Prawicy oczywiście też...

Będę zaszczycony!

Dobrze, dobrze, wiem przecież.

Tak jest!

Czy pan może mi przez moment nie przerywać?

Tak jest!

Tylko tak się zastanawialiśmy z Mateuszem, co by to miało być. Pan co studiował?

Stosunki międzynarodowe.

A, to szkoda, bo MSZ już mamy raczej obsadzone.

Młodzież Wszechpolską kierowałem!

No tak, ale w MON też raczej komplet. A co pan robi w wolnym czasie?

Pilnuję Polski na Twitterze, panie prezesie!

To jest tam, gdzie Joachim czasem dowodzi, tak? To w Internecie jest, prawda?

Tak jest!

No to się świetnie składa. Rzucimy pana na cyfryzację. Może być?

Co pan każe, panie prezesie!

No dobrze, już dobrze. Nie musi pan wychodzić z mojego gabinetu tyłem. To nie pałac Buckingham.

Łukasz Warzecha ©

OD RZECZY

„Po czasach podziałów społecznych ludzie czekają na premiera pokoju. Szefer PSL Władysław Kosiniak-Kamysz może być przez wielu postrzegany jako premier pokoju”.

KATARZYNA LUBNAUER, szefowa Nowoczesnej, w Radiu Zet

Stołeczny remanent 2018

fot. Jerzy Gumowski



Pierwsze podejście nie mogło być satysfakcjonujące, gdyż złożenie Lecha Kaczyńskiego w krypcie wawelskiej jedynie zrównało go z Józefem Piłsudskim. Drugie było bardziej udane, bo pomnik Lecha Kaczyńskiego na warszawskim Placu Piłsudskiego przewyższył parametrami stojącą blisko statuetkę Marszałka, zdominował ją. Kolejnym krokiem winno być przemianowanie placu na Plac Lecha Kaczyńskiego, lub może pompatyczniej: Plac Marszałka Maxima Lecha Kaczyńskiego. I wtedy będzie już można myśleć o watykańskim procesie beatyfikacyjnym, regulaminowo poprzedzającym przysłą kanonizację. Na miejscu Pana Boga zacząłbym się z wolna obawiać...

Jako rodowity Warszawiak bilansuję dziś felietonowo minione 12 miesięcy grodu Warszawa i Sawy. Nic mi się bardziej w owym roku nie podobało od marszu kilkuset tysięcy „faszystów” skroś metropolii stołecznej 11 listopada (podawana liczba 250 tys. budzi śmiech, bo zdjęcia lotnicze ukazywały dużo większą rzeszę oflagowaną białą-czerwono). Procesja ta miała nie tylko wydźwięk patriotyczny rekordowy w skali całego kontynentu, lecz i syndromiczny w skali całego globu, może bowiem służyć jako symbol prawicowej fali, która dzięki urnom wyborczym (ergo: dzięki kolejnym społeczeństwom wkurzonym terrorem pseudoliberalnego/politpoprawnego Salonu) rozlewa się „all around the world”, zmiatając gangrenorodny establishment, zastępując go u sterów prawicą. Trochę wcześniej wystrzelili Kaczyński w Polsce, Orbán na Węgrzech, Duterte na Filipinach i Trump w USA, wypromowały się liczne partie prawicy (Holendrzy Geerta Wildersa, Szwedzcy Demokraci, austriacka FPÖ, niemiecka AfD), zaś roku 2018 francuskie Zjednoczenie Narodowe pani Le Pen przeskokowo sondażowo rządzącą partię Macrona, we Włoszech władzę objął Salvini, a w Brazylii Bolsonaro. Brazylijczyk dopiero zaczyna czyścić amazońską Stajnię Augiasza, lecz Włoch zdążył już osiągnąć radykalne efekty (m.in. stop dla multi-kulti, zamknięcie bram dla kolorowych imigrantów, koniec z budowaniem meczetów, itp.). Jeżeli ten trend się utrzyma — Salon będzie miał pod zadkiem nie tylko mnożące się ogniska buntu, lecz pożytki kontrolackiej rewolty.

Tak więc megamarsz w setną rocznicę odzyskania niepodległości podobał mi się najbardziej ze wszystkich zjawisk stołecznych

roku 2018. A co mi się nie podobało najbardziej? To, że mieszkańcy Warszawy, idąc do wyborów samorządowych, tłumnie głosowali na partię, która jest winna rekordowego stołecznego przekrętu, zwanego „afetą reprivatyzacyjną”. Ponieważ moja krytyczna wobec tej kwestii opinia może być, jako werdykt „faszysty”, uznana za grzeszącą brakiem obiektywizmu — przywołam wyrażony publicznie sąd człowieka lewicy, znanego „działacza ruchów miejskich” w Warszawie, Jana Śpiewaka: „— *Lokalne struktury władzy spetryfikowały się, weźmy chociażby Warszawę czy Gdańsk. Wybór takięgo Adamowicza, który rządzi 20 lat, ma zarzuty i nie potrafi wyjaśnić skąd ma majątek, jest porażką demokracji. Podobnie Warszawa. Jeśli nawet największa afeta korupcyjna w polskim samorządzie wzmacnia opcję, która za tę afetę odpowiada... W logice partyjnej wygląda to tak: może nasi złodzieje, ale nie będziemy głosować na PiS. Skarzyła mi się, płacząc, staruszka, która nie ma za co żyć, bo spółdzielnia i ratusz ją «dojeżdżają» radykalnym podniesieniem opłat za użytkowanie wieczyste, ale gdy rozmowa schodzi na temat wyborów, pani przyzna-*



Wojciech Bogusławski:

„Cóż to widziałeś w stolicy?”;

Adam Naruszewicz: „Sama się Warszawa dziwiła Warszawie”



je, że głosowała na... Trzaskowskiego! Jeśli więc nie ma żadnej odpowiedzialności za największą afetę w historii polskiego samorządu, to jaka to jest demokracja? Można skrzywdzić tylu ludzi, tyle razy złamać prawo, i dalej funkcjonować w przestrzeni publicznej”. Ano można.

Salonową/lemingową „warszawkę” w roku 2018 uszczęśliwiały różne antypisowskie deklaracje, padające z ust VIP-ów „Totalopposition” i rywalizujące ze sobą na skali kuriozalności — jedna głupsza od drugiej. Która wygrała w tym rankingu? Nie umiem wskazać, dwie wydają mi się prowadzić tutaj „ex aequo” pod względem kabotynizmu. Prof. Środa zaproponowała opozycji utworzenie, wzorem AK, salonowego państwa podziemnego, ze wszystkimi instytucjami alternatywnymi wobec pisowskich struktur III RP. Zaś jego ekscelencja Tusk wezwał salonowców do zwalczania „współczesnych bolszewików”. Oczywiście każdy wie, że „Tusk to oszust, krętacz i kombinator”, takie stwierdzenie pada bowiem w powszechnie oglądanym serialu „House of Cards”, lecz mowa jest tam o Raymondzie Tusku, a nie o Donaldzie, stąd frazę na temat „współczesnych bolszewików” trudniej podciągnąć pod cytowaną diagnozę. Tak czy owak: ze

szczerego serca życząc podziemnej prof. Środzie i wszystkim jej salonowym kompanom trwałego konspirowania wewnątrz subterenowej Tuskolandii, to jest w lochach czy kryptach, oraz komunikowania się między ratuszem a wilanowską „zatołą świń” bądź Czerską kanałami.

Szambiały odór kanałów wciąż bił w minionym roku nie tylko z „Leningradu”, również ze stołecznego Teatru Powszechnego, którego repertuar ciągle zawiera obsceniczną/bluźnierczą „Klatwę”. Frekwencja dopisuje, bo warszawski elektorat to przeważnie sympatycy LGBTQ, vulgo: masy wrogów katolicyzmu. Sporo wśród nich postesbecji, rozmaitych familiantów byłych esbeków, choć nie brakuje też samych, sędziwych acz krzepkich niby płk Mazguła, funkcjonariuszy „firmy”, którzy niegdyś byli Targowicą „resortową”. To ci nobliwi staruszkowie ukazywani ze współczuciem przez zachodnie telewizje jak dzielnie demonstrują w obronie wolności, godności i praworządności przed gmachem Sejmu. Biedni — reżim PiS-u ukradł im emerytury, dużo większe niż emerytury ich ofiar. Za Powstania Kościuszkowskiego młoda, już oświecona szlachta, śpiewała drwiąco o targowicznach pozbawionych carskiego „jurgieltu”:

„Twojemu tacie
ukradli gacie
złodzieje!
W co się twój tata
na stare lata
odzieje?!”

Ideologicznymi frontmenami zwalczającego pisowski reżim Salonu są wszakże nie postesbeckie pierniki, tylko „inteligenci” stołeczni, czyli „wykształciuchy” średniego i postśredniego wieku, którzy przybyli do metropolii z rodzimych „dużych miast”, by zwalczać „reakcję” prawicową, konserwatywną i klerykalną. Tacy sami jak „inteligenci”, o których satyryk Szpotański pisał drwiąco, że „miłością płonąc do abstraktów najbardziej nienawidzą faktów”, i puentował:

„Kiedy zawzięte toczą boje
ze straszną reakcyjną hydrą,
to chcą mieć pewność, iż na zawsze
zdobędą to, co hydrze wydrą”.

Chroniczne/kliniczne marzenie Salonu: wieczna władza nad „motlochcem”. Ten cel uświeca im środki. Jak u Słowackiego:

„Taka obłuda misterna,
Taki instynkt oszukaństwa,
Taka chciwość blasku, państwa”.

Nie tylko pośród aktywistów Platformy, również w eks.Nowoczesnej, dla której miniony rok to były „ultimos podrigos” na stołecznych parkietach. Lubię zamykać felieton „plusem dodatnim”. ©©

Waldemar Łysiak

OFERTA SPECJALNA. TYLKO TERAZ W PAKIECIE Z E-WYDANIEM

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

**Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ**

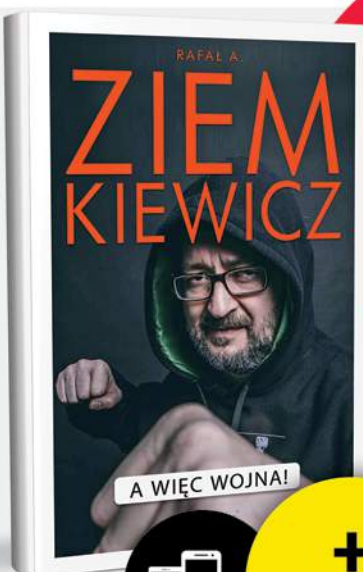
ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

W PREZENCIE KSIĄŻKA:
Rafał A. Ziemkiewicz „A więc wojna!”

+ zestaw 3 audiobooków:

P. Zychowicz „Skazy na pancerzach”
Rafał A. Ziemkiewicz „Żłowrogi cień marszałka”
P. Rzepka i K. Komander „Misja; Niepodległość”

+ E-WYDANIE



Cena: 239 zł
Oszczędność: 482 zł



**+
e-wydanie**



**+
e-wydanie**



Cena: 143 zł
Oszczędność: 232 zł

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

W PREZENCIE KSIĄŻKI:
Rafał A. Ziemkiewicz
„Sanacja czy demokracja”,
„A więc wojna!”
Sz. Weiss „Moja Polska”
+ e-wydanie

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 1586349663